

MARGARET MOORE

**Przepowiednia
Angharady**



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sir Trystan DeLanyea przechadzał się po blankach murów obronnych zamku ojca, odpoczywając od zaduchu i zgiełku sali biesiadnej. Napawał się rześkim Wieczornym powietrzem i dzwoniącą w uszach ciszą.

Żniwa udały się nad podziw i z tej okazji w wielkiej sali zamku Craig Fawr wydano ucztę, na której jadła, piła i płażała cała okolica. O tej porze ciemno tam już było od dymu, a przykry odór oliwy i spoconych ciał mieszał się z wonią wykwintnych pachnideł i korzennych przypraw.

Trystan oparł się plecami o sterczynę blanki i westchnął. Ojciec, powróciwszy z wyprawy krzyżowej, przez wiele lat wznosił ten zamek. Teraz była to warowna, przestronna twierdza, której mógł im pozazdrościć niejeden możnowładca. Stanowiła imponujący dowód determinacji i zdolności organizacyjnych ojca.

Trystan, wodząc wzrokiem po wewnętrznym dziedzińcu, przypomniał sobie, jak przed trzema laty trafił wreszcie włócznią w sam środek zawieszanej na murze tarczy, co jego starszemu bratu Griffyddowi do

tej pory się nie udawało. To był wielki dzień - dopóki nie napatoczyła się ta zuchwała dziewczka Mair i nie wyładowanego beczkami piwa, że ilekroć przyjeżdża na zamek, tarcza wydaje jej się większa niż poprzednio.

Nadal, choć oboje nie byli już dziećmi, nie okazywała mu szacunku należnego synowi barona DeLanyea. Chyba go nie lubiła. Nie przepuściła żadnej okazji, żeby mu dopiec albo wystawić na pośmiewisko.

Na pewno inaczej rzecz by się miała, gdyby był dziedzicem, jak Griffydd, albo panem na swoich włościach, jak kuzyn Dylan.

Ale nie był. Pomimo że nosił już pas rycerski, wszyscy z Craig Fawr i okolic nadal widzieli w Trystanie „chłopca”, jak nazywał go uparcie Dylan.

Niebawem to się zmieni, poprzysiągł sobie w duchu. On, sir Trystan DeLanyea, stanie się wkrótce naj-sławniejszym, najmożniejszym i najbardziej poważanym ze wszystkich DeLanyea, prześcignie nawet ojca, który stracił oko, walcząc pod królem Ryszardem w Ziemi Świętej.

Przez wargi Trystana przemknął uśmiezek. Wiedział już, od czego rozpocznie swój marsz do sławy i zaszczytów: pojmie za żonę odpowiednią kobietę, a która mogłaby stanowić odpowiedniejszą partię, jeśli nie najurodziwsza i najbardziej godna pożądania normańska szlachcianka lady Rosamunde D'Heu-

reux, bawiąca właśnie wraz ze swoim ojcem na zamku z wizytą.

Sir Edward D'Heureux nie mógł poszczycić się wielkimi tytułami, wywodził się jednak z możnego rodu mającego na dworze wpływy, o jakich nie śniło się większości rodziny, z Trystanową włącznie. Przed każdym mężczyzną, który by się z nim skoligał, otworzyłyby się nieogarnione możliwości. Mógł mieć pewność, że zauważy go sam król. A mężczyzna, który wpadł w oko królowi, może zająć wysoko, na pewno wyżej niż starszy brat żonaty już z kobietą z północy czy kuzyn osiadły w walijskim zameczku.

Nadzieje na taki ożenek nie wydawały się wcale płonne. Trystan zauważył, jak lady Rosamunde się dziś do niego uśmiechała i z jaką skromnością, po wielkopańsku, tańczyła z nim przed udaniem się na spoczynek.

On też powinien się już położyć, stłumił ziewnięcie. Skoro świt trzeba być na nogach i towarzyszyć lady Rosamunde podczas porannej mszy w kaplicy.

Oderwał się od muru i ruszył ku schodom prowadzącym na wewnętrzny dziedziniec. Strażnik pełniący wartę przy pierwszej wieży sprezentował przed nim broń. Trystan skinał mu niedbale głową, obszedł wieżę i wkroczył na zaciemniony odcinek chodnika biegnącego wzdłuż murów. Promienie księżyca tu nie docierały.

Naraz ktoś chwycił go za tunikę i wciągnął w jeszcze głębszy mrok. Chciał już krzyknąć, ale napastnik

przywarł doń miękkim ciałem i zamknął usta namięt-
nym pocałunkiem.

Był to pocałunek, o jakim mężczyzna może tylko
śnić. Pocałunek idealny, zaborczy i delikatny zarazem.
Wargi poruszały się z gorączkową, wyuzdaną pożądl-
wością, zapierającą dech w piersiach. Usta nieznajomej
smakowały miodem i przyprawami, kosmyki włosów
łaskotały go w policzek.

Taki pocałunek mógł odurzyć mężczyznę jak naj-
przedniejszy trunek.

Trystan zachodził w głowę, co to za jedna, obej-
mując z rosnącym podnieceniem gibką kibić i przy-
ciągając do siebie nieznajomą.

Lady Rosamunde? Nie, ona była zbyt nieśmiała
i delikatna na taką rozpasaną namiętność. No i sma-
kowałyby winem.

Któraś z dziewczek służebnych? Jeśli tak, to ognista
z niej bestyjka.

Czy to jednak ważne?

Upojny zapach miodu przesycił powietrze, przy-
prawiał o zawrót głowy i odurzony Trystan podda-
wał się bez walki tej nieoczekiwanej, pełnej pasji na-
paści.

Raptem dziewczyna, z taką samą gwałtownością,
z jaką wpiła się w jego usta, przerwała pocałunek.

- Tyś nie Ivor! - wysyczał gniewnie aż nadto zna-
jomy głos.

Trystanowi wyrwało się przekleństwo. Jak mógł od

razu się nie połapać, kto może pachnieć i smakować miodem.

- Do kroćset, Mair! - wykrztusił wzburzony i chwycił ją za ramiona. - Co ty, u Boga Ojca, wyprawiasz?

Teraz, w ciemnościach, nie widział twarzy tej młodej niewiasty, która warzyła najlepsze w okolicy piwo i miód i całkiem dobrze z tego żyła. Nie wiedział więc, jaką zrobiła minę. Wcześniej, podczas uczyty, od razu rzuciła mu się w oczy. Zresztą, jak można jej było nie zauważyć w tej sukni ze szkarłatnego jedwabiu haftowanego zielenią i złotem, prawdopodobnie najlepszej, jaką miała? Wyglądała w niej na damę wysokiego rodu. Leżała na niej ta suknia jak ulał, podkreślała jej ponętne kształty i przyciągała spojrzenia mężczyzn. Końce szkarłatnej wstążki, która opasywała jej czoło, furkotały niczym rycerskie proporce, kiedy wirowała w tańcu.

Tak, na uczcie Mair błyszczała, tańczyła, śmiała się w głos, przymilała, zarzucała grzywą kasztanowych włosów niczym szalony, radosny duszek zabawy. Flirtowała ze wszystkimi, tylko nie z nim.

- Gdybyś jeszcze nie odgadł, to czekam tu na Iwora - odparowała kpiąco, zuchwała i bezwstydną jak zawsze.

- Kapitana straży? - wybąkał Trystan, przypominając sobie, że ojciec mianował niedawno na to stanowisko ciemnowłosego, krzepkiego mężczyznę o takim imieniu.

- Nie twój interes - fuknęła Mair usiłując przemknąć się obok niego.

Trystan, słysząc zbliżające się kroki, wepchnął ją z powrotem w kąć i zasłonił własnym ciałem.

- Co ty... ? - obruszyła się.

- Cicho! Tego by tylko brakowało, żeby ktoś nas tu razem zobaczył.

Zachichotała cichutko i powiedziała złośliwie.

- O tak, nie wolno nam do tego dopuścić! Angharada jeszcze by pomyślała, że jej wróżba się spełnia.

Strażnik zawrócił i jego kroki zaczęły się oddalać, ale Trystanowi nie robiło to już różnicy. Niezupełnie też dotarła do niego kpiąca aluzja Mair do przepowiedni obdarzonej darem jasnowidzenia Angharady, że on i ta zuchwała piwowarka pobiorą się pewnego dnia.

Usiłował teraz za wszelką cenę stłumić osobliwą reakcję ciała na bliskość Mair i na wspomnienie jej pocałunku.

- Oboje wiemy, że Angharada plotła od rzeczy - burknął. - Niedoczekanie, żebym pojął cię za żonę.

- Cóż ci to, sir Trystanie? - zapytała szyderczym szeptem Mair. - Dziwnie mówisz, jakby tchu ci zabrakło.

- Nic mi nie jest - odparł i żeby tego dowieść, przysunął się jeszcze bliżej. - Gdzie zostawiłaś Arthura? - zapytał. Arthur był dzieckiem Mair z nieprawego łoża, które powiła przed dziesięcioma laty.

Jego ojcu nie mogłaś go podzucić, bo Dylana tu dziś nie ma.

- Ani jego żony. Ku twemu rozczarowaniu.

Trystan zaklął cicho, po czym rzekł stanowczo.

- Moje uczucie do Genevieve już się wypaliło.

Możesz powiedzieć to samo o swoim do Dylana?

Mair roześmiała się cicho. Jak zawsze, kiedy próbował z nią w ten sposób rozmawiać.

- Zazdrosny, co?

- O ciebie i o niego nigdy.

- Wiedz, że roztropny Dylan nie tknął mnie od przyjścia na świat Arthura.

- Powiedziałem, że o ciebie i o niego nigdy - powtórzył.

Skłoniła mu się szyderczo.

- Dobrze już, dobrze, wierzę ci. A skoro tak się troszczysz o mojego syna, to ci powiem, że jest dziś z Treforem i Angharadą.

Trefor był drugim bękartem Dylana, którego spłodził z Angharadą.

- Angharadą dobrze się przynajmniej prowadzi.

- Nie weźmie sobie kochankę, bo ma się za kogoś lepszego. Uważa, że skoro urodziła dziecko baronowi, to teraz wara od niej byle ciurze.

- Tak ci powiedziała?

- Znasz Angharadę. Masz wątpliwości?

- Może żałuje, że zadała się z Dylanem.

Mair znowu się roześmiała.

- Nie gadaj głupstw. Nie żałuje tego i ja też nie. Zaraz, czy to aby nie wstęp do tych normańskich kazań? Dobrze wiesz, że my, Walijczycy, nie przywiązujemy do takich rzeczy wagi. Jesteśmy na to zbyt mądrzy.

- Ja bym tu użył innego słowa.

- Tak? A jakiegoż to? Nie, zaczekaj, niech odgadnę. - Przyłożyła mu do ust długi palec. - Grzeszni. - Zsunęła powoli palec na brodę. - Rozpasani. Rozpustni.

Wciąż podniecony, choć tyle wysiłku wkładał w okiełznanie żądy, odtrącił gniewnie jej dłoń.

- Nie wstyd ci ani trochę, że masz dziecko z nieprawego łoża?

- Widzę teraz, że za długo przebywałeś wśród Normanów! Nie, ani trochę mi nie wstyd.

- I nie gnębi cię, że Dylan ma żonę?

- A czemuż miałoby mnie gnębić? Nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą o małżeństwie. Poza tym rozstał się na długo przed tym, nim poznał Genevieve.

- Nigdy, przenigdy cię nie zrozumiem.

- Może to ja nie chcę, żebyś zrozumiał.

- Nie obchodzi mnie, co robisz ani z kim to robisz - odparował, ledwie ulegając pokusie posmakowania jeszcze raz jej słodkich, palących ust, przyciągnięcia do siebie miękkiego, a zarazem jędrnego kobiecego ciała.

- No i dobrze.

- To zostań tu i czekaj na swojego kochanka.

- Chyba lepiej pójde go poszukać, bo się spóźnia.
Puść mnie.

- Ja cię nie trzymam.

- Stoisz mi na drodze.

Krew tętniła mu w uszach.

- Tak?

- Tak.

Zamiast się usunąć, porwał Mair w ramiona i zawiądnął jej ustami z ognistą, lubieżną pasją, którą tłumił w sobie od tamtego pierwszego pocałunku.

Nie opierała się... ale tylko przez krótką chwilę. Potem odepchnęła go od siebie.

- Ja cię nawet nie lubię! - wykrztusiła z przekonaniem, pomimo że pocałunek Trystana DeLanyea obudził w niej nie tylko pożądanie, ale i niewytłumaczalną tęsknotę.

Tak, nie lubiła Trystana, drażniły ją te zimne szare oczy, w których, ilekroć na niej spoczęły, dostrzegała potępienie. Z pewnością za to, że czerpała z życia pełnymi garściami i nie stroniła od towarzystwa mężczyzn. Owszem, jak wszyscy DeLanyea był przystojny, miał takie same jak jego kuzyn falujące włosy i zmysłowe usta. Dobrze się też ubierał. Pod czarną tuniką i rajtuzami grały sploty mięśni, rezultat forsownych ćwiczeń i spędzanych w siodle godzin.

Równie przystojnych mężczyzn było więcej, a wśród nich wielu obdarzonych bardziej rozwiniętym poczuciem humoru. Trystan, jeśli nawet miał naj-

lepsze cechy kuzyna Dylana, to z posepnych, szarych oczu przypominał swojego starszego brata, wyniosłego i nieprzystępnego Griffydda DeLanyea, który nosił swój honor niczym zbroję.

- Ja też cię nie lubię - odburknął.

- Puść mnie zatem.

Wykonał półobrót i szerokim gestem ręki dał znak, że droga wolna. Postąpiła krok.

Tak, gdzież mu tam było do Ivora. Gdzie do Dylana, lanto i w ogóle do każdego z bez mała tuzina mężczyzn, z którymi się dotąd kochała.

Jednak żaden z nich nie całował jak on. Raptem zapragnęła jeszcze raz posmakować jego ust.

I tak, zamiast postąpić krok drugi, niespodziewanie zarzuciła mu ręce na szyję, ściągnęła w dół głowę i pocałowała z ogniem, delectując się zaskoczeniem i żądzą, jakie wywołała.

Pokaże Trystanowi, dlaczego mężczyźni tak się za nią uganiają.

Cofnął się gwałtownie, dysząc ciężko.

- To... nie przystoi... idź do domu.

Przyłożyła dłonie do jego szerokiej piersi. Czują pod tuniką napięte mięśnie i mocno bijące serce,

- Robię, co mi się podoba. Jestem już dorosła.

Szarpnęła pętelkę sznurówki pod szyją, rozchełstała mu dekolot tuniki i wsunawszy dłoń pod materiał, zaczęła gładzić jego nagi tors.

- Widzę - przyznał schrypniętym szeptem, za-

chłannie ugniatając dłońią jej pierś poprzez jedwab sukni i cienką koszulę.

Dyszac coraz chrapliwiej, wycisnął kolejny żarliwy pocałunek na jej chętnych wargach. Rozchyliła usta i jego język wśliznął się w ich wabiące ciepło.

Popchnął ją z powrotem do muru i nie przerywając pocałunku, zaczął luzować sznurowanie na plecach sukni.

Nie, mimo wszystko nie był jak inni. Od dawna to przeczuwała.

A gdyby sprawdzić to do końca?

Uporał się ze sznurówką i jednym niecierpliwym ruchem ściągnął górę sukni z jej ramion. Rozedrgały się sprężyste obnażone piersi. Omal nie krzyknęła z zachwytu i rozkoszy, kiedy przyssał się ustami do sutka. W ostatniej chwili powstrzymała ją błąkająca się gdzieś w podświadomości obawa, że strażnik mógłby usłyszeć.

Nienasycona, wciąż nienasycona, pchnęła do przodu biodra i zaczęła pocierać nimi o jego brzuch.

Dawała mu zezwolenie. Prosiła. Domagała się, by ją wziął.

Poszukała pod tuniką rzemienia jego rajtuzów.

Zdyszany, przyparł ją mocniej do muru, zadarł suknię i podkładając dłonie pod nagie pośladki, dźwignął w górę.

- O, tak, tak... - wyszeptwała, ściskając go za ramiona i oplatając nogami w pasie.

Wszedł w nią z oszalałą, gorączkową pożądlivością.

Przygryzając dolną wargę, żeby nie krzyknąć, z ekstazą witała kolejne potężne pchnięcia. Prężyła się jak struna strojonej lutni.

Był niczym wytrawny minstrel, który gra na jej ciele jak na dobrze sobie znajomym instrumencie. Przecignięta struna pękła wreszcie i fala za falą spłynęła na nią spełnienie.

Jego gorący oddech, który czuła przez cały czas na policzku, urwał się nagle. Trystan zeszywniał, a chwilę potem zwiotczał i opadł na nią, rozładowany i wyczerpany.

Również wyczerpana i zaspokojona, złożyła mu głowę na ramieniu. Powoli odzyskiwała oddech.

Zaraz potem wszystko wróciło do normalności.

Spółko wała przed chwilą z Trystanem DeLanyea który jej nie lubił.

Po szalonej namiętności nie zostało śladu, wyparły ją przyprawiające o mdłości wyrzuty sumienia.

On nigdy jej nie lubił. Wyczuwała to już wtedy kiedy byli dziećmi i przychodził z baronem, swoim ojcem, do browaru jej ojca. Stał jak wrośnięty w ziemię, nie odzywał się i mierzył ją tylko tym swoim potępiającym wzrokiem, jakby coś było z nią nie tak. Żeby go rozruszać, sprowokować do jakiejś reakcji, choćby przykrej dla siebie, nie szczędziła mu drwin i docinków. Na próżno.

Spuściła nogi i wyczuwszy pod stopami ziemię, uwolniła się z jego objęć. Suknia, opadając z szele-

stem okryła jej nagość i dowód pośpiesznego aktu, do którego tu doszło.

Trystan odwrócił się plecami, zawiązał rzemień podtrzymujący rajtuzy i wygładził na sobie tunikę.

- Przepraszam - bąknął. - Nie chciałem tego.

- Właśnie, że chciałeś - wysyczała. Jego zawstyżenie raniło jej dumę. Sięgnąwszy za siebie, wprawnymi ruchami ściągnęła i związała sznurówki sukni na plecach. - Gdybyś nie chciał, tobyś tego nie zrobił, nie próbuj więc zaprzeczać.

Odwrócił się i spojrzał na Mair.

Żałuję tego, co się stało - powiedział ponuro. - Wolałbym, żebyśmy oboje o tym zapomnieli.

Jego słowa nie powinny być dla niej zaskoczeniem, mimo to gorące łzy napłynęły jej do oczu.

Prędzej trupem by padła, niż zdradziła się przed nim, że ją zranił.

- A co się stało? - prychnęła. - Nic. Zupełnie nic!

- Rad jestem, że się rozumiemy.

- O tak, rozumiemy się, a jakże - szydziła. - Powiem ci tylko, że z Dylanem to się dopiero działo, tutaj nie stało się nic.

Nie czekając, aż zrani ją jeszcze bardziej swymi słowami, przemaszerowała obok niego z uniesioną dumnie głową i zbiegła po schodach.

Trystan westchnął i przecesał palcami rozwichrzone włosy. Rany boskie, co go podkusiło? Jak mógł nie zapanować nad sobą i zrobić coś tak głupiego?

I to z kim? Z Mair!

Z Mair, która zawsze się z niego natrzęsała, tak jakby wszystko, za co się wziął, było błazeństwem obliczonym na dostarczenie jej rozrywki, i którą pewnie chędożył, kto tylko chciał.

Która powiła jego kuzynowi syna z nieprawego łoża.

Boże, słodka, niewinna lady Rosamunde... To ją upatrzył sobie na żonę. Z pewnością nie chciałyby go znać, gdyby się dowiedziały o jego haniebnym, lubieżnym postępku.

Powinien był bardziej nad sobą panować, ale który mężczyzna pozostałby obojętny na ognisty pocałunek Mair? Który śmiertelnik oparłby się powabom tej rozpustnej, namiętnej kusicielki?

Zaden, nawet Griffydd.

Pocieszało go tylko, że w odróżnieniu od Mair ma przynajmniej wyrzuty sumienia. Inna kobieta, zorientowawszy się, że całuje nie tego, na kogo czekała, natychmiast wzięłaby nogi za pas.

Mair tak nie zrobiła, uległ więc pokusie.

Tak, to jej wina. Po co pocałowała go jeszcze raz? A poza tym, czy szanująca się kobieta wyznacza mężczyźnie schadzki w takim miejscu? Nie będzie sobie niczego wyrzucał. Wszystkiemu winna jest Mair.

No dobrze, ale jego plany tak czy siak ległyby w gruzach, gdyby lady Rosamunde dowiedziała się o wszystkim. Nie wolno mu do tego dopuścić, nawet gdyby musiał porozmawiać w cztery oczy z Mair.

Sądząc po jej wzburzeniu, kiedy się rozstawali, ona też będzie chyba chciała zachować w sekrecie to, co między nimi zaszło.

Tak, jutro skoro świt popędzi co koń wyskoczy do Mair. Nie, nie skoro świt, bo opuszczając zamek o tak wczesnej porze, zwróciłby na siebie uwagę i musiałby się potem tłumaczyć.

A nie chciał kłamać.

Mair żwawym krokiem przecinała rozległy dziedziniec. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu, jak najdalej od Trystana i całego rodu DeLanyea.

Musiało jej rozum odjąć, że się mu oddała!

A on - że też miał czelność prawić jej morały. Była dumna, że jest matką syna Dylana, a wszyscy wiedzieli, że Trystan durzy się w Genevieve, żonie Dylana.

Ironiczny uśmiezek wygiął kąciki jej ust. Wyglądało na to, że Trystan wyleczył się już z tej miłości.

- Mair!

Od strony bramy szedł jej na spotkanie mężczyzna w kolczudze. Gęste, ciemne włosy opadały mu na ramiona, przerastał ją o głowę.

Ivor.

- Gdzieś ty się podziewał? - spytała chłodno.

- Przekazywałem strażom hasło na dzisiejszą noc

- odparł przeproszającym tonem. Blask księżyca padał na jego grubo ciosaną twarz. - Ślicznie ci w tej sukni, Mair.

Chciał ją wziąć za rękę, ale się odsunęła.

- Myślałeś, że będę czekała do rana?

- Mair - powiedział głębokim, aksamitnym głosem, który najbardziej ją w nim pociągał. - Służba nie drużba. Nie odstępowałbym cię na krok, gdyby nie ona i nie twoje babskie... już możesz, tak?

- Tak.

- Chyba nie gniewasz się na mnie za to małe spóźnienie, prawda? To do ciebie niepodobne. Za dobre masz serce, żeby boczyć się o takie głupstwo.

Westchnęła. Zrobiła, co zrobiła, i nie zamierzała nikogo o to obwiniać.

- Nie, nie gniewam się na ciebie - odparła.

- Rad to słyszę - ucieszył się Ivor, zniżając głos do szeptu. Wziął ją za rękę i pociągnął w stronę zbrojowni.

- W moich koszarach dzisiaj tłoczno. Żołnierze uczują.

Wyrwała rękę z jego dłoni.

- Jestem zmęczona, Ivorze. Wracam do domu i kładę się spać.

- To pójdę z tobą. Skończyłem już służbę na dziś. Twój syn jest u Angharady, tak?

- Mówiłam, że jestem zmęczona. Dobranoc, Ivorze.

To powiedziawszy, Mair oddaliła się, zostawiając niepokieszonego kochanka pośrodku dziedzińca w kałuży księżycowego blasku.

Nazajutrz baron Emryss DeLanyea przekuśtykał przez wielką salę Craig Fawr i z bolesnym stęknięciem wspiął się na podwyższenie, by zasiąść tam do śniadania w towarzystwie najmłodszego syna. Po sali, między drewnianymi stołami dla służby i gości, uwijało się stadko służek, roznoszących pierwszy tego dnia posiłek.

- Boże, bądź miłościw - rzekł baron, opadając ciężko na krzesło. - Wiatr pewnikiem od wschodu, bo noga rwie mnie jak lichy!

Zmierzył Trystana taksującym spojrzeniem.

- Nie spało się tej nocy, co? Za dużo wina czy kobieta?

- T a t o! - syknął Trystan i zerknął ukradkiem w stronę stołu dla gości.

Szczęściem, pobożna lady Rosamunde nie powróciła jeszcze z kaplicy. Podczas porannego nabożeństwa Trystan sycił tam oczy jej widokiem. W bladoniebieskiej sukni, z bujnymi blond włosami, które prześwitywały spod najcieńszego z cienkich, białego jedwabnego woalu, wyglądała jak anielica. Powinien był na nią zaczekać i przyprowadzić na salę, ale nie chciał nadszkakiwać zbytnio swojej wybrance. Pragnął jej bardzo, lecz swoją godność też miał.

Poza tym uznał, że nawiązanie z nią bliższej znajomości łatwiej mu przyjdzie już po rozmówieniu się Mair.

- Jak chcesz - ciągnął pogodnie baron DeLanyea.

- Nie odpowiadaj mi, jeśli taka twoja wola. Lepiej żeby to była kobieta, bo opojów nie cierpię.

- Tak, wiem - bąknął syn, zerkając przelotnie na uśmiechniętą twarz ojca.

Baron przewiercał go wzrokiem. Choć oko miał jedno, widział nim wszystko. A jeśli nawet coś mu umknęło, to w odwodzie miał jeszcze żonę.

Przed rodzicami nic się nie ukryje. Trystan był naprawdę zaniepokojony.

- Zatem kobieta. Cóż, młodyś, to i krew w tobie gorąca. Nawet Griffydd bierze sobie...

- Nałożnice - wpadł mu w słowo Trystan. - Dylan też od nich nie stroni. Dopóki traktuję kobiety przyzwoicie, jak na rycerza przystało, nie przynosi to ujmy ani mnie, ani im.

Widok twarzy ojca sprawił, że Trystan pożałował swoich słów.

- Tak, to prawda, i wszystko zostaje między tobą a tą kobietą.

Tym razem Trystan wolał się nie odzywać.

- Żywię tylko nadzieję, że ta, z którą dokazujesz, to Walijka, a nie Normanka - rzekł ojciec, pochylając się, by oderwać gomółkę chleba od leżącego przed nim świeżego bochna.

Mott, ulubiony pies myśliwski ojca, ogromna czarna bestia, poderwał się z podłogi i węszył, czekając na okruchy z pańskiego stołu.

- Wpadłeś w oko Gwen - podjął baron, pokazując

ruchem głowy na krzątającą się po sali trochę młodszą od Trystana służkę.

Pulchna, wdzięcznie zaokrąglona Gwen miała ładne liczko i mogła się podobać mężczyznom. Trystan kilka razy skradł jej w kuchni całusa, ale dalej się nie posunął.

- Czy ona nie wydaje się czasem za Ianto?

- A tak, wyleciało mi z głowy.

- A mnie nie, i ja z nikim nie dokazuję.

- Nie? - W ustach ojca zabrzmiało to jak potępienie.

- Nie! - Trystan nachmurzył się. - Co ci się nie podoba w Normankach? Sam wzięłeś sobie jedną z nich za żonę.

Ojciec zachichotał.

Twoja matka jest wyjątkowa.

Trystan starał się nie dać po sobie poznać, że słyszy to już po raz tysięczny. Dla nikogo nie było tajemnicą, że ojciec kocha wyjątkową miłością jego wyjątkową matkę.

Baron spoważniał.

- Normanki są w większości wyniosłe i bardzo ambitne - powiedział - i chorobliwie czułe na punkcie swojego honoru. Nieroztropnie postępuje ten, kto obiecuje Normance więcej, niż gotów jest dać.

Trystan oderwał kawał chleba i drobiąc go na mniejsze cząstki, zaczął rzucać na podłogę, skąd łapczywie zmiatał je Mott.

- Niczego żadnej kobiecie nie obiecuję.

- Ja cię tylko ostrzegłem, synu - rzekł pojednawczo ojciec. - Nie chciałbym drugi raz przeżywać kłopotów, jakich przysporzył ożenek Dylana.

Trystan stracił cały apetyt. Odsunął miskę i wstał od stołu.

- Ja także. Zapewniam cię, tato, że będę się starał kierować we wszystkim rozsądkiem i honorem.

Baron spojrział na niego ze zdumieniem.

- To chyba oczywiste, synu. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłoby być inaczej.

Trystan w milczeniu obrócił się na pięcie i oddalił bez słowa.

Baron bezwiednie podrapał Motta po łbie.

- Chyba będzie trzeba porozmawiać o tym i owym z jego matką - rzekł pod nosem.

Utwierdził się w tym zamiarze, widząc, że syn staje jak wryty przy drzwiach i z wypiekami na twarzy pożera wzrokiem lady Rosamunde D'Heureux wchodzącą w towarzystwie ojca na salę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Trystan zdawał sobie sprawę, uśmiechając się do lady Rosamunde, że czerwieni się jak przyłapany na gorącym uczynku urwipołeć, ale nie było na to rady.

Miał nieprzyjemne uczucie, że nosi na czole widome piętno swojego sprośnego, lubieżnego uczynku, który, gdyby wyszedł na jaw, z pewnością wzbudziłby odrazę w tej pięknej, cnotliwej młodej damie.

- Dzień dobry, sir Trystanie - powiedziała cicho lady Rosamunde, skromnie spuszczać oczy i uśmiechając się nieśmiało.

Oj, nie ujrzy już on tego uśmiechu, jeśli lady Rosamunde dowie się, na co sobie pozwolił.

- Witaj, pani - skłonił się dwornie. - Panie - zwrócił się do niskiego, tęgiego, naburmuszonego ojca lady Rosamunde.

Sir Edward D'Heureux włosy miał siwe i, jak wszyscy Normanowie, przycięte pod donicę oraz podwinięte na końcach. Przed chłodem poranka chronił go długi, ciemny płaszcz podbity futrem. Nie wyglądał na zadowolonego z życia.

Trystan, mając w pamięci morze piwa i wina, jakie

sir Edward wyłopał poprzedniego wieczoru, założył, że właśnie ów brak umiaru jest powodem tego złego nastroju. Żywił nadzieję, że się nie myli i że to nic osobistego.

Rzucił ukradkowe spojrzenie ojcu, który zawsze nosił włosy do ramion i ubierał się z prostotą. Baron Emryss siedział nadal za stołem na podwyższeniu, jadł, popijał piwem i popatrywał na wdzięczącego się przed gośćmi syna. Na szczęście, wobec gości był zawsze wielkoduszny i serdeczny, a więc od tej strony Trystan nie musiał się obawiać konfuzji.

- Raczcie z łaski swojej zająć miejsca za stołem na podwyższeniu - zaproponował z silnym postanowieniem, że nie będzie zwracał uwagi na ojca śledzącego każdy jego ruch. Przemknęło mu też przez myśl, czy nie powinien się ostrzec, bo podobnie jak brat i kuzyn, strojem i fryzurą jako żywo przypominał barona.

Sir Edward kiwnął głową i bez słowa pomaszerował w kierunku podwyższenia, za to lady Rosamunde położyła miękką, szlachetną dłoń na ramieniu Trystana i spojrzała na niego błagalnie.

- Czy musimy? - spytała strwożona, cichym, melodyjnym głosem.

- Możemy usiąść tam, pani, jeśli wolisz - odparł z uśmiechem Trystan, wskazując ruchem głowy wolny stół. Pochlebiało mu niezmiernie, że lady Rosamunde życzy sobie być z nim sam na sam na tyle, na ile takiej cnotliwej damie wypada.

- Och, dzięki - wyszeptała, kiedy podał jej ramię i poprowadził w tamtą stronę.

Lady Rosamunde nawet siadała z gracją. Podgar-
nawszy pod siebie jednym płynnym ruchem fałdy
sukni opadła miękko na ławę i znowu spojrzała na
niego błękitnymi oczami, w których malowało się za-
kłopotanie.

- Wybacz, panie, i nie zrozum mnie źle, ale twój
ojciec... wzbudza we mnie lęk.

Trystan, zajmwszy miejsce obok niej, z lubością
wdychał delikatną woń perfum.

Mair pachniała zawsze miodem i przyprawami,
składnikami miodu pitnego i *braggot*, tradycyjnego
walijskiego napitku będącego czymś pośrednim mię-
dzy miodem a piwem.

Nie czas myśleć teraz o Mair, przywołał się do po-
rządku.

- Nie ma za co przepraszać, pani. Wielu takim go
znajduje, zwłaszcza zaś wrogowie.

- Chyba nie zaliczasz nas do wrogów waszego ro-
du, panie! - zachnęła się lady Rosamunde i na jej po-
liczki wypełzł rumieniec oburzenia.

- Skądże znowu - zapewnił ją pośpiesznie Trystan.

Lady Rosamunde uśmiechnęła się.

Był to bardzo miły uśmiech, pomimo że brakło
w nim...

Nie! W tym uśmiechu niczego nie brakowało. Był
cudowny i obdarzała go nim piękna niewiasta. Nie bę-

dzie szukał dziury w całym, przestanie myśleć o uśmiechu Mair, jej upstrzonym piegami nosku i kurzych łapkach pojawiających w kącikach oczu, gdy je mrużyła.

Oczu, które miotały błyskawice, kiedy wpadała w gniew, albo gdy mu dokuczała. Dziwne, ale wczoraj wieczorem się na niego nie zeźliła.

- Rada słyszę, że uważasz nas za przyjaciół - podjęła lady Rosamunde, nie zwracając najmniejszej uwagi na Gwen, która położyła przed nią chleb i postawiła dzban z piwem.

- Mam nadzieję, pani, że ty i twój ojciec zabawicie tu dłużej - powiedział Trystan, dziękując skinieniem głowy słudze.

Gwen, zanim odeszła, obrzuciła niechętnym spojrzeniem lady Rosamunde, czego ta na szczęście nie zauważyła.

- Och, nigdzie nam nie spieszo.

Trystan rozejrzał się szybko i upewniwszy się, że nikt, nawet ojciec, na nich nie patrzy, wsunął rękę pod stół i ścisnął miękką, wąską dłoń lady Rosamunde.

- To się cieszę.

Z trwogą i niedowierzaniem w oczach spojrzała na ich złączone ręce.

Trystan stropił się. Jeśli nie chce, żeby trzymał ją za rękę, to czemu jej nie cofnie? A jeśli nie ma nic przeciwko tej drobnej poufałości, to dlaczego jej dłoń wydaje mu się taka zwiotczała, bez życia, i co ma oznaczać ta mina?

Na wszelki wypadek, żeby oszczędzić lady Rosamunde zakłopotania, puścił jej dłoń i wycofał rękę spod stołu.

Rzuciła mu zawstydzone spojrzenie, w którym było teraz jeszcze więcej niedowierzania, i znowu spłonęła rumieńcem.

Zrobiło mu się głupio. Była dobrze wychowaną, skromną dziewczyną. Trudno oczekiwać, by zareagowała żywiołowo albo bardziej zdecydowanie.

To z pewnością przemawiało na jej korzyść.

- Zapowiada się ładny dzień - podjął. - Nie wybrałabyś się ze mną po śniadaniu na konną przejażdżkę pani? W towarzystwie pachółka, ma się rozumieć

- dorzucił pośpiesznie, żeby nie wzięła jego słów za niestosowną propozycję.

- Z wielką ochotą, sir Trystanie - odparła cicho.

Serce wypełniło mu przyjemne poczucie tryumfu. Ta niewiasta była łakomym kąskiem, uosobieniem szlachetnej normanskiej kobiecości, i bez wątpienia podobał się jej, może nawet na tyle, że przyjmie jego oświadczenia.

Poślubiając lady Rosamunde, pokazałby, ile jest wart, wszystkim, którzy porównywali go z Griffydem, Dylanem i ojcem.

Musi ją więc zdobyć i zdobędzie. Nic mu w tym nie przeszkodzi.

- Coś jest na rzeczy - zagaił ostrożnie Emryss De-Lanyea, popatrując spod oka na pochyloną nad tamborkiem żonę. - Wygląda na to, że nasz Trystan nie zmrużył w nocy oka, a drażliwy jest niczym niedźwiedź z cierniem w łapie.

- Może nie lubi, kiedy go przepytują jak niesforne pacholę. Mimo wszystko jest już mężczyzną, Emryssie - zauważyła lady Roanna z łagodnym, pełnym miłości uśmiechem, który rezerwowała tylko dla męża. Nie przerywała pracy nad haftem.

- To czemu tego nie powiedział? - Baron zaczął krążyć po komnacie, utykając na zranioną przed laty nogę. - Czy ja wróż, żebym czytał w jego myślach? Jeśli nie chciał, bym pytał, to powinien powiedzieć.

- I to mówi człowiek, który nikomu nie da po sobie poznać, że coś go trapi - zauważyła lady Roanna, Baron rzucił się na swoje masywne krzesło, ale zaraz się uśmiechnął.

- Tak, milczek z niego, jakich mało, ale ma to raczej po tobie niż po mnie.

- Obojętne, po kim to ma, jest skryty i zawsze taki był. Zastanawia mnie tylko, dlaczego tak się wzbraniał przed wyjawieniem ci, skąd to zmęczenie. Czyżby miał coś do ukrycia?

- Jestem pewien, że to kobieta.

Roanna ściągnęła brwi.

- Podejrzewasz, że robił coś, czego nie powinien, z lady Rosamunde? Zauważyłam, jak jej usługiwał

i jak tańczył z nią podczas uczy, a ona wyraźnie była temu rada.

Emryss podrapał się pod opaskę, która zasłaniała pusty oczodół.

- Oby nie - odparł.

- Nie podoba ci się lady Rosamunde?

Baron wzruszył ramionami. Bardziej przypominał teraz naburmuszone dziecko niż pana na zamku.

- Nie za bardzo.

- Urodziwa z niej panna.

- Może i urodziwa, ale wolałbym, żeby Trystan miał swój rozum i nie tracił głowy dla byle gładkiego liczka.

- Nie każdy mężczyzna może być tak roztropny jak ty. Biorąc mnie za żonę, nie kierowałaś się urodą.

- Tyle lat jesteśmy już razem, umiłowana, a ty wciąż nie chcesz uwierzyć, żeś piękna.

- Tylko dla ciebie, mój miły, ale to aż nadto mi starcza - odparła z uśmiechem. - Nie uważasz, że lady Rosamunde go zwodzi? - spytała, poważniejąc. - Że wcale jej na nim nie zależy?

Baron znowu wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Jest za... za dobrze ułożona. Za delikatna. Za idealna. Nie podoba mi się to.

- To, że jest taka idealna, czy to, że wpadła Trystanowi w oko?

- Po mojemu, taki ideał jest dobry dla kogoś, kto chce mieć za żonę zimny głaz. Święci pańscy, kiedy

na nią patrzę, to dziw mnie bierze, że ona w ogóle oddycha. Nie ma w niej ni krzty wigoru, ani trochę ikry.

- Jeśli Trystan naprawdę był z nią tej nocy, to może ma jednak tę ikrę, ale objawiła ją tylko przystojnemu młodzianowi, który zdobył jej serce.

- A gdzie ty widzisz to serce do zdobywania? - burknął baron. - Roanno, w Bogu nadzieja, że on z nią nie był. Jak dziura w moście potrzebny mi jeszcze jeden szlachcic rozsierdzony rozdźwiękiem swojej córki i domagający się ślubu.

- Emryssie. - Roanna zachichotała cicho. - Trystan to nie Dylan ani nie Griffydd. Wyobrażasz go sobie uwodzącego taką Normanekę jak lady Rosamunde? To mało prawdopodobne.

- Jeśli zatem nie był z nią - zastanawiał się głośno baron - to może z inną. - W jego oku zabłysła isierka rozbawienia. - Może z Mair.

Roanna uniosła brwi.

- Z tym przypuszczeniem chyba się przed nim nie zdradziłeś?

- Uchowaj Boże. Jeszcze mi życie miłe. - Emryss uśmiechnął się ze smutkiem. - Nie da się ukryć, że Mair to kobieta z ikrą!

- Niestety, jemu chyba do głowy nawet nie przyjdzie, by ożenić się z kobietą z gminu - zauważyła Roanna.

- Martwi mnie jego ambicja - przyznał Emryss.

- Wiem, co może zrobić z człowieka, który ma jej za wiele.

Roanna pokiwała w zadumie głową, wspominając ojca Dylana.

- Do tego niełatwo być najmłodszym z rodzeństwa. - Westchnęła cicho. - Że też ta Angharada nie trzymała języka za zębami. Wszystko było dobrze, dopóki nie przepowiedziała im, że się kiedyś pobiorą.

- Już w dzieciństwie darli ze sobą koty! - fuknął gniewnie Emryss.

- To było co innego. Dziecinne przekomarzania.

- Może trzeba było...

- Emryssie! Ani słowa więcej! - ostrzegła go Roanna. - Żadne z naszych dzieci nie lubi pouczania, i nie mów mi tylko, że nie mają tego po tobie.

Baron ściągnął brwi.

- Masz rację. Jak zawsze. Nic już więcej nie powiem. Zadowolona?

- Emryssie!

Baron pacnął dłońią o poręcz krzesła i wstał.

- Do kroćset, Roanno! Ja muszę wiedzieć, czy on poważnie myśli o tej normańskiej mimozie!

- Nie nazywaj jej mimozą!

- Kobiecie. Niewieście. Czym tam jeszcze. Nie ufam jej. Za bardzo się wdzięczy.

- Jeśli mam być szczerą, mój miły, mojej sympatii ona też nie wzbudza. Może to tylko przelotne zadurzenie?

- Na Boga, oby tak było!

- Cokolwiek to jest, nie wolno nam się wtrącać. Trystan jest dorosłym mężczyzną i powinniśmy mu zaufać. Emryss podszedł do żony i wziął ją w ramiona.

- Chcę tylko, żeby był w życiu szczęśliwy, Roanno, tak szczęśliwy jak my.

Uśmiech Roanny, jak zawsze, chwycił za serce.

- Wiem, mój miły, wiem - powiedziała, podając mu usta do pocałunku.

Gdyby któryś z ich synów wszedł w tym momencie do komnaty, przekonałby się, że namiętność nie wygasa nawet po trzydziestu latach małżeństwa.

- Arthurze, nie baw się przy jedzeniu. Jedz, bo rzucę to świniom - zażartowała Mair, dokładając drewno pod palenisko w małym domku otoczonym murami browaru, schedzie po ojcu.

W obrębie murów znajdowały się jeszcze cztery budynki - słodowni, właściwego browaru, składu oraz stajni, w której trzymali konia i wóz. Mair nie miała sobie równych w swoim fachu, dobrze jej się powodziło, w związku z czym nie była z nikim zaręczona ani uzależniona od żadnego mężczyzny. Taki stan rzeczy jej odpowiadał.

Jej nadałszy, szarooki syn trzepnął znowu łyżką w gęstą maź, która udawała owsiankę.

Wszyscy wiedzieli, że choć piwo warzyła wyśmiałe, to kucharką nie była najlepszą.

Mair pochyliła się nad kociołkiem i powąchała resztę owsianki. Sama na pierwszy posiłek najchętniej jadała owoce. Dorastający chłopiec potrzebował czegoś pożywniejszego.

- Chyba jej nie przypaliłam? - spytała ostrożnie. Owsianka nie zalatywała spalenizną, wolała jej jednak nie próbować.

- Nie, może być - burknął Arthur.

- Nie musisz kończyć, jeśli ci nie smakuje - powiedziała Mair. - Weź sobie jabłko z misy, ale tylko jedno. Reszta potrzebna mi na przysmak, który chcę przyrządzić na wieczerzę, a przynajmniej będę próbowała - dokończyła z uśmiechem zażenowania.

- Znowu ten Ivor przychodzi?

- Zobaczymy - odparła. - Jak przyjdzie, nie okazuj mu niechęci.

Gryzło ją sumienie, że tak obcesowo potraktowała poprzedniego wieczoru Ivora. Chciała naprawić błąd, zapraszając go na wieczerzę, a potem do swego łóżka. Tyle już dni nie byli razem.

Może właśnie dlatego nie zdołała zapanować nad namiętnością, gdy wczoraj przypadkowo spotkała Trystana.

Zupełnie jak zwierzę. Niektórzy księża głosili w kazaniach, że niewiasty, poczynając od Ewy, są wcieleństwem grzesznych żądź, ale jeśli nawet w istocie tak było, wcale jej to nie usprawiedliwiało. Pożądała wczorajszego wieczoru Trystana DeLanyea i go uwiodła.

Żałowała tego teraz, ale co się stało, to się nie od-
stanie. Całe szczęście, że z Ivorem niczego sobie nie-
obiecowali.

Tak, całe szczęście.

- Postaram się - mruknął Arthur, postukując łyżką
w miskę.

Mair podeszła do stołu i przyjrzała się bacznie sy-
nowi. Coś go musiało trapić, bo nie siedziałby tu tyle
czasu.

- Jak tam było u Trefora i Angharady? - spytał
Arthur pacnął łyżką w owsiankę.

- Nienawidzę Trefora!

Mair, wyrzucając sobie, że zaabsorbowana włas-
nymi troskami, nie zwróciła od razu uwagi na dziwne
zachowanie syna, wytarła dłonie o spódnicę i usiadła
naprzeciwko Arthura.

- Co się stało? Co ci zrobił Trefor?

- Powiedział, żebym się go we wszystkim słuchał,
bo jak nie, to powie naszemu ojcu, żeby nie pasował
mnie na rycerza, kiedy dorosnę.

Mair westchnęła.

- Przecież wiesz, że nieraz już takie rzeczy wyga-
dywał, a twój tato powiedział, że go nie posłucha.
Obiecał ci przecież, że zostaniesz rycerzem, bylebyś
tylko robił, co do ciebie należy.

Arthur ścisnął łyżkę z tak siłą, że pobielały mu
kłykcie.

- Wiem.

Nie daj się więc wyprowadzać Treforowi z równowagi. Mówi tak, żeby ci zrobić na złość. Kiedy widzi, że cię rozsierdził, czuje się silniejszy. Jeśli chcesz, żeby przestał, śmieję się z jego głupich pogroźek.

- Próbuję, ale on jest taki... taki...

- Taki dziwny? - podsunęła Mair ze współczującym uśmiechem. - Wiem, synku. Są na świecie ludzie, którzy nas drażnią, choć czasem sami nie wiemy czemu.

Dajmy na to, Trystan.

- Ivora też nie lubię.

- Dlaczego? Przecież jest ci życzliwy.

Arthur wzruszył ramionami. Z ruchów tak jej przypominał wszystkich mężczyzn z rodu DeLanyea, że uśmiechnęłyby się, gdyby nie gnębiące ją wspomnienie wydarzeń poprzedniego wieczoru.

- Ty też go za bardzo nie lubisz - dorzucił Arthur.

- Nieprawda!

- A chce cię poślubić? - spytał Arthur.

Mair wstała i podeszła do paleniska, żeby jeszcze raz zamieszać owsiankę w kociołku. Niestety, miała już konsystencję stwardniałego błota.

- Nie wiem - mruknęła.

- Nawet gdyby chciał, to nic z tego nie będzie.

Mair, zdejmując kociołek z owsianką z haka, zerknęła przez ramię na Arthura. Zaczynała podejrzewać, że nie tylko Trefor naopowiadał mu wczoraj bzdur.

Angharada powinna naprawdę powściągnąć język i nie rozpowiadać na wszystkie strony, że przepowiedziała Mair poślubienie Trystana.

- Niby czemu? Czemu miałabym za niego nie wyjść, gdybym go kochała?

- Bo ja go nie lubię.

- Arthurze, ja nie wybieram się za męża za nikogo - powiedziała zgodnie z prawdą. - Lubię być z Ivo-rem, a on ze mną. Co w tym złego?

- Dziś też mam iść na noc do Angahardy?

- Jeśli nie chcesz, to nie musisz.

- Nie chcę.

- Więc nie pójdziesz. - Zbliżyła się do syna i poczochnęła mu ciemne włosy, tak podobne do włosów ojca. - Arthurze, jesteś moim ukochanym synem, oczkiem w głowie, i nic tego nie zmieni. Obiecuję.

Arthur zarumienił się, jak zawsze, kiedy mówiła do niego w ten sposób, i posłał jej to potępiające spojrzenie, którym obrzucał ją czasami, gdy był zakłopotany - skąd ona znała to spojrzenie?

Jak to możliwe, że nigdy dotąd nie dostrzegła w nim podobieństwa do Trystana DeLanyea? Setki razy patrzył na nią tak samo, a ostatnio nie dalej jak wczorajszego wieczoru.

- Arthurze - powiedziała, starając się ukryć zakłopotanie - a nie pobiegłbyś do kuźni popatrzeć na Ianto przy pracy? Chyba że wolisz pomóc mi w browarze?

- Nie, mamuś, wołę do kuźni! - krzyknął Arthur.
Uśmiech rozjaśnił mu twarz, co jeszcze bardziej upodobniło go do ojca. - Ianto kuje dziś miecze!

Chłopiec już był za drzwiami.

- Wróć przed zmierzchem! - zawołała za nim, ale chyba już jej nie słyszał.

Wolałaby mieć kogoś przy sobie, kiedy przyjdzie Ivor. Pewniej by się czuła.

No nic, pora brać się do roboty, ale najpierw podrzuci resztę ścinającej się owsianki świniom.

Już miała schylić się po kociołek, kiedy w progu Stał uśmiechnięty od ucha do ucha Ivor.

- Nie spodziewałam się tu ciebie z samego rana.

- Zaszedłem, żeby jeszcze raz przeprosić za wczorajsze spóźnienie.

- Ja też przepraszam, że się tak obcesowo z tobą obeszłam.

Podszedł, otoczył ją w talii smagłymi ramionami i pocałował w szyję.

- Ivorze! Robota na mnie czeka.

- A ja chcę pokazać, jak bardzo mi ciebie brakowało.

- Tak, w łożu.

- Mair!

- Przepraszam, Ivorze. To ze zmęczenia.

- Pomyślałem sobie, że może i ty za mną zatęskniłaś.

Nie chciała kłamać, wzruszyła więc tylko ramio-

nami i skupiła wzrok na kolczudze okrywającej szeroki tors.

- Nie wyprawiono cię dzisiaj na patrolowanie boru albo gościńca?

- Mam towarzyszyć Trystanowi i lady Rosamunde w konnej przejażdżce. Pomyślałem sobie, że zanim dama się wyszykuje, zdążę jeszcze zajrzeć do ciebie.

- Dużo masz czasu?

Zachichotał cicho.

- Niestety, na to go nie starczy.

Mair udała rozczarowanie. Ivor był dobrym człowiekiem i nie zrobił nic, co tłumaczyłoby ulgę, że długo u niej nie zabawi.

- Spodobała mu się ta Normanka, co?

- Oczu od niej oderwać nie może. O Bożym świecie zapomina, kiedy na nią patrzy. - Ivor, zniżając głos do szeptu, zaczął pieścić jej pierś. - Jak ja, kiedy jestem blisko ciebie.

Odsunęła łagodnie jego dłoń.

- Nie pora ci wracać?

Ivor znowu zachichotał.

- Zadzurzony mężczyzna zrozumie drugiego takiego.

- Lepiej na to nie licz. - Zmusiła się do uśmiechu.

- Przyjdiesz na wieczerzę?

- O niczym innym nie marzę. - Jego uśmiech przypomniał jej, dlaczego wpuściła go pod pierzynę.

- No, może z wyjątkiem paru rzeczy. - Puścił ją i

z ociąganiem wycofał się do drzwi. - Obiecuję, że się nic spóźnię.

- Trzymam za słowo - odparła, odzyskując humor.

Ivor wyszedł. Tak, dobry był z niego człowiek, ale go nie kochała. I nigdy nie pokocha.

Spojrzała z westchnieniem na kociołek i pokręciła głową. Jak to jest, że warzy najlepsze piwo i miód w Walii, a nie wychodzi jej coś tak prostego jak owsianka?

- To chyba jedna z tajemnic życia - orzekła, schylając się znowu po kociołek.

I w tym momencie skrzypnęły drzwi.

Podniosła wzrok przekonana, że to Ivor wraca. Jakież było jej zdumienie, kiedy zobaczyła w progu nachmurzonego Trystana.

ROZDZIAŁ TRZECI

Poranny wietrzyk zmierzwił Trystanowi włosy. Ciemna wełniana tunika ściągnięta pasem uwydlatniała bary i klatkę piersiową. Patrząc nań pod słońce, Mair zauważyła też, że ma najkształtniejsze nogi ze wszystkich DeLanyea, nie wyłączając Dylana.

Powróciło wspomnienie namiętności, z jaką trzymał ją wczoraj w objęciach.

Mimo to w pierwszym odruchu chciała krzyknąć, żeby się wynosił. Nie miała ochoty z nim rozmawiać, a tym bardziej przypominać sobie, co zaszło między nimi poprzedniego wieczoru.

Uniosła wyzywająco brodę, przekrzywiła głowę i spojrzała niechętnie na niespodziewanego gościa.

- Czego chcesz? - zapytała chłodno, choć serce, niczym tamburyn minstrela, wybijało rytm skoczno-go tańca.

- Mogę wejść? - spytał Trystan, nie ruszając się od progu.

- Doszły mnie słuchy, że wybierasz się dzisiaj z lady Rosamunde na konną przejażdżkę. Że też nie

łęka się wypuszczać poza mury zamku! Ciekawe, skąd weźmie siły na utrzymanie się w siodle. Sama skóra i kości i bledziuchna taka. Zdałoby się jej kilka sutych posiłków.

- Nie jestem tu po to, żeby rozmawiać o lady Rosamunde. Pozwolisz wejść? - powtórzył Trystan z oschłą uprzejmością.

- Wszedłeś wczoraj aż nadto, nie pytając o zgodę. Co by to dało, gdybym ci zabroniła wstępu do mojego domu?

- Jeśli nie zechcesz mnie wpuścić - burknął, patrząc na nią spod zmarszczonych brwi - jako prawy rycerz uszanuję twoją wolę.

- Zachodź, sir Trystanie, i czuj się jak u siebie - odparła ironicznie.

Kiedy niczym zwycięski wojownik wkraczał do izby, powiedziała sobie w duchu, że nie będzie wspominała temu zimnemu, pruderyjnemu mężczyźnie minionego wieczoru. Owszem, zapomnieli się wczoraj, ale to jeszcze nie koniec świata.

Obszedł stół i stanął jak wryty na widok nieudanej owsianki.

- Nie spodziewałam się tu ciebie - rzuciła szybko, rumieniąc się nie wiedzieć czemu. Dla nikogo nie było tajemnicą, że żadna z niej kucharka, niechby więc sobie patrzył do woli.

Podniósł na nią wzrok.

- Nie spodziewałam się, że raczysz przestąpić

moje skromne progi. - Nie cofnęła się, kiedy ruszył w jej stronę. - Cóż cię sprowadza, sir Trystanie?

- Przyszedłem cię prosić... - Zawahał się. - Czy mówiłaś komu... ? - Znowu zawiesił głos.

- O wczorajszym? - dokończyła. - A co niby miałabym powiedzieć?

Spojrzał na nią gniewnie, z przyganą, tak jakby ją obwiniął o to, co razem zrobili.

- O ile cię znam, wszystko.

- Aha, wydaje ci się, że mnie znasz?

- Oczywiście.

Przysunęła się bliżej i z przekornym uśmiechem zapytała:

- A gdybym tak zaczęła rozpowiadać na prawo i lewo, że spółkowałam na murach z Trystanem De-Lanyea, to co?

Spurpurowiał, założył ręce na piersi i przeszył ją gniewnym spojrzeniem.

- Nie zrobiłabyś tego.

- Skąd wiesz? Przecie bym nie skłamała, prawda?

- Wstydu nie masz?! Nie mierzi cię to, cośmy uczynili?

- Jakoś nie zauważyłam, żeby coś cię wczoraj mierziło, zwłaszcza kiedy się już do mnie dobrałeś.

- Powiedziałem zaraz potem, że nie powinniśmy byli...

- A ja przyznałam ci rację. Czemu zatem zawdzięczam twoje odwiedziny?

Trystan odchrząknął.

- Mam pewne plany, Mair - zaczął, spoglądając na nią szarymi oczyma, z których wycierała powaga i determinacja - i nie ma w nich miejsca dla ciebie.

Te słowa zadały jej ból, jakiego dotąd nie zaznała, ból dotkliwszy od fizycznego. Zdusiła go, odpędziła, tłumacząc sobie, że od samego początku się tego spodziewała.

- Zamierzam poślubić lady Rosamunde D'Heureux, jeśli tylko raczy przyjąć moje oświadczenia.

- W moich planach też nie ma miejsca dla ciebie - odparowała Mair, wmawiając sobie, że nie obchodzi jej, co zamierza Trystan. Jeśli umyślił poślubić tę normancką kukłę, z którą użyje w łóżku tyle co z bryłą lodu, to jego sprawa. - Z tego powodu nic nie powiedziałam. Nikomu.

Trystan odetchnął pełną piersią, jakby wielki ciężar spadł mu z serca.

- Mair - powiedział już łagodniej, zbliżając się - przepraszam za to, co się stało. Nie wiem, doprawdy, co we mnie wstąpiło.

Mair nie cofnęła się. Może by i to zrobiła, ale nie była w stanie. Usiłowała zapanować nad głosem, który zaczynał się niebezpiecznie łamać, i nad drżeniem rąk.

- Zachowałem się jak dzika, lubieżna bestia - dodał z pokorą Trystan.

- Zachowałeś się jak mężczyzna, który pragnie kobiety. To ja przepraszam... przepraszam, że porównałam cię do Dylana.

Wyraz jego twarzy kazał jej ciągnąć jednym tchem:

- Nie wstydę się, że byłam jego kochanką, był cudowny, ale...

Oczy Trystana rozbłysły, jakby podświetlone od wewnątrz.

- Ale co? - podchwycił.

Umknęła wzrokiem w bok.

Przysunął się jeszcze bliżej, czuła już na policzku jego oddech.

- Uważaj na słowa, Mair, bo jeszcze pomyślę sobie Bóg wie co.

- Bez obawy, ja ci kadzić nie będę.

- Wiem, że są tacy, co porównują mnie z bratem kuzynem i ojcem, i stawiają niżej od nich.

Ujrzała w jego oczach pokorę, o którą go dotąd nie podejrzewała.

Jak może się czuć ktoś, kogo od dziecka porównują do starszych krewnych? Do ojca, sławnego Emryssa DeLanyea, który stracił oko na wyprawie krzyżowej, ale wrócił z niej okryty chwałą? Albo do posepnego Griffydda, który cieszył się powszechnym szacunkiem i poważaniem? Czy choćby nawet do Dylana, któremu wszyscy mężczyźni zazdrościli osobistego uroku i prezencji?

Czy biorąc powyższe pod uwagę, można się było dziwić, że Trystan upatrzył sobie na żonę lady Rosamunde, uosobienie normañskiej kobiecości, piękność z potężnego rodu?

- Nie przeczę, powodów do dumy też masz niemało - dorzuciła.

Jego usta rozciągnął powoli nieprawdopodobnie pociągający uśmiech.

- Doprawdy?

- Wiem coś o tym - mruknęła, przechodząc przeczornie na drugą stronę stołu. Wolała być czymś od niego odgradzona, kiedy tak na nią patrzył.

- Jakie to powody? Że mam dobrego ojca, dzielnego brata i przystojnego kuzyna?

- Nie muszę ci wyliczać twoich zalet. Sam je znasz. - Przeszedł ją dreszcz, kiedy znów zaczął okrażać stół. Najchętniej czmychnęłaby teraz z domu, ale zagradał jej drogę do drzwi. - Masz plany, Trystanie, i dla mnie nie ma w nich miejsca.

Zatrzymał się o krok od niej i patrzył, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

- A ty, Mair? Jakie są twoje zamierzenia?

Nikt nie zadał jej jeszcze takiego pytania, mało tego, sama nigdy go sobie nie zadała.

- Ja? No... - zająknęła się - ...chcę wychować Arthura na dzielnego rycerza i warzyć piwo najbardziej udatnie, jak potrafię.

Położył jej dłonie na ramionach.

- I to wszystko? - spytał cicho, przyciągając ją do siebie. Szare oczy zasły mu mgłą, oddychał coraz, szybciej.

- Zabierz ręce, Trystanie - szepnęła Mair, z trudem nad sobą panując.

O dziwo, posłuchał, choć nie do końca. Jego uścisk zelżał, dłonie zaczęły zsuwać się powoli, pieszczotliwie po jej ramionach.

- Każ mi wyjść, Mair, a wnet mnie tu nie będzie.

Palce ruszyły w powolną, prowokującą podróż powrotną po jej ramionach.

Milczała.

Jak mogła go wyprosić, skoro tak pragnęła, by został i wziął ją znowu? Ileż to razy marzyła, by znaleźć się w jego ramionach? Ile razy zasypiając, wyobrażała sobie, że obok leży Trystan?

Czego by się nie wyrzekła, byle tylko on został jej pierwszym kochankiem?

Wszystkiego prócz dumy, dumy, która od tak dawna kazała jej ukrywać przed nim, jak bardzo go pragnie, jak pożąda.

A teraz... teraz ziszczało się to, o czym tak często marzyła.

Nie, nie chciała, żeby sobie poszedł.

Przestała się zmagać z namiętnością.

Przywarła całym ciałem do Trystana, na obnażonych ramionach poczuła podniecające muśnięcie jego

włosów, kiedy pochylał głowę. Usta spotkały się w gwałtownym, pełnym pasji pocałunku.

Było jeszcze wspanialej niż poprzednio. Wczorajszego wieczoru powodowały nim tylko prymitywna żądza i ślepe dążenie do jej rozładowania. Dzisiaj również - ale nie tylko.

Dzisiaj powściągał swą niecierpliwość, bardziej nad sobą panował, miał większe uważanie dla niej, wyraźnie chciał jej dogodzić.

A ona nie mogła się doczekać, kiedy w końcu w nią wejdzie, weźmie ją. Wypełni. Da odczuć, że pożąda jej tak mocno i zachłannie jak ona jego.

Szkoda jej było czasu na wstępne pieszczoty, nie chciała słuchać czułych słówek, nie miała do tego cierpliwości.

Wsunęła mu język między wargi i poszukała dłonią jego męskości. Zaczęła pieścić ją, wijąc się przy tym i wyginając pod dłońmi, którymi wodził zachłannie po jej ciele.

W zapamiętaniu naparta na niego biodrami i wydała z siebie przeciągły, gardłowy pomruk.

Pociągając go za sobą, osunęła się na klepisko. Klęcząc między jej nogami, obsypywał ją pocałunkami i pieścił piersi.

Zadarła spódnicę, a on gwałtownym szarpnięciem rozwiązał rzemień rajtuzów - i nie wiedzieć kiedy był już w niej, wypełniał ją, doprowadzał do szaleństwa. Wygięła się w łuk i oplotła mu ramionami szyję.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak zespolona z kochan-
kiem. Musieli być sobie przeznaczeni. Czy inaczej zna-
lazłby językiem to wrażliwe miejsce na szyi? Czy wie-
działby, że wodząc koniuszkami palców tuż po piersią,
sprawia jej rozkosz niemal nie do zniesienia?

Ściskając go za ramiona, uniosła głowę i wessała
wrażliwy płatek jego ucha. Zacisnęła delikatnie zęby.
Wstrzymał oddech.

Nie była w stanie przedłużyć tej pieśczo-
ty, bo wielkimi krokami zbliżało się spełnienie.

Spadło na nią jak grom z jasnego nieba. Porażona,
oślepiąca, dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że
on też już skończył.

Zdyszany, złożył głowę na jej piersiach, a ona gła-
skała jego falujące, ciemne włosy. Nie przeszkadzała
jej twardość klepiska.

- Rany boskie, Mair, czemuś mi to zrobiła? - sze-
pnął.

Zesztywniała.

- Niczego ci nie zrobiłam.

- Przez ciebie pofolgowałem swoim najniższym
żądcom - powiedział z nutką rozżalenia w głosie,
wstał i zaczął doprowadzać się do porządku.

Kiedy również podniosła się z klepiska, spojrzął na
nią jak na rusałkę, która wiedzie wędrowców na
manowce.

- Jestem tylko mężczyzną, a każdy mężczyzna
ma przecie swoje potrzeby...

Twarz Mair stężała. Nie zapraszała go do siebie; przyszedł tu z własnej, nieprzymuszonej woli. Nie ona pierwsza go dotknęła. Nie odurzyła go niczym, nie upiła.

Nie zrobiła nic złego - popuściła tylko wodzy namiętności, bo wydało jej się, że mu na niej zależy.

- Swoje potrzeby, powiadasz? Niech no odgadnę. Ta Normanka, do której się ślinisz, nie pozwala ci się tknąć, postanowiłeś więc u mnie szukać pociechy. Nie będę namiastką żadnej kobiety, Trystanie De-Lanyea!

- Mair, nie przyszedłem do ciebie w takim zdrożnym celu - powiedział i rzucił jej ostre, potępiające spojrzenie. - Jeśli myślisz, że byłbym do tego zdolny, to dziwię się, żeś mnie do siebie dopuściła.

Szybkimi, gniewnymi ruchami poprawiała na sobie suknię.

- Ja również się sobie dziwię. A teraz precz!

- Nie wyjdę, dopóki nie dasz mi słowa, że zachowałem w sekrecie to, do czego między nami doszło. - Zaczerwienił się. - Już dwa razy - dodał.

Spojrzała na niego jak na mysz, która zakradła się do jej składów.

- Nie twoja sprawa, co powiem dziś wieczorem Ivorowi - leżąc z nim w łóżu.

Trystan zacisnął pięści.

- Wiem, że szafujesz swoimi wdziękami, Mair, ale do głowy by mi nie przyszło, że aż tak hojnie.

Uniosła dumnie brodę, jej oczy miały błyskawice.

- No, dalej, ubliżaj mi! - wycodziła z pogardą, wściekła na niego i na siebie za tę chwilę słabości.
- Czekam! Nienawidzisz mnie, a ja ciebie. Ani myślę chwalić się Ivorowi, bo to by tylko świadczyło, że jestem niespełna rozumu! Choć z moją głową coś chyba rzeczywiście nie do końca w porządku, skoro ci się oddałam. I to w dwójnasób nie w porządku, bo dwa razy to uczyniłam. Ale ja ci przynajmniej nie będę wyrzucała, żeś mnie przymuszał. Sama tego chciałam, ale na tym koniec - nigdy więcej do tego nie dopuszczę! - Wzięła się pod boki. - A teraz żegnaj, sir, i racz tu więcej nie zaglądać. Wstyd mi, kiedy na ciebie patrzę.

Zrobił sceptyczną minę.

- Nie mów mi tylko, że wstydzisz się swojej rozwiązłości.

Spłonęła rumieńcem.

- Tak, nie wstyd mi, że kocham się z mężczyznami! - zawołała. - Wstydzę się, że kochałam się z tobą! A teraz precz z mego domu i nie waż się więcej do mnie odzywać!

Trystan, czerwony jak burak, skłonił się sztywno i ruszył do drzwi.

Mair porwała z ziemi kociołek ze stwardniałą owsianką i cisnęła za nim. Uderzył z głuchym łomotem we framugę, i potoczył się po klepisku. Podniosła go i obejrzała głębokie wgniecenie.

Gdyby trafiła w Trystana, położyłaby go chyba trupem.

Niemal żałowała, że tak się nie stało. Niemal.

Tak czy owak, przysięgła sobie w duchu, że już nigdy nie zbliży się do tego Trystana o pięknym, umięśnionym ciele, przystojnym obliczu i oczach, które zdawały się mówić...

Nie, od tej pory nie chce mieć z nim do czynienia, choćby nadal tak na nią patrzył; mimo że jego dłonie potrafiły ją pieścić i rozbudzać jak żadne inne; chociaż jego pocałunki napełniały ją takim pożądaniem...

- Niedoczekanie - szepnęła.

Lady Rosamunde patrzyła przez okno swojej urzędzonej z przepychem komnaty w zachodniej wieży, wychodzące na rojny dziedziniec zamku Craig Fawr. Jej znudzony wzrok zatrzymał się na chwilę na smagłym dowódcy straży, który rozmawiał ze swoimi ludźmi w tym śmiesznym walijskim narzeczu. Mężczyzna, wysoki, dobrze zbudowany, był pociągający na swój barbarzyński sposób. Zapewne z kobietami kocha się jak zwierzę, pomyślała, i fala gorąca objęła jej całe ciało.

Tak czy owak, to barbarzyńca niewart jej uwagi. Wróciła myślami do Trystana DeLanyea, którego postanowiła potrzymać nieco w niepewności, zanim uda się z nim na konną przejażdżkę.

Mądra kobieta każe mężczyźnie czekać, by ten skruszał.

Popatrzyła ponad blankami na krainę rozciągającą się za murami okazałego zamku, z którego, trzeba przyznać, dumny byłby każdy Norman. Potem rozejrzała się po komnacie.

Wygodne łoże z miękką, jedwabną pościelą i woskowe świece do rozpraszania mroków nocy. Ozdobny kosz na polana, piękny dzban na wodę, a na stoliku obok miednica. Nawet kobierzec na podłodze, zbytek, na który stać tylko najzamożniejszą szlachtę. No dobrze, ale jak inteligentna, światła osoba może się dobrowolnie skazywać na życie w takim oddaleniu od Londynu i dworu, z dala od cywilizacji. Miejscowi kmiecie, ze swoim bełkotliwym językiem i dziwacznymi obyczajami, przypominali dzikusów. I ta ich oburzająca zażyłość z dziedzicem...

Dajmy na to, owa kobieta w pięknej czerwonej sukni, którą widziała na uczcie. Podobno jest zwyczajną piwowarką - a przecież tańczyła, jakby była... jakby była kimś.

Cóż, pomyślała Rosamunde, odwracając się, by jeszcze raz popatrzeć na dziedziniec, takiej pięknej i pełnej gracji kobiecie jak ona łatwo byłoby przekonać kochającego młodego małżonka, że mężczyzna mający jakieś ambicje powinien spędzać większą część roku w Londynie, przy dworze.

Doszła do wniosku, że dobrym kandydatem na te-

go kochającego, młodego małżonka byłby przystojny Trystan DeLanyea.

Powierzchnowość Trystana była, rzecz jasna, tylko mile widzianym dodatkiem do właściwych atrybutów, na które przede wszystkim powinna zwracać uwagę kobieta z jej pozycją. Najważniejsza była za-
możność i wynikająca z niej władza. Bez nich naj-
piękniejsza kobieta niewiele znaczyła, a miłość uro-
dziwego męża jeszcze mniej. Na szczęście wszystko,
co widziała w Craig Fawr, świadczyło, że ród DeLa-
nyea opływa w dostatki.

Pozostawał tylko problem domieszki walijskiej
krwi w żyłach Trystana DeLanyea. Na szczęście Wa-
lijczykiem był tylko w jednej ćwierci, a w pozosta-
łych trzech Normanem. Poza tym - na co ona od razu
zwróciła uwagę, a jej ojciec z czasem dojdzie do tego
samego wniosku - pochodzenie nie przeszkodziło oj-
cu Trystana zdobyć wysokiej pozycji w rządzonej
przez Normanów Anglii.

Tak, z tego, co tu zdążyła zaobserwować, wynika-
ło niezbicie, że Trystan DeLanyea to dobra partia.
Szkoda tylko, że nie jest najstarszym synem, ale nie
miała wątpliwości, że każdy syn barona DeLanyea
wniesie do małżeństwa piękną, kwitnącą posiadłość.

Jeszcze jednym ważnym czynnikiem wpływają-
cym na jej decyzję było przeświadczenie, że Trystan
DeLanyea już ją kocha. Znała się na mężczyznach na
tyle, by rozpoznać u nich oznaki zauroczenia, i była

pewna, że potrafi rozniecić ów płomyk i podtrzymać go jeszcze długo po ślubie.

Lady Rosamunde, zadowolona ze swej racjonalnej i mądrej decyzji, uśmiechnęła się z satysfakcją. Potem, uznając, że już wystarczająco długo kazała czekać przyszłemu małżonkowi, narzuciła na ramiona lekką pelerynę i wyszła z komnaty.

Trystan, nieświadom faktu, że jego los został już na dobrą sprawę przesądzony, i to całkiem nie w myśl przepowiedni Angharady, maszerował w stronę stajni, wyrzucając sobie głupotę.

Jak mógł to po raz wtóry zrobić? Jak mógł okazać taką słabość i nie zapanować nad zdradzieckim ciałem?

To ani chybi wina Mair. Żadna inna kobieta tak na niego nie działała, nawet lady Rosamunde. Wystarczyło jedno spojrzenie Mair, jeden dotyk jej dłoni, a zaraz pożądanie brało go w swoje posiadanie. Albo teraz; zrobili to przed chwilą, a ledwo o niej pomyślał, już wzbierało w nim pragnienie, by pojąć ją znowu.

Grzmotnął pięścią w otwartą dłoń. Nie jest wszak głupcem ani zadurzonym po uszy młodziankiem. Musi być silny. Musi zapanować nad prymitywną żądzą, jeśli chce zdobyć lady Rosamunde.

Wystarczy obchodzić Mair szerokim łukiem. Tak, od tej pory postara się nie zbliżać do niej na odległość mniejszą niż dwadzieścia kroków.

Westchnął spazmatycznie i przeczesał palcami włosy. Na Boga, naprawdę jest z nim źle, skoro powątpiewa, czy choćby na tyle się zdobędzie.

A może to nic takiego? Może, jak w gniewie zarzuciła mu Mair, jest po prostu jurnym młodym mężczyzną, który potrzebuje rozładować swoje naturalne popędy. Od tygodni nie był w burdelu, nigdy zresztą nie przepadał za takimi przybytkami, obrzydzeniem napawały go te wulgarne kobiety i brudna pościel.

- Och, lady Rosamunde! - wykrzyknął, omal się z nią nie zderzając.

Odskoczyła w samą porę i uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Nie chciałam cię przestraszyć, panie!

Jakaż śliczna była w tej lekkiej pelerynie koloru nieba i zwiewnym jak mgiełka białym szalu, którego koniec muskał jej policzek.

Chłodne powietrze i zaskoczenie przywołały na jej blade zazwyczaj policzki kuszący rumieniec.

- Wybacz, pani, zadumałem się - wybąkał.

- A cóż to za myśli tak cię zajęły, mam nadzieję, że nie przykre?

Uśmiechnął się i uznał, że pora na wyjawienie zamiarów jest tak samo dobra jak każda inna.

- Przykre nie, ale ważne - odparł - i ciebie dotyczące.

- Mnie? - spytała ze szczerym zdziwieniem i zadowolaniem, które rad zauważył.

- Tak. - Rozejrzał się szybko po rojnym dziedzińcu, gdzie kłębili się służdy i dworzanie, i podjął: - Zechcesz, pani, pójść ze mną do ogrodu mojej matki? Mam z tobą do pomówienia.

Rozejrzała się z niepokojem w oczach.

- Do ogrodu, panie? Tylko we dwoje? A przejażdżka, którą mi obiecałeś?

- Przejazdżka też będzie, ale później, pani. Teraz chodź ze mną, proszę, do ogrodu. Zapewniam, że z mojej strony nic ci nie zagraża.

- Och, wierzę ci, panie, ale co pomyślą inni, jeśli nas tam razem zobaczą. Czy uwierzą, że tylko rozmawialiśmy?

- Mnie uwierzą.

Spojrzała na niego trochę spłoszona. Zrozumiał, że popełnił błąd, tak nachalnie nalegając.

- Jeśli nie masz ochoty, pani, albo wolałabyś wziąć dworkę na przyzwoitkę... - zaczął bez przekonania.

Lady Rosamunde uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nie trzeba. Ufam ci, panie.

Jej słowa zamiast wbić go w dumę i uszczęśliwić, wywołały nową falę wyrzutów sumienia, że znowu był z Mair.

Podał lady Rosamunde ramię i poprowadził ją do jednego z najbardziej ustronnych zakątków różanego ogrodu matki, przygotowanego już do nadciągającej zimy. Wolałby mieć pewność, że nikt ze służby nie

podślucha jego oświadczyn, ale mając na uwadze jej obiekcje, pozostawił bramę otworem. Usiedli na drewnianej ławce.

- Uroczo musi tu być latem - zauważyła z uśmiechem lady Rosamunde. - Oaza pośród dziczy.

- To prawda. Z tym że trudno nazwać Walię dziczą.

- Ale tak daleko stąd do Londynu - odparła lady Rosamunde. - Takiemu jak ty mężczyźnie musi być przykro, że wypadło mu żyć z dala od dworu.

Uśmiechnął się.

- Takiemu jak ja?

- Słyszeliśmy o twoich turniejowych przewagach - powiedziała, rumieniając się. - Zaczyna być o tobie głośno, sir Trystanie.

Ów niewymuszony komplement napełnił go dumą. Zawsze pragnął, by wieść o jego zwycięstwach dotarła do uszu kogoś z normańskiej szlachty, i oto marzenie to się spełniło.

Lady Rosamunde nadal patrzyła nań z niekłamanym podziwem.

- Jestem przekonana, że każdy z przyjaciół mojego ojca służący u dworu, przyjąłby cię z otwartymi ramionami na swojego wasala.

- Ja, niestety, nie mam takiej pewności, pani - powiedział cicho.

- Przyznaję, domieszka walijskiej krwi nie wychodzi ci na dobre, ale śmiem twierdzić, że przymknięto by na to oko.

Trystan zmarkotniał, bo z tych słów wynikało, że w jej mniemaniu jest dziedzicznie obciążony i nie zmieniają tego ani zwycięstwa odnoszone w rycerskich turniejach, ani pozycja rodu.

- To prawda, w jednej ćwierci jestem Walijczyku.

- Prawdą też jest, że twój ojciec cieszy się wielkim poważaniem. - Zerknęła na niego spod oka. - Jestem pewna, że wielu osobom twoje pochodzę nie będzie w ogóle wadziło.

Wmawiając sobie, że nie zamierzała go obrazić, ujął jej zimną jak lód dłoń.

- A tobie wadzi, pani?

- Nie.

Głos wewnętrzny podszeptał, że oto nadeszła najlepsza pora na poproszenie jej o rękę. Musi to z siebie teraz wydusić. Spytać ją, czy zechce wyświadczyć mu tę łaskę i zostać jego żoną, czyniąc go najszczęśliwszym człowiekiem w Brytanii.

Patrzyła na niego wyczekująco, a on jak na złość zapomniał języka w gębie.

Głos wewnętrzny ponaglał. Teraz albo nigdy!

Zamiast pójść za jego podszeptami, otoczył lady Rosamunde ramieniem, przygarnął do siebie i pocałował delikatnie.

Wargi miała tak samo zimne jak dłonie. Wydało mu się, że całuje kamień.

- Wybacz, pani. Twoja uroda... - wyjąkał, odsuwając się.

O, zgrozo, nie był nawet w stanie wystękać do końca usprawiedliwienia dla swojego postępu.

Ku jego niewypowiedzianej uldze lady Rosamunde uśmiechnęła się. Wcale nie wyglądała na zgorzoną.

- Nie gniewam się, panie. Nawet mi to pochlebiło, choć nie da się ukryć, że zachowałeś się wielce nieprzystojnie.

Nie będzie zważał na chłód jej pocałunku i poślubi lady Rosamunde. Wzieniając się w jej ród, trafi na dwór, a w ostateczności do świty jakiegoś potężnego lorda.

Zresztą była najbardziej urodziwą kobietą, jaka kiedykolwiek zawitała do Craig Fawr, a do tego najskromniejszą, najcnotliwszą i najwdzięczniejszą. Poślubiając ją, wzniesie się w oczach całego świata nie tylko ponad Griffydda i Dylana, ale również wszystkich nieżonatych normańskich szlachciców w Brytanii.

Gdyby jeszcze nie ta pustka w głowie...

- O czym chciałeś ze mną pomówić, panie? - spytała lady Rosamunde, pełnym gracji ruchem poprawiając kaptur peleryny.

- Jak długo zamierzacie zabawić z ojcem w Craig Fawr, pani?

Lady Rosamunde, nawet jeśli doznała zawodu, to nie dała tego po sobie poznać.

- Jeszcze najmniej dwa tygodnie. Ojciec chce się dowiedzieć czegoś więcej o kopalniach srebra twoje-

go ojca i o jego pakcie z Gall-Gaidhealami z północy. Szuka też nowych rynków zbytu dla naszej wełny i ciekawia go warunki ugody, jaką zawarł baron z Diarmadem MacMurdochem. - Zerknęła na niego wstydliwie. - Mam nadzieję, że twój ojciec nie nosi się z zamiarem połączenia jednego ze swych synów węzłem małżeńskim z kobietą z rodu Gall-Gaidhealów.

- Nie, nie nosi się.
- Rada to słyszę.
- Naprawdę?
- Naprawdę.

Ponownie otoczył ją ramieniem.

- Lady Rosamunde, czy jakiś mężczyzna proponował ci już małżeństwo? - spytał, przyciągając ją delikatnie do siebie.

- Było takich kilku - przyznała.
- Ale zamężna ani zaręczona nie jesteś?
- Nie.

Co z tego, że ona nie całuje z taką ognistą, zachłanną namiętnością jak Mair? Nachylił się, by ponownie pocałować lady Rosamunde. Co z tego, że jej zaciśnięte mocno usta przypominają mu zapięty na kłódkę pas cnoty?

Lady Rosamunde całowała jak dama, nie jak... kobieta.

Przerwała pocałunek, odwracając głowę.

- Sir Trystanie, tchu mi brak - szepnęła. Piękne

piersi falowały gwałtownie, jakby faktycznie się zatchnęła.

- Może ruszajmy już na tę konną przejażdżkę - powiedział Trystan, wstając i wyciągając rękę - bo jeszcze chwila, a nie zdzierzę i uczynię coś nieobyczajnego.

Po prawdzie, nigdy jeszcze nie czuł mniejszej ochoty na niestosowne uczynki.

Temu też, z pewnością, winna była Mair. Gdyby nie dzisiejsza chwila zapomnienia z tą kusicielką, mógłby z czystym sumieniem poprosić piękną lady Rosamunde o rękę.

Ale stało się, i dla jej oraz własnego dobra musi najpierw oczyścić jakoś umysł i ciało z piekielnego, szaleńczego pociągu do Mair.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- No i co, co powiedział? - spytał sir Edward D'Heureux, wpatrując się z przejęciem w córkę rozczesującą długie, złociste włosy. - Zaproponował małżeństwo?

- Jeszcze nie - odpada chłodno. - Ale zrobi to.

- Skąd ta pewność? - burknął sir Edward i, nachmurzony, zaczął krążyć niespokojnie po komnacie.

- Pozwoliłam mu się pocałować.

Sir Edward stanął jak wryty.

- Coś powiedziała?

Rosamunde napotkała w zwierciadle jego wstrząśnięte spojrzenie i uśmiechnęła się z ukontentowaniem.

- Nie patrz tak na mnie, ojczy. Pozwoliłam mu się pocałować. Był to bardzo przelotny pocałunek, ale wystarczył, by odebrać mu mowę. Bez obawy. Zanim przyjdzie nam opuścić tę zakazaną głuszę, sir Trystan DeLanyea poprosi o moją rękę.

- Na Boga, oby tak się stało!

- Pośpiech nie jest tu wskazany - zauważyła chłodno lady Rosamunde. - Korzystanie z gościn-

ności barona nic nas nie kosztuje. Wszak życie na koszt innych to nasz sposób na przetrwanie, odkąd przepuściłeś na hazard i ladacznice ostatnie pieniądze matki, prawda ojcze?

Uśmiechnęła się słodko i podjęła szczotkowanie włosów szybkimi, energicznymi pociągnięciami.

- Masz szczęście, że dowiedziałam się o tym walijskim obyczaju płacenia odstępnego za pannę młodą, o tym *amober*, czy jak to się tam wymawia w ich nedorzecznym języku. A ja z pewnością nie mała jestem warta. Śpij więc spokojnie, ojcze, Trystan DeLanyea poślubi mnie i słono zapłaci za ten przywilej. Co do mojego wiana, to wystarczy, jak oddasz mi tych kilka akrów ziemi pod Londynem, które i tak leżą odłogiem. Odbijesz to sobie z nawiazką, sprzedając swoją jedynaczkę i wchodząc w bogatą rodzinę.

- Rosamunde, wiedz...

- Nie chcę więcej słuchać twojego kajania się i gorzkich żalów, ojcze. - Obróciła się na stołku i spojrzała na niego beznamiętnie. - Znam swoją powinność i wypełnię ją. Co myślą o tym związku jego rodzice?

- Jakby tutaj... nie wiem... - wybąkał sir Edward, spuszczać ze skruchą głowę.

Rosamunde wydeła z pogardą pełne usta.

- Prosiłam cię o załatwienie jednej, jedynej prostej sprawy: o wybadanie, jak zapatrują się DeLanyea

na moje małżeństwo z ich synem, czy są mi radzi. Nawet tego nie potrafisz przeprowadzić.

- Nie moja w tym wina - odparł piskliwym głosem sir Edward. - Jego ojciec uśmiecha się, dużo mówi, ale co naprawdę myśli, nie sposób dociec, choć z różnych stron próbowałem go podejść. A ta jego żona! Zupełna niemota!

Tu ożywił się trochę.

- Nie powiedzieli wprost, że mają coś przeciwko, nie napomknęli też o żadnych innych planach. Czemuż mieliby być ci niechętni, moja słodka córeczko? A ten Trystan wygląda mi na porządnego. Na pewno cię uszczęśliwi.

Rosamunde puściła mimo uszu ów pusty komplement ojca.

- Będzie całował ziemię, po której stapałam, i spełni każdy mój kaprys. To najważniejsze - za u ważyła, odwracając się plecami do ojca, który w taki czy inny sposób, zubożały czy bogaty, i tak by ją kiedyś sprzedał.

Był urodzonym utracjuszem i przez całe życie dbał tylko o swoje przyjemności, a o żonie i córce przypominał sobie dopiero wtedy, kiedy skończyły się pieniądze i uświadomił sobie, że najcenniejsze, co mu jeszcze zostało, to własna córka.

Rosamunde miała swój rozum. Nie grzeszyła nim jej piękna matka, która modłać się pokornie, wypatrywała powrotu męża hulającego Bóg wie gdzie ze

swoimi nic niewartymi kompanami albo łądaczę-
go się z dziwkami. Matka, w swojej głupocie i ślepo-
cie, nie rozumiała, że miłość to kajdany, zniewalająca
ułuda, romantyczne marzenie opiewane dla chleba
przez trubadurów.

- Ona w te sidła nie da się schwytać. Poślubi męż-
czynę, w którym wyczuje brak skłonności do hazardu,
do zadawania się z innymi kobietami, do lekce-
ważenia żony, nawet gdyby miał nim być ktoś, kogo
nigdy nie pokocha, w kim widzi tylko środek do celu,
jaki sobie postawiła.

Owszem, powije mu dzieci, synów, którzy będą jej
oparciem na starość, i córki, które poślubią wpływo-
wych mężczyzn. Zapoczątkuje dynastię.

Nigdy więcej nie będzie się czuła bezradna i zdana
na łaskę męskich żąd.

Żądz... przed oczyma stanął jej dowódca zamko-
wej straży.

Odpędziła czym prędzej tę wizję. Jest ponad
wszelkie fizyczne pragnienia.

- Na pewno tego chcesz? - spytał cicho ojciec. -
Wszak on jest po części Walijszym...

Rosamunde zerwała się na równe nogi, jej oczy ci-
skały błyskawice.

- Jak śmiesz podawać w wątpliwość moje decy-
zje?! - wysyczała gniewnie.

- Jest jeszcze lord Kirkheathe, czystej krwi Nor-
man...

Rosamunde wpadła w taką wściekłość, że chyba mało kto rozpoznałby w niej w tym momencie skromną, wytworną lady.

- Czy ty już nic nie rozumiesz? Walijczycy płacą za swoje wybranki! Jeśli chcesz zobaczyć złamanego pensa z mojego małżeńskiego kontraktu, to trzymaj na wodzy swój głupi jęzor, jedz tylko, pij, i rób, co mówię.

- Wybacz, Rosamunde - szepnął sir Edward.

- Chyba już na to za późno, ojczy, nie sądzisz? - zauważyła, patrząc na niego z obrzydzeniem jak na robaka, którego za chwilę rozdepcze. - Matki nigdy nie proszę o wybaczenie. Przypomniałeś sobie o niej dopiero, kiedy umarła.

- Zaprawdę...

- Wyjdź, ojczy. Przeszkadzasz mi w toalecie, a chcę zawrócić w głowie Trystanowi DeLanyea, bo muszę się za niego wydać i zrobię to.

- Dobrej nocy, Arthurze - zawołał Ivor za chłopcem wstępującym po drabinie na stryszek, gdzie sypiał.

Mair, odwrócona do nich plecami, usłyszała burkliwą odpowiedź syna i jego stłumione westchnienie.

Podczas wieczerzy Arthur dawał wyraźnie do zrozumienia, że nie lubi Ivora, choć ten robił, co mógł, żeby się chłopcu przypodobać.

- Gulasz, że paluszki lizać, Mair - pochwalił Ivor.

- A twoje piwo jak zawsze najlepsze. Tylko patrzeć,

jak przyślą po nie z zamku. Podczas ostatnich uczt wyżłopali chyba całe zapasy. Będzie z ciebie niedługo bogata kobieta, Mair, byle tylko mieli więcej takich gości jak sir Edward D'Heureux. Niby Norman, a taki rozsmakowany w piwie.

- Edward D'Heureux? Ojciec pięknej lady Rosamunde?

- Ten sam. Nie licząc pociągu do piwa, Norman do szpiku kości. Gęba by mu się pokruszyła, gdyby się uśmiechnął.

Mair, zbierając ze stołu brudne łyżki, uśmiechnęła się do kapitana, który czuł się tu jak we własnym domu. W miękkim blasku oliwnej lampki wydawał się niemal tak samo przystojny jak Trystan. Też był masykularny i nie brakło mu wigoru.

Ale czy powinien zajmować miejsce u szczytu jej stołu? Czy którykolwiek mężczyzna na nie zasługiwał? Czy nie lepiej by wyszła, pozostając na zawsze samotną i niezależną?

- Ale lady Rosamunde się uśmiecha - zauważyła.

- O tak, a najbardziej do Trystana, a on mizdrzy się do niej jak wsiowy głupek. Aż dziw, że nie ogłosili jeszcze zrzekowin, chociaż coś mi się widzi, że sir Edward może kręcić nosem na jego walijską krew.

Mair zanurzyła łyżki w cebrzyku z wodą i szybko je opłukała.

- Pewnie jest zły, że musi jechać do Griffydda z tą wełną - ciągnął Ivor.

- Kto?

- Trystan. Rusza w drogę z samego rana z dziesięcioma ludźmi eskorty. - Ivor zniżył głos i Mair usłyszała, jak podnosi się od stołu. - Ale ja zostaję.

- Ciekawam, czemu jedzie. Wszak nigdy...

Drgnęła, kiedy Ivor objął ją w talii.

- Mair, podskoczyłaś jak jeleń w kniei na odgłos nagonki. Co cię naszło? - spytał Ivor, muskając ustami jej kark.

Wiedziała, że nie miał na myśli niczego konkretnego, zarumieniła się jednak.

- Przestraszyłeś mnie, i tyle.

- Przez cały wieczór nie mogłem się doczekać, kiedy cię wreszcie obejmę.

- Daj mi dokończyć sprzątanania - odparła, uwalniając się łagodnie z jego objęć.

Ivor odsunął się z chichotem.

- Od kiedyś to taka skora do porządków?

- Trzeba tu trochę ogarnąć, a czasu mamy dużo. Chyba że musisz dzisiaj wcześniej wracać? - spytała z cichą nadzieją, zajęta zabezpieczaniem paleniska na noc.

- W koszarach mam być dopiero o świcie.

Mair pomyślała, że może powinna mu powiedzieć o Trystanie.

Ale co? Że parzyli się dwa razy jak dzikie zwierzęta?

Po co mu to wiedzieć? Zresztą z Trystanem już

skończone. Od tej pory będzie obchodzić go szerokim łukiem, chyba że znowu coś ją opęta.

Nie, nie opęta. Nie dopuści do tego. Trystan ma swoje ambitne plany, a dla niej nie ma w nich miejsca, sam jej to oznajmił.

- Po mojemu, to baron wysyła go z wełną, żeby przewietrzył sobie trochę tę gorącą głowę - podjął Ivor. - Dobrze się z tym maskuje, ale chyba nie darzy szczególną sympatią sir Edwarda i jego córki.

Mair z trudem ukryła zadowolenie, jakie sprawiły jej te słowa.

- A co na to wszystko lady Roanna?

- Kto ją tam wie?

- Też prawda. Myślisz, że starczy paru dni, żeby lady Rosamunde wywietrzała Trystanowi z głowy?

- Co mi tam jego amory, Mair. Ty jesteś dla mnie najważniejsza. Chodźże do łoża.

Obejrzała się z uśmiechem przez ramię - i omal nie wyskoczyła z siebie, widząc Ivora pod pierzyną w swoim łóżku, i to chyba nagiego, sądząc po kupce odzienia na podłodze obok.

- Dość gadania, Mair - powiedział, patrząc na nią z uwodzicielskim uśmiechem. - Za długo już ze sobą nie byliśmy. Zdmuchnij płomyk i chodź tu do mnie.

Zwijając dłonie w pięści, zbliżyła się powoli do łoża.

- To rozkaz, dowódco straży?

- Niech będzie rozkaz, jeśli tak wolisz.

- W moim własnym domu nikt mi rozkazywać nie będzie, gdzie indziej zresztą też.

Ivor stropił się.

- Przepraszam, Mair, ale okropną mam na ciebie oskomę i... i chciałem tylko...

- Tak, ty i twoje chucie. A jakże. Ale czego mnie potrzeba i czego ja bym chciała, to już nie twoje zmartwienie.

Usiadł, ściągając brwi.

- Mair, chcę być z tobą. Co w tym złego?

- A ożenisz się ze mną?

Zrobił taką minę, jakby zagroziła, że utnie mu męskość.

- Jak to? - wykrztusił po chwili. - Nigdy ci małżeństwa nie obiecywałem.

- Wiem, nawet o tym nie wspomniałeś. No i dobrze, bo ja też cię nie chcę za męża.

Uśmiechnął się szeroko i splatając dłonie na potylicy, opadł na poduchy. I to był błąd.

Mair porwała z podłogi jego ubranie i cisnęła mu je w twarz.

- Ubieraj się i wynocha, Ivorze.

- Co?! - krzyknął, siadając w samą porę, by chwycić przelatującą mu nad głową tunikę. - Co ja takiego zrobiłem?

Cisnęła w niego koszulą.

- Nic. Chcę być dzisiaj sama, i tyle. Ponieważ oboje nie jesteśmy zainteresowani małżeństwem, to

i jedno drugiemu nic nie jest winne, wyjaśnień też.
Ubij się i już cię tu nie ma.

Ivor, widząc, że Mair schyla się po buty, wyskoczył z łóżka i chwycił ją za rękę.

- Mair, **wszak** nigdy nie było mowy, że się pobierzemy.

Stał przed nią goły jak go Pan Bóg stworzył, oszomiony i przestraszony. Wypuściła z ręki buty. Upadły na podłogę z głuchym łomotem.

- Nie było.

- Nigdy nie powiedziałem, że cię miłuję... i tyś też mi tego nigdy nie mówiła.

- Wiem.

Przyglądał jej się bacznie.

- A miłujesz mnie? W tym rzecz?

- Nie, nie miłuję.

- Dzięki Bogu! - Odetchnął z ulgą. I zaraz skrzywił się. - Przepraszam, Mair.

Nic takiego nie zrobił; to w nią coś wstąpiło.

- Nie, to ja przepraszam, Ivorze. Lubię cię, ale dziś nic z tego nie będzie. Rozumiesz?

- Jak powiedziałaś, nie musimy się przed sobą tłumaczyć - odrzekł, wciągając rajtuzy. - Wolałbym zostać, Mair, bo cię lubię i chcę być z tobą, ale skoro każesz mi odejść, to pójdę.

Ujęły ją te wypowiedane z pokorą słowa.

Ivor był dobrym człowiekiem. Na pewno bardziej ją szanował niż Trystan. Nie zdarzyło się jeszcze, że-

by mówił jedno, a robił drugie. Przy nim nie wstydzila się nigdy swoich uczuć ani pragnień.

Mimo to nie miała dzisiaj ochoty kochać się z Ivorem.

Minęły dwa dni. Noc już była głęboka, a baron wciąż nie mógł zasnąć. Leżał w pościeli, wpatrywał się w powałę i rozmyślał. Lady Roanna też nie spała.

- Nie rozumiem go, choć jest moim synem - odezwał się w pewnej chwili. - Już myślałem, że tylko patrzeć, jak poprosi ją o rękę, a on mi tu mówi, że jedzie do Griffydda.

- Trystan jest mężczyzną i ma prawo do swoich sekretów. Musiał mieć jakiś ważny powód, skoro tak postanowił.

Baron westchnął głęboko i podrapał się po pustym oczodole.

- Pozazdrościć spokoju, miłości ty moja. Mnie cała ta skrytość spędza sen z powiek. Jak myślisz, czemu pojechał?

- Chciałabym wierzyć, że tylko z troski, by ten tabor z wełną dotarł bezpiecznie na miejsce.

- Ale nie wierzysz?

- Niestety. Podejrzewam, że naszemu synowi chodziło o czas do namysłu przed podjęciem ważnej decyzji.

- Znaczy, na zastanowienie się, czy poprosić lady Rosamunde o rękę, czy nie.

- Tak.

- To może jeszcze nie do końca jest pewien swego
- podsunął z nadzieją baron.
 - Niewykluczone. Trystan taką już ma naturę, że -każdą decyzję podejmuje z rozwagą.
 - Tak, w gorącej wodzie to ten chłopak nie jest kąpany.
 - Mężczyzna, Emryssie. Trystan jest już mężczyzną i cieszę się, że nie działa pochopnie. Oboje wiemy, że co nagle, to po diable.
- Baron uśmiechnął się.
 - Porywając cię, dokonałem najmądrzejszej rzeczy w całym swoim życiu.
- Odwzajemniła ten uśmiech..
 - Mimo to rada jestem, że Trystan jest rozważniejszy.
 - Szkoda, że nie zabrał ze sobą sir Edwarda! Trystan nie wyjechał jeszcze za bramę, a ten Norman już mi wiercił dziurę w brzuchu pytaniami. A dokąd się udaje, a po co, a jak stoi cena wełny, a jakie myto pobiera Diarmad...
 - Może ciekawi go handel wełną.
 - Może, ale co tu ukrywać, Rosanno, ten człowiek działa mi na nerwy. Jest jak Mott, kiedy podejmie, trop. Powiadam ci, że w końcu nie zdzierzę i pošlę go do wszystkich diabłów z tymi jego pytaniami.
 - Trystan wraca niedługo - przypomniała mu lady Rosanna. - Do tego czasu bądź miły dla sir Edwarda. A na jego pytania nie musisz odpowiadać wprost.

- Łatwo ci mówić - odparł Emryss. - Ty zawsze możesz się wyłgać robotą w kuchni, w spiżarni albo w pralni. Ja muszę go zabawiać.

- To jeszcze nie znaczy, że musisz z nim rozmawiać o ważnych sprawach.

- Kiedy jego tylko takie zajmują.

Roanna przekręciła się na bok i spojrzała z miłością na męża.

- Król Ryszard zostawił cię śmiertelnie ranionego pod Acre, a przeżyłeś. Przeżyjesz i sir Edwarda D'Heureux.

Baron nachmurzył się, ale zaraz zachichotał cicho.

- Też prawda... choć nie wiem, czy on nie gorszy od Saracena.

- Myślisz, że Trystan jako przyszły zięć zyskał jego aprobatę?

- Tak myślę, i to mnie najbardziej niepokoi. Taki Norman powinien rwać włosy z głowy na samą myśl, że w żyłach jego wnuków będzie płynąć walijska krew.

- Może jest bardziej oświecony, niż ci się wydaje. Baron prychnął niecierpliwie.

- Oświecony? On? Prędzej bym uwierzył, że król ma dwie głowy. Nie, nie w tym rzecz. Wyczuwam, że coś jest nie tak z tym sir Edwardem.

- A co myślisz o jego córce?

- Powiedz mi raczej, co ty o niej myślisz, moja śliczna. Nie uszło mej uwagi, że od dwóch dni spę-

dzasz z nią więcej czasu, niż musisz. W tej sytuacji poznałaś się na niej pewnie lepiej niż ja.

Wiem na pewno, że chce wyjść za Trystana.

Baron zaklął pod nosem.

- Bałem się, że to usłyszę.

- Niestety, nie zdołałam się zorientować dlaczego.

- Bo Trystan jest dorodnym młodzieńcem i ma wspaniałych rodziców - podsunął baron. - Czego jeszcze nie wiemy?

- Chciałabym się dowiedzieć, czemu właściwie Rosamunde wybrała Trystana. Jeśli to odkryjemy, być może uda nam się zapobiec zawarciu tego małżeństwa, nie krzywdząc żadnej ze stron i nie wywołując niepotrzebnych zadrążeń. Dobrze, że Trystan nie rozmawiał jeszcze z nikim o tym, że zamierza się ożenić, nawet z samą lady Rosamunde.

- Z tego, co mówisz, wychodzi mi, że to ona go sobie upatrzyła, a on nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia. To nasz syn, Roanno, a nie ryba, którą kupuje się na targu.

- Tak, zgadzam się z tobą. Zwracam ci jednak uwagę, że powinniśmy bardzo uważać na to, co mówimy w obecności Trystana, Rosamunde i jej ojca. A już z sir Edwardem rozmawiałabym na ten temat jak najmniej - ostrzegła męża. - Może się jeszcze okazać, że Trystan wcale nie chce się żenić i niepotrzebnie się tak zamartwiasz.

- A co zrobimy, jeśli postanowi ją poślubić?

- Przyjmiemy ją do rodziny. Może kiedy się przekonają, że jest kochana i hołubiona...

- Myślisz, że tego jej brakuje i właśnie tego pragnie? Ja bym raczej powiedział, że przemawia przez nią pazerność.

- Czymże jest pazerność, jeśli nie pragnieniem posiadania czegoś wartościowego, choćby w przeli-

czeniu na brzęczącą monetę? - Po raz nie wiem który, moja najmilsza, moja jedyna, chylę czoło przed twą mądrością. - Emrysie, nie chcę, żeby mój syn poślubił kobietę, która go nie kocha, ale jeśli to uczyni, będę żyła nadzieją, że ona z czasem obdarzy go uczuciem.

- Ty też wyszłaś za mąż pod przymusem, by z czasem pokochać swego małżonka.

Lady Roanna roześmiała się cicho i przysunęła bliżej.

- Wiesz dobrze, że kochałam cię od chwili, kiedy po raz pierwszy ściągnąłeś hełm i na mnie spojrzełeś. Westchnęła ze smutkiem.

- Niestety obawiam się, że lady Rosamunde, patrząc na Trystana, nie odczuwa tego samego.

Trzy dni później Trystan jechał wolno przez las ścieżką biegnącą brzegiem rzeki. Wracił z zamku brata leżącego na północ od Craig Fawr.

Ojciec nic nie powiedział, kiedy mu oznajmił, że zamierza zabrać się z transportem wełny do Griffyd-

da. Na pewno jednak był mocno zdziwiony tym pomysłem.

Co do lady Rosamunde, Trystan powiedział jej tylko, że, choć niechętnie, musi jechać, za co bardzo przeprosza, i będzie liczył godziny do powrotu i do spotkania z nią.

Odwiedziny u brata i jego rodziny były miłą odmianą. Seona, żona Griffydda, która przed dwoma laty wydała na świat bliźnięta, przyjęła go bardzo serdecznie. Prawie już doszła do siebie po trudnym porodzie. Omal nie przypłaciła go życiem, a Trystan wiedział, że śmierć zony byłaby dla silnego, małomównego Griffydda niewyobrażalną tragedią. Teraz oboje wiedli spokojny, stacyczny żywot na swoim odludziu, niańczyli dzieci i niczego im do szczęścia nie brakowało.

Taka zwyczajna, monotonna egzystencja niczym nie nęciła Trystana. Nie potępiał tych, którzy się nią zadowalali, ale zupełnie inaczej wyobrażał sobie swoją przyszłość.

Z zadumy wyrwał go czyjś przeraźliwy krzyk i trzask łamanych gałązek.

Odruchowo ściągnął wodze, wstrzymując konia. Ktoś spadał z wysokiego dębu, od którego dzieliło go kilka kroków.

Zeskoczył z konia i pobiegł na miejsce upadku. W chłopcu, który na szczęście nie wylądował na twardej, ubitej ścieżce, lecz na kupie wilgotnych liści, bez trudu rozpoznał Arthura, chłopca Mair.

- Stało ci się co?

Arthur, otrzepując się z liści i piasku, zerwał się na równe nogi.

- Nic - burknął, spoglądając spode łba na Trystanę. - Noga mi się omsknęła.

Trystan uśmiechnął się. Dylanowi nie udałooby się zrobić takiej posępnej miny, choćby dwadzieścia lat próbował.

- Po drzewach się łazi, co? Masz szczęście, że nic sobie nie złamałeś.

Arthur zerknął na niego.

- Wyjechałeś.

Zabrzmiało to jak oskarżenie, ale Trystan udał, że tego nie zauważył.

- Byłem w odwiedzinach u krewnych, u Griffydda i Seony - odparł pogodnie. - Sam tu jesteś czy z Treforem? Może i on spadnie zaraz z gałęzi niczym ulegałka?

- Trefor jest u naszego ojca.

- Aha.

Trystan już wiedział, co jeszcze, prócz paru sińców i wstydu, jest przyczyną złego nastroju Arthura. Dylan z pewnością nie faworyzował ostentacyjnie żadnego ze swych nieślubnych synów, ale Arthur mógł to odbierać inaczej.

- Mam w jukach trochę łakoci od Seony. Dała mi je dla lady Roanny, ale mogę cię poczęstować - zaproponował.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.

- Zaczekaj. - Trystan wrócił do konia, sprowadził go ze ścieżki, przywiązał do pnia drzewa i wyjął z juków torbę ze słodyczami. Arthur przycupnął tym-

czasem w trawie obok szlaku. Trystan usiadł obok niego i podsunął mu torbę. Chłopiec wyjął z niej bez słowa słodki racuszek i zaczął go podgryzać.

- Dobra z niej kucharka, prawda? - spytał Trystan.

Arthur kiwnął głową.

- Ale z mojej mamy lepsza - wymamrotał z pełną buzią.

Słyszac to jawne łgarstwo, Trystan z trudem zachował powagę. Mair była beznadziejną kucharką - wszyscy o tym wiedzieli. Spodobała mu się jednak lojalność Arthura wobec matki.

Chłopiec zdawał sobie chyba sprawę, że Trystana nie oszuka, bo zaczerwienił się, ale zaraz dorzucił z kwaśną miną:

- Ten Ivor wciąż jej powtarza, że drugiej takiej kucharki ze świecą szukać.

- Widzę, że nie lubisz dowódcy straży.

- Bardziej bym go lubił, gdyby nocował w koszarach.

Trystan czym prędzej zmienił temat.

- Jak długo Trefor zabawi tym razem u Dylana?

- Całe dwie niedziele.

- Dwie niedziele, powiadasz? A ciebie kiedy ojciec znowu do siebie weźmie?

- Nie wiem.

- A co na to twoja matka?

Arthur wzruszył ramionami.

- Ojciec cię kocha - powiedział Trystan cicho, ale z przekonaniem.

- Mama też tak mówi.

- Nie wierzysz jej.

Arthur posłał mu chytre, niepokojąco dociekliwe spojrzenie.

- To dlaczego przez cały czas z nim nie mieszkamy? Dlaczego nie poślubi mojej matki?

Trystan pożałował, że poruszył tę kwestię.

- Pytaj o to matkę i ojca, nie mnie.

- Jesteś jego kuzynem i nie wiesz?

- Rozmawiałeś o tym z matką?

Arthur nie zdążył odpowiedzieć, bo ktoś go ubiegł.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- O czym rozmawiał z matką?

Trystan wstał i odwrócił się do Mair, która pojawiła się na ścieżce niespodziewanie, niczym duch. Jak zawsze miała na sobie wełnianą suknię. Tym razem barwą przypominała niebo o zmierzchu. Była prosta w kroju, ale nie zniekształcała zgrabnej figury. Wzgórki piersi w dekolcie przesłaniała biała spodnia koszula po samą szyję. Przez ramię Mair miała przrzuconą płachtę płótna, kilka niesfornych pasemek kasztanowych włosów splecionych w gruby warkocz opadało jej na policzki i czoło.

Nigdy dotąd nie zwrócił uwagi na idealny, przypominający serce, wykrój jej górnej wargi, ani na to, że nieznacznie przekrzywia głowę, kiedy coś ją zaskoczy.

- Co tu robisz? - spytał.

Obrzuciła go niechętnym spojrzeniem.

- Nie twoja sprawa, sir Trystanie, ale skoro taki jesteś ciekaw, to zamierzałam się wykapać. Najpierw jednak chciałam znaleźć Arthura - ciągnęła łagodniejszym już tonem, przenosząc wzrok na syna - by mu powiedzieć, że ojciec po niego przyjechał.

Chłopiec zerwał się z trawy.

- Naprawdę?

- Tak. - Mair uśmiechnęła się promiennie do wniebowziętego Arthura.

Takiego uśmiechu Trystan jeszcze u niej nie widział. Odniosł wrażenie, że jest z rozmysłem traktowany jak powietrze. Doszedł do wniosku, że jedyne co mu pozostawało, to odwrócić się i odejść.

Nie zrobił jednak tego.

- Był już u mnie, żeby zapytać, czy puszcę cię z nim jutro - mówiła Mair do syna. - Chce cię zabrać do siebie na trochę dłużej niż dwie niedziele.

- Na dłużej niż dwie niedziele? - powtórzył z zachwytem Arthur.

- To jego słowa - potwierdziła Mair. Nadal nie zwracając uwagi na Trystana, podeszła do syna i otoczyła go ramieniem.

- I . . . i puścisz mnie? - zapytał podekscytowany chłopiec.

- Naturalnie. Już cię spakowałam. Dziś wieczorem idziemy na wieczerzę do zamku. Przenocujesz tam i z samego rana ruszysz z ojcem w drogę. A teraz pędź do niego, bo bardzo chce cię zobaczyć.

Arthurowi nie trzeba było tego powtarzać. W mgnieniu oka zniknął im z oczu za zakrętem ścieżki i tylko cichnący w oddali tupot bosych stóp świadczył, że jeszcze przed chwilą tu był.

Mair patrzyła za synem, potem jakby przypomnia-
sobie o stojącym obok Trystanie.

- A więc i ty wróciłeś do Craig Fawr.

- Jak widać - odparł. - Słyszę, że Dylan też tu
jest. Rodzice się ucieszą.

Uśmiechnęła się ironicznie.

- A jeszcze bardziej lady Rosamunde. Słyszałam,
że od twojego wyjazdu snuje się po zamku niczym
osierocona jałówka.

- Kto ci to powiedział? Ivor?

Uśmiech spęłzył z jej warg.

- Wszyscy tak mówią. - Odwróciła się i ruszyła
w stronę rzeki. - Do widzenia.

- Chyba nie będziesz się tu kąpała sama?

Zatrzymała się, obejrzała przez ramię i posłała mu
ten swój przewrotny, zwodniczy uśmiezek.

- A chcesz się przyłączyć?

Spochmurniał.

- Nie w tym rzecz. Niebezpiecznie kąpać się
w samotności, a poza tym woda pewnie lodowata, jak
to o tej porze roku.

- Lubię się pluskać w zimnej wodzie. I nie potrze-
buję opieki. Życzę ci dobrego dnia, panie, i pomyśl-
nego dotarcia do zamku.

Zarzuciła butnie kasztanowym warkoczem
i weszła między niskie zarośla porastające brzeg
rzeki.

- Mair, w lesie nie jest bezpiecznie - zawołał, ru-

szając za nią. - Jakiś przechodzący włóczęga może nie oprzeć się pokusie, widząc samotną kobietę.

Zwłaszcza taką urodziwą samotną kobietę jak ty, dodał w myślach i od razu skarcił się za to w duchu. Czyżby pięć dni nie wystarczyło, by wyleczyć się z zauroczenia jej urodą? Czy nie przestał jej pragnąć?

Kiedy dogonił Mair, kończyła właśnie rozplatać warkocz. Dech mu zaparto na widok bujnych włosów spływających jej na ramiona i piersi. Ledwie stłumił pokusę, by przesunąć po nich palcami.

Przypomniał sobie jasne włosy lady Rosamunde, włosy przykryte zawsze czepkiem i woalem z materiału tak cienkiego i zwiewnego, że chyba rozsypałby się przy lada dotyku.

- Mair - zaczął, siląc się na stanowczy ton - musimy porozmawiać.

- Powiedziałam ci już, że nie zamierzam opowiadać nikomu, cośmy robili, a innego tematu do rozmowy z tobą nie widzę.

- Chodzi o Arthura.

Spojrzała na niego wyzywająco.

- O Arthura?

- Pytał mnie, dlaczego nie mieszkacie z Dylanem i dlaczego Dylan cię nie poślubił.

Mair uciekła wzrokiem w bok.

- I co mu odpowiedziałeś? - spytała cicho, niepewnym głosem.

Trystan poczuł się tak, jakby na głowę spadł mu

głaz z zamkowego muru. Nigdy nie przypuszczał, że Mair może się czymś przejmować ani że dręczą ją jakieś wątpliwości.

- Że powinien o to zapytać ciebie i Dylana - odparł po chwili. - Mówię ci to, żebyś była przygotowana.

Westchnęła.

- Niech Bóg ma mnie w swej opiece, jeśli on o to zapyta - powiedziała jakby do siebie.

Kiedy jednak popatrzyła na Trystana, w jej oczach nie było już niepewności.

- Dzięki, żeś mnie uprzedził. A teraz wybacz, czas ucieka. Wiem, że niektórzy mogą robić, co chcą i kiedy chcą, ale ja pracy mam co niemiara.

- Odeślij go z tym pytaniem do Dylana - podsunął ostrożnie.

Mair ściągnęła brwi. Jej brązowe, mieniące się złotym i cętkami oczy rozbłysły buntem.

- Nie. Jest moim synem i to ja muszę mu powiedzieć, że nie wszyscy, między którymi dochodzi do ubliżenia, potem się pobierają, i że mężczyzna nie musi być żonaty, by spłodzić dziecko.

Jakby głaz spadł mu na głowę. Na Boga, czyżby i on zmajstrował dziecko Mair?

Będzie miał dziecko? Dziecko z Mair...

Jak mógł nie wziąć tego wcześniej pod rozwagę?

To proste. Zbyt był pochłonięty potępianiem siebie za żądę, nad którą nie potrafił zapanować, i marzeniami o poślubieniu lady Rosamunde.

Powinien spocić się z przerażenia, a nie myśleć o tej możliwości z takim... zachwytem. I dumą.

Boże jedyny, na dokładkę próbuje już sobie wyobrazić, jak berbecę będzie wyglądał!

- Nie spieszno ci do zamku? - spytała z przekąsem Mair. - Lady Rosamunde wypatruje cię już pewnie z murów. - Naraz w jej oczach pojawiło się z troskanie. - Co ci? Choryś?

- Nie, nie - bąknął, odgarniając włosy z czoła, jakby przeszkadzały mu w zebraniu myśli. - Tylko..
pora już na mnie.

- To idź.

- Tak, pójdę.

Odwrócił się, przedarł przez zarośla i raptem w oczach mu pociemniało. Ulotniła się gdzieś euforia, jaką przyniosła myśl, że być może spłodził z Mair dziecko. Oparł się o pień drzewa, bo kolana się pod nim ugięły.

Powiedział Mair, że ma plany. Nie minął się z prawdą. To były ambitne plany. Zamierzał zająć wysoko, stać się kimś ważnym, wydostać się z rodzinnego zacianka. Musiał poślubić kobietę światową, pokroju lady Rosamunde, aby to wszystko urzeczywistnić.

Nie, nie musi - chce z własnej i nieprzymuszonej woli poślubić lady Rosamunde, bo pominąwszy wszystko inne, jest piękna i wytworna. Dama w każdym calu.

Z pewnością nie będzie mile widzianym konkuren-

tem, kiedy wyjdzie na jaw, że w czasie gdy się do niej zalecał, spłodził dziecko z inną.

Niepewnym krokiem, wciąż oszołomiony taką możliwością, zawrócił nad rzekę. Stał jak wryty na skraju zarośli. Naga Mair tkwiła zanurzona po pas w zimnej wodzie.

Obejrzała się, nie mniej od niego zaskoczona, ale najwyraźniej się nie spieszyła, ponieważ nawet nie próbowała okryć swojej nagości.

Co prawda, kochał się z nią dwa razy, ale bez zrzucania odzienia, i teraz, widząc ją naga, choć tylko do połowy, oniemiał.

Końce rozpuszczonych włosów muskały wspaniałe piersi o wzwiedzionych chłodem sutkach. Płeć miała nieskazitelną, kształty boginki, rozchyłała usta, a w szeroko otwartych oczach próżno było szukać goszczącej tam zazwyczaj kpiny.

Zrobiło mu się gorąco, a ona stała przed nim, nie okazując cienia zawstydzenia.

- Czego znowu chcesz? - burknęła.

- Nie mogę... nie mogę tak z tobą rozmawiać - wymamrotał oszołomiony.

To odejść. Jeśli coś jeszcze do mnie masz, to porozmawiamy wieczorem, jak przyjdę na zamek.

Nie! - To niepodobna. Nie będzie wszak rozmawiał z Mair w obecności lady Rosamunde. - Musimy teraz omówić pewną sprawę.

Wiem, że jesteś rycerzem, sir Trystanie DeLa-

nya, i pisane ci zostać kiedyś' lordem - odparła Mair, mierząc go niechętnym spojrzeniem - ale mnie nie będziesz rozkazywał.

Z tymi słowy odwróciła się i zanurkowała. Mignęły mu jeszcze jej nagie pośladki i smukłe nogi, i tyle ją widział.

Usiadł ciężko na brzegu, podciągnął kolana pod brodę, objął je ramionami i ukrył w nich twarz. Musi powiedzieć jej jasno, że nie uzna żadnego bękarta, którego ona powije za osiem albo dziewięć miesięcy.

Ale zaprzec się własnego dziecka...

Trudno, bez tego nie osiągnie celu, który sobie postawił. Poza tym, gdyby uznał dziecko i lady Rosamunde odmówiłaby mu z tego powodu swej ręki, to czyż nie znienawidziłby tej przeszkody na drodze do zaszczytów i sławy? Lepiej wyprzec się dziecka, niż miałoby do tego dojść. Dla jego własnego dobra.

A zresztą skąd miałby pewność, czy to rzeczywiście jego dziecko? Dla nikogo nie było tajemnicą, że Mair hojnie szafuje swymi wdziękami. Czyż z przebąkiwań Arthura nie wynikało, że ostatnio wpuszcza pod pierzynę Ivora?

Nie był zazdrosny o Ivora. Tym bardziej teraz, kiedy nadarzała się okazja, by zrzucić całą odpowiedzialność - nie, winę - na barki dowódcy straży.

Z tych niewesołych rozważań wyrwał go plusk, Mair wyskoczyła z rzeki i porwała płócienną płachtę. Była w nogach szybka jak łania, ale zdążył ogarnąć wzro-

kiem całe jej idealne ciało, zanim zdyszana owinęła się płótnem.

- Widzę, że to chyba naprawdę coś ważnego - wymamrotała, szcękając z zimna zębami. Wargi miała sine. Wstał.

- A mówiłem, że woda w rzece lodowata.

- A ja ci powiedziałam, że taką właśnie lubię - odparowała i zaczęła się wycierać. - No, co mi chciałeś powiedzieć?

- Jeśli zauważysz w niedługim czasie, żeś brzemienna, to ja się do tego dziecka nie przyznam.

Mair odrzuciła płachtę i bez słowa, szybkimi, wprawnymi ruchami zaczęła się ubierać.

- Zamierzam poprosić o rękę lady Rosamunde - ciągnął - i nie chcę, żeby coś mi weszło w paradę. Sama powiedziałaś, że oboje odpowiadamy za nasz błąd. Zresztą z tego, co mi wiadomo, ojcem równie dobrze mógłby być Ivor albo jeszcze ktoś inny.

Mair schyliła się po wilgotną płachtę. Kiedy się wyprostowała, twarz miała nieprzeniknioną.

- Gdyby okazało się, że jestem brzemienna - zaczęła spokojnie, patrząc mu prosto w oczy - przegnałbyś mnie z Craig Fawr, by twoja wybranka nie dowiedziała się czasem, że pożądałeś innej?

- Tak.

- A zapłaciłbyś mi za to? - spytała lodowatym tonem.

Zaniemówił. Nigdy, przenigdy nie podejrzewałby Mair o taką interesowność.

- Dałbyś mi pieniądze za to, bym zabrała sprzed oczu tej normańskiej damy, którą chcesz poślubić, dziecko, które równie dobrze mogłoby być twoje - ciągnęła nieubłagane Mair - żeby ona nie dowiedziała się, że zalecając się do niej, spótkowałeś z inną.

- Mair... - wykrztusił wstrząśnięty do głębi tym, co sugerowała i czemu nie mógł zaprzeczyć. Czyż nie miała racji? Ale on ma swoje plany. - Gdybyś tylko zechciała...

Nie dane mu było dokończyć. Mair podeszła doń zdecydowanym krokiem i z całej siły wymierzyła mu policzek.

- Jeśli czegoś się wstydzę - wycedziła - to tej chwili słabości, kiedy spotkałam cię na murach. Wstyd mi, że dopuściłam do siebie mężczyznę, który woli zapłacić, niż uznać własne dziecko.

Zbliżyła się jeszcze bardziej. Poczul na twarzy jej oddech.

- Wiedz, sir Trystanie DeLanyea, że nawet jeśli okaże się, że jestem brzemienna, a dziecko, które noszę w łonie, to twoje wierne odbicie, to prędzej umrę, niż przyznam, że pozwoliłam ci się tknąć.

Odstąpiła od niego z wyrazem najwyższej pogardy na twarzy.

- Śpij więc spokojnie, lady Rosamunde nigdy nie pozna twojego sekretu. Obyś był szczęśliwy z żoną.

na jaką zasługujesz! - To powiedziawszy, obróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

- Najwyższa pora, by młodzi rycerze udali się na spoczynek - rzekł tego wieczoru Dylan DeLanyea do Arthura. Obaj, wraz z innymi, tłoczyli się w wielkiej sali zamku Craig Fawr. Dylan, widząc, że chłopiec chce zaprotestować, dorzucił z uśmiechem: - Synu, nie patrz tak na mnie. Jutro skoro świt ruszamy w drogę. Ucałuj mamę na dobranoc i pożegnanie i zmykaj.

Mair nachyliła się. Chłopiec cmoknął ją w nadstawiony policzek jak kurczak dziobiący ziarno.

- Nie sprawiaj kłopotów ojcu i lady Genevieve, synku, i bądź im we wszystkim posłuszny. I wracaj szybko. Tęsknię za tobą, gdy wyjeżdżasz.

Arthur zaczerwienił się. Nie znosił takich przejawów matczynej miłości, kiedy nie byli sami.

- Dobrze. Dobranoc, mamó.

- Dobranoc, Arthurze.

Mair odprowadziła wzrokiem syna, który zwawo ruszył w stronę schodów prowadzących na wieżę. Tam znajdowała się komnata Dylana. Tam miał spędzić noc, by wczesnym rankiem ruszyć z ojcem do jego domu. Zobaczy go dopiero za długie dwa tygodnie.

Mair nie powiedziała tego, ot tak sobie. Naprawdę tęskniła za Arthurem. Nie cierpiała być sama.

Od samego początku starała się nie zwracać uwagi na Trystana i lady Rosamunde, którzy siedzieli za

stołem na podwyższeniu i szeptali ze sobą jak para zakochanych. W czarnej tunice lamowanej złotą nicią Trystan był niemal tak samo przystojny jak Dylan, dama jego serca w zielonej sukni z mieniącego się w blasku pochodni materiału wyglądała jak z obrazka. Połyskiwały też liczne klejnoty, którymi przyozdobiła się na dzisiejszy wieczór. Wydawała się nieziemską jak anioł. Wprost promieniała.

Być może Trystan spytał już ją, czy zostanie jego żoną, a ona się zgodziła.

Mair życzyła obojgu nagłego wysiewu pryszczy.

- Rośnie na dorodnego młodzieńca, prawda? - powiedział z dumą Dylan.

Mair odwróciła się do niego z ciepłym uśmiechem. Lubiła zawsze śmiałego, szczerego, namiętnego Dylana. Był naprawdę przystojnym mężczyzną. Nawet dzisiaj, w tym niewyszukanym odzieniu, które nosił od chwili przybycia, prezentował się lepiej niż wielu mężczyzn wystrojonych w najbardziej ozdobne szaty. Oczywiście nie tylko dzięki doskonałości figury; miał w tym również swój udział urok osobisty, którego nie sposób się wyuczyć ani kupić za pieniądze.

- Pewnie dzięki mojej niezrównanej kuchni.

Dylan roześmiał się głośno i serdecznie w ten swój specyficzny sposób, który sprawiał, że wszyscy wokół również się uśmiechali.

Jedyną wadą Dylana było to, że uwielbiał znajdować się w centrum zainteresowania.

- Ja bym powiedział, że pomimo.

Wokół stołu podniosły się pomruki protestu. Biesiadnicy wymieniali rozbawione spojrzenia i czekali na ripostę Mair.

Nigdy nie kosztowałeś moich potraw - odparła.

Stołownicy zachichotali.

Chyba nie powiesz, że wychowujesz mojego syna na piwie.

Wszyscy piją piwo - powiedziała Mair - a moje jest najlepsze, ale on i zjeść potrafi za cały oddział piechurów.

- Powiem żonie, żeby miała to na uwadze.

Mair roześmiała się, obrzucając swojego byłego kochanka przyjaznym spojrzeniem.

- Zrób to koniecznie.

Kiedy służki zaczęły uprzątać naczynia, minstrel mierzył w struny. Mężczyźni, a wśród nich Dylan, zerwali się z ław i odstawili stoły pod ścianę, robiąc miejsce do tańca. Kilka osób wyszło na środek.

- Zatańczysz? - spytał Dylan, przysiadając obok Mair.

- Nie, nawet z tobą. Baron przyjmował ostatnio tylu gości, że miałam w browarze pełne ręce roboty. Myślałam, że z Normanami nie będzie tak źle, ale sir Edward zasmakował w moim piwie.

Wcale mu się nie dziwię. A próbował twojego braggotu? Tego nektaru bogów?

Mair uśmiechnęła się.

- Chciałbyś, żeby biedaczysko obudził się rankiem ledwie żywy? Za mocny dla Normanów. Myśla, że skoro smakuje jak korzenny miód, to jest tak samo nieszkodliwy. Zapominają, że zawiera domieszkę piwa.

- Tak, wiem coś o tym - przyznał Dylan. - Tortury przy bólu, jaki rozsadza głowę nazajutrz po wypiciu *braggotu*, to błoga pieszczota. Słuchaj, on już chyba wyłopał baryłkę piwa - ciągnął, pokazując ruchem głowy na sir Edwarda siedzącego sztywno, z uduchowioną miną, obok barona.

Przeniósł wzrok na gruchającą obok parę.

- Kiedy ogłoszą zaręczyny?

- Kto? - spytała Mair, podążając ze jego wzrokiem.

- No, Trystan i ta cała lady Rosamunde.

Mair uśmiechnęła się, słysząc w głosie Dylana ten sam pogardliwy ton, którym Arthur mówił o Ivorze.

- Czyżbyś nie pochwalał jego wyboru? Przecież ona jest bardzo piękna.

- Mair, wszak mam oczy.

Zerknęła na niego.

- To nie wystarczy?

- Nie - odparł, poważniejąc. Zaraz jednak uśmiechnął się znowu, bo Dylanowi rzadko udawało się na dłużej zachować powagę. - Może się mylę, ale wygląda mi na zimną jak sople lodu. Myślałem, że Trystan ma więcej rozsądku i nie ożeni się dla urody, bogactwa ani władzy.

- Doprawdy, panie? - powiedziała Mair z udawa-

ną niewinnością. - Czyż ciebie nie to właśnie skłoniło w końcu do małżeństwa?

Spojrzał na nią kwaśno.

- Dobrze wiesz, że nie. Muszę jednak przyznać, że nie odrzuciłbym takiej partii, gdyby mi się trafiła.

- Trystan też tego nie robi.

Chociaż bardzo starała się nie okazać emocji, Dylan wychwycił chyba w jej głosie nutkę goryczy, bo spojrzał na nią dziwnie.

- Jak sam powiedziałeś, mężczyzna nie powinien odrzucać takiej szansy - dodała lekkim tonem.

- Wydawało mi się przez chwilę, że jesteś zazdrosna.

- O tę kobietę? - Mair parsknęła śmiechem. - Owszem, podobają mi się jej stroje, ale żadną miarą nie nadają się do noszenia w browarze. A może masz na myśli swoją żonę? Dylanie, uwierz mi, ani przez moment nie byłam o nią zazdrosna - zapewniła go i nie kłamała. Ani zazdrość, ani zawiść nie leżała w jej naturze.

- Może wypiliśmy za dużo wina - przyznał Dylan, spoglądając na trzymany w dłoni puchar.

Mair rozejrzała się szybko i upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby ich podsłuchać, wzięła głęboki oddech.

Chyba powinnam cię uprzedzić, Dylanie - zaczęła - że Arthur może cię zapytać, dlaczego nie mieszkamy z tobą i dlaczego nie pojąłeś mnie za żonę.

- Uf! - westchnął Dylan.
- Co mu powiesz?
- A co ty odpowiedziałaś?
- Mnie jeszcze nie spytał.
- To skąd wiesz, że go to interesuje?
- Pytał dzisiaj Trystana.
- Trystana? - Dylan zrobił wielkie oczy.
- Też się zdziwiłam, kiedy się dowiedziałam.
- Od Trystana?
- Tak.

Dylan ściągnął brwi i zasepił się na tyle, na ile pozwalala mu jego pogodna natura.

- I co Trystan mu odpowiedział?
 - Że powinien nas spytać.
 - Bogu niech będą dzięki! - Dylan odetchnął z ulgą.
- Lepiej nie myśleć, jak wyjaśniłby mu to Trystan, gdyby był w tym swoim nastroju najszlachetniejszego człeka w całej Brytanii. Za wiele jest Normana w moim bracie.
- Co powiesz Arthurowi? - nie ustępował Mair.
 - Ze nie mieszkanie ze mną, bo ty zawsze mieszkałaś tutaj i tu jest twój dom - odparł. - A nie pobraliśmy się, bo... bo...
 - Bo ty jesteś lordem, a ja zwyczajną piwowarką?
 - Daj spokój, Mair - rzekł Dylan, pocierając dłonią brodę - paskudnie to brzmi.
 - Ale jest po części prawdą. Możesz powiedzieć,

że nie wyszłam za ciebie, bo ty jesteś lordem, a ja nie jestem damą.

- Właściwie wychodzi na jedno, a gdybym rzeczywiście tak powiedział, mógłby się poczuć kimś gorszym, choć jest moim synem.

- Zdaje sobie dobrze sprawę, że jest twoim młodszym synem - zauważyła Mair. - Czasami podejrzewa, że Trefor jest ci miłszy od niego, a Trefor stara się go utwierdzić w tym przypuszczeniu.

- Wiem - przyznał pośpiesznie Dylan. - W rodzie DeLanyea jest i dobro, i zło. Czasami nachodzi mnie obawa, że Trefor odziedziczył trochę tego zła. Zrobię, co w mojej mocy, żeby je z niego wyplenić, a Arthura przekonać, że kocham swoich synów jednakowo, tak jak kochałbym inne dzieci, gdybym je miał.

- Czy Genevieve... ? - Mair zawiesiła głos.

Serce wypełniło jej się współczuciem dla żony Dylana, kiedy ten pokręcił wolno głową.

- Jeśli Arthur nie zwrócił się z tą sprawą do ciebie, to może i mnie nie zapyta - odezwał się po chwili milczenia Dylan, już znowu w pogodnym nastroju.

Mair nie mogła powstrzymać uśmiechu. Dylan widział słońce za każdą chmurą.

- Mógłbyś mu wyjaśnić, że nie poślubiłeś mnie, bo nie byłam dostatecznie urodziwa.

- Mair!

- Mógłbyś mu powiedzieć, że byłeś największym

kobieciarzem na zamku, a ja roześmiałabym ci się w twarz, gdybyś poprosił mnie o rękę.

- Teraz ranisz moje uczucia. Jestem absolutnie wierny swojej żonie i ani mi w głowie ją zdradzać - odparł stanowczo. Spojrzał na tancerzy i znowu spoważniał. - Niestety, śmiem wątpić, czy młoda dama, która tańczy z naszym Trystanem, też jest taka sentymentalna.

Mair spojrzała na lady Rosamunde, która poruszała się z gracją kołyszącej się na wietrze wierzby.

- Owszem, nie brak jej subtelności - podjął cichym głosem Dylan - lecz, o ile znam się na kobietach, nie będzie nigdy szczęśliwa w łóżu jednego mężczyzny.

Mair, choć wmawiała sobie, że nie obchodzi jej przyszła żona Trystana ani jej małżeńska wierność poczuła niesmak.

- Myślisz, że będzie sobie brała kochanków?

Dylan spojrzał na nią z ironicznym uśmiechem.

- Założę się, o co chcesz, że gdybym tylko chciał, zwabiłbym ją do swojego łóża.

Mair popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Skąd u ciebie ta pewność?

- Nie ufasz memu doświadczeniu? - spytał.

Dylan faktycznie znał się na kobietach. Może nie aż tak dobrze, jak mu się wydawało, ale nie mogła zlekceważyć jego opinii.

- Podzielisz się swoim osądem z Trystanem?

- Chyba lepiej by było porozmawiać o tym z ba-

ronem. Trystan wpadłby tylko w gniew i wytknął mi, że jestem ostatnim, któremu wypada prawić kazania o wierności.

- Nigdy nie miałeś więcej niż jednej kochanki naraz i nie byłeś wówczas żonaty. Chyba nawet nie było jeszcze wtedy mowy o małżeństwie ani o miłości - zauważyła Mair. - Tego nie rżiozna porównywać.

- Znasz Trystana - odparł Dylan. - Dla niego to bez różnicy. - Uśmiechnął się ujmująco. - No nic, miejmy nadzieję, że Trystan nie poprosi jej o rękę. A skoro już mowa o małżeństwie, to jak ci się układa z Ivorem?

Mair z trudem ukryła rozdrażnienie wywołane tym niewinnym pytaniem.

- Nie mam małżeńskich planów, Ivor zresztą też. I na twoim miejscu nie wspominałabym o Ivorze w obecności Arthura. Chłopiec go nie lubi.

- Dobrze, nie wspomnę przy nim o Ivorze. Wystarczy mi ambarasu z wyjaśnianiem, dlaczego cię nie poślubiłem.

Mair spojrzała mu w oczy.

- Powiedz Arthurowi prawdę, Dylanie. Powiedz, że nie kochałeś mnie aż tak, żeby zaproponować małżeństwo, a ja nie kochałam aż tak ciebie, żeby się zgodzić, gdybyś jednak poprosił mnie o rękę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lady Rosamunde była nie tylko piękna i wytworna; była też doskonałą tancerką. Trystan z zachwytem obserwował jej pełne gracji, płynne ruchy, kiedy krążyli po sali, i zachodził w głowę, jak mógł o tym zapomnieć w ciągu tak krótkiej nieobecności. Już teraz, choć tylko tańczyli, był zazdrosny o kilku mężczyzn na sali, którzy łakomie zerkali na jego partnerkę.

Ale który mężczyzna znajdzie w sobie siłę, żeby nie wodzić wzrokiem za taką kobietą doskonałością?

O dziwo, siłę taką znajdował w sobie nie kto inny, tylko brat Trystana. Dylan niemal jeszcze w kołysce obrał sobie kobiety za obiekt fascynacji. A przecież w ogóle nie patrzył na lady Rosamunde. Może ważniejsze było dla niego to, o czym z takim zajęciem rozprawiał z Mair. Pewnie o Arthurze.

Zresztą nieważne, o czym rozmawiają. Wszak Mair obiecała, że nie powie nikomu o ich... chwili zapomnienia, i Trystan jej wierzył.

Nie wątpił też, że Dylan traktuje teraz swoją dawną kochankę jak dobrą znajomą. Miłował żonę z całego serca i z pewnością pozostawał jej wierny.

Taniec skończył się i Trystan odprowadził lady Rosamunde do wyściełanego krzesła na podwyższeniu. Stamtąd skinął na Gwen, żeby doniosła wina.

Dziewczyna, choć niechętnie, spełniła polecenie. Trystan udawał, że jest całkowicie pochłonięty rozmową z lady Rosamunde, i nawet przelotnym spojrzeniem nie zaszczylił naburmuszonej służki.

Rozgrzana po tańcu lady Rosamunde, wachlując się wdzięcznie wąską dłonią, rozejrzała się po gwarnej sali.

- Kim jest ten starzec, którego twój ojciec słucha w takim skupieniu? Kupcem? Jeśli tak, to obawiam się, że handel nie za dobrze mu idzie. Jest tak biednie odziany.

Trystan spojrzął w tamtym kierunku.

- To Aneirin, najstarszy i najbardziej poważany z owczarzy ojca.

Lady Rosamunde odęła różane usta.

- Owczarz? - spytała z niedowierzaniem.

- Aneirin zna się na owcach jak nikt - odparł z uśmiechem Trystan. - Ojciec bardzo ceni sobie jego rady.

Och. - Lady Rosamunde upiła łyk wina i jej błękitne oczy podjęły wędrówkę po sali. - Kim jest kobieta, która rozmawia z twoim kuzynem?

- Ma na imię Mair - odparł nonszalancko Trystan.

- Warzy piwo, które tak smakuje twemu ojcu.

Zauważył z zaskoczeniem, że nos lady Rosamun-

de marszczy się z dezaprobatą, ale zaraz przypomniał sobie, że Normanowie w zasadzie wolą wino, piwo zaś uważają za napitek dla Saksonów i im podobnej hołoty.

- To bardzo dobre piwo - podjął. - Szkoda, że twój ojciec musiał nas już opuścić.

- Tak, szkoda, ale już od jakiegoś czasu cierpi na tę dolegliwość i zapewniam cię, panie, że to nic poważnego.

Trystan kiwnął głową. Niedomaganie sir Edwarda naprawdę musiało być niegroźne. Gdyby było inaczej, jego córka przejawiałaby większe zaniepokojenie.

Pamiętał, jak Arthur z Treforem objedli się kiedyś zielonych jabłek. Mair odchodziła od zmysłów, dopóki nie odkryła przyczyny ich cierpienia. Całkiem uspokoiła się dopiero wtedy, gdy brzuchy przestały chłopców boleć i nie było już wątpliwości, że nic im nie jest. Tylko że nie każdą kobietę można sądzić podług Mair; ona całym sercem kochała swego syna, i nie miało dla niej znaczenia, że pochodził z nieprawego łoża.

Czyżby uczucia lady Rosamunde do ojca nie były szczerze? Co też mu przyszło do głowy? Z pewnością darzy swego ojca miłością i szacunkiem.

- Dlaczego twój kuzyn, panie, baron przecież, rozmawia, i to już od dłuższego czasu, z wieśniaczką? - spytała lady Rosamunde, wrywając go z zamyślenia. - Dlaczego w ogóle wpuszczono ją na tę salę... - Zawiesiła głos i lekko zmarszczyła czoło.

- Jest matką młodszego syna Dylana.

- Ach, więc to ona. Wygląda tak... pospolicie.

Trystan zacisnął zęby.

- Wiesz, pani, o dzieciach Dylana?

Lady Rosamunde zarumieniła się i uśmiechnęła wstydliwie.

- Pozwoliłam sobie zasięgnąć języka o waszej rodzinie. Chyba... chyba nie masz mi tego za złe, panie.

Trystanowi pociemniało z gniewu w oczach, ale szybko rozbroiło go wyraźne zakłopotanie lady Rosamunde.

- Czy mam za złe? Nie - odparł - ale ciekawym, czemuś to zrobiła.

Interesowało go też, czy wiedziała, że pożądał kiedyś żony kuzyna, chociaż ta dawała mu jasno do zrozumienia, że nic z tego nie będzie.

Na szczęście, miał już za sobą tamto młodzieńcze zauroczenie i teraz pozostawało mu tylko zapanować nad fizycznym pociąganiem do Mair.

Lady Rosamunde spaşowiała jeszcze bardziej. Zerknęła na Trystana i szybko odwróciła wzrok.

- Nie przystoi pytać damę, dlaczego robi to, co robi - upomniała go cicho.

Tak właśnie powinna się zachowywać kobieta: skromnie, pokornie, wstydliwie.

- Nie osądzaj wszystkich DeLanyea po wyczynach Dylana - powiedział.

Lady Rosamunde zrobiła wielkie oczy.

- Och, ja wiem, że w naturze mężczyzn leży... ro-
bienie takich rzeczy.

- W naturze niektórych mężczyzn - poprawił ją
Trystan.

Lady Rosamunde obdarzyła go nieziemskim
uśmiechem.

- Słyszałam, że od dnia ślubu pozostaje wierny
swej żonie. - Zerknęła na Dylana i Mair. - Przynaj-
mniej tak powiadają.

Zaskoczyła go nutka powątpiewania w jej głosie.

- Zapewniam cię, pani, że to najszczęsza prawda.
Dylan bardzo kocha swoją żonę, tak samo zresztą jak
ona jego.

- Miło to słyszeć - odparła lady Rosamunde. - Je-
śli wytrawny koneser kosztuje innego wina, to nic
w tym zdrożnego, i mądra kobieta nie powinna mieć
mu tego za złe.

Trystan ściągnął brwi. Czyżby chciała przez to po-
wiedzieć, że byłaby skłonna przymykać oczy na nie-
wierność małżonka? Czy myślała, że mu się w ten
sposób przypodoba?

Czy aż tak bardzo chciała zaskarbić sobie-jego
przychylność, że nawet to sugeruje? Jakiego jeszcze
dowodu mu trzeba, by nabrał pewności, że jest mu
rada? Chyba pora zebrać się na odwagę i poprosić ją
o rękę.

- O, lady Rosamunde D'Heureux, żadne słowa
nie opiszą twej urody - rozległ się głos Dylana.

Trystan, zzymając się w duchu, odwrócił głowę. Jego niesforny kuzyn zmierzał zdecydowanym krokiem w ich stronę.

Dylan twarz miał poważną, ale jego oczy skrzyły się wesołością.

- Czekałem cierpliwie, pani, aż Trystan uwolni cię od swego towarzystwa i będę mógł zamienić z tobą kilka słów, ale w końcu ogarnęła mnie obawa, że dziś już do tego nie dojdzie. Wyjeżdżam jutro rano, dlatego, mam nadzieję, wybaczycie mi, że narzucam się ze swoją skromną osobą i przeszkadzam.

Trystan nie zamierzał niczego Dylanowi wybaczyć, a już na pewno nie tego, że uśmiechał się do lady Rosamunde jak do... byle kobiety.

- Jak mogę mieć ci za złe twój postępek, skoro zynisz to, by złożyć mi komplement, baronie DeLanyea - powiedziała lady Rosamunde, skromnie spuszczać oczy.

Trystan był przekonany, że tytułując Dylana baronem, nie miała nic złego na myśli. Kuzyn, choć był dzieckiem z nieprawego łoża, dziedziczył ten tytuł po ojcu. Żeby mogło do tego dojść w systemie, który starał się łączyć normańskie prawo z walijską tradycją, ojciec Trystana, chcąc nie chcąc, zasilił sporą sumką królewską szkatułę.

Nie czekając na zaproszenie, Dylan usiadł, wypychając się bezczelnie między Trystana a lady Rosamunde.

- Żałuję, że nie zdążyłem pogawędzić z twoim ojcem, pani. Mam nadzieję, że to nic poważnego?
- Och, choć często mu się przytrafia, to tylko drobna niedyspozycja żołądkowa.
- Rad to słyszę. I jak znajdujesz Walię, pani?
- Zachwycająca kraina, a twój wuj, panie, jest cudownym gospodarzem.

Przysłuchujący się temu Trystan nie próbował już nawet kryć zniecierpliwienia. Że też diabli musieli przynieść Dylana w momencie, kiedy był już zdecydowany poprosić lady Rosamunde o rękę.

Powinien był przewidzieć, że Dylana nie wytrzyma, i wcześniej czy później to zrobi. Choć już żonaty i szczęśliwy w małżeństwie, nie przepuścił nigdy okazji, by pogawędzić z piękną kobietą.

Lady Rosamunde zaśmiała się perliście. Spojrzał na nią. Była zarumieniona, uśmiechnięta i najwyraźniej zadowolona z rozmowy z Dylaniem.

Przekłety kuzyn. Mało mu, że ma kochającą żonę? Mało mu tych kobiet, które kiedyś uwiódł i które nadal patrzą w niego jak w obraz, choć już dawno z nimi zerwał? Nie mógł to siedzieć z Mair, rozprawiać o dziecku, które z nią ma, uśmiechać się do niej i syścić oczy jej szczerym, niewymuszonym uśmiechem, który zaczyna się gdzieś w głębiach brązowych oczu, a potem rozlewa na całą twarz?

Zerwał się od stołu.

- Wybaczcie, muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Z wysoko uniesioną głową wymaszerował z sali, nie zwracając uwagi na ścigające go zaciekawione spojrzenia. Długim krokiem przeciął dziedziniec i wspiął się po schodkach na mury. Z ich wysokości, zaciągając się głęboko chłodnym, świeżym powietrzem, powiódł wzrokiem po okolicy i pobliskich wzgórzach.

- Uciekamy przed czymś?

Obrócił się na pięcie i w blasku księżyca zobaczył za sobą uśmiechniętego Dylana.

- A ty tu czego?

- Chcę z tobą tylko porozmawiać, chłopcze. I nie patrz na kuzyna tak, jakbyś miał go zaraz wyrzucić za blanki.

- Nie jestem chłopcem.

- Nie, nie jesteś. Lady Rosamunde też cię chyba za takiego nie ma. Zamierzasz ją poślubić?

- Nie twoja sprawa.

- Jak najbardziej moja. Twoje małżeństwo oznacza skolidowanie mojej rodziny z inną, nie dziw się więc, że jestem nim żywotnie zainteresowany.

Trystan zmuszony był przyznać mu rację; ale nie chciał jeszcze zdradzać swoich planów nikomu, a już najmniej Dylanowi.

- Może i zamierzam. Masz coś przeciw?

- A powinienem?

- Nie wydaje mi się.

- Co na to twój ojciec?

- Nie powiedział, że jest przeciwny.
- Rozumiem. - Dylan oparł się plecami o mur. -
Zatem i ja nie powinienem.
- Cieszę się niezmiernie, że się zgadzasz - rzekł
z przekąsem Trystan.
- Powinieneś się cieszyć, że nie jestem przeciwny,
- Czyż w lady Rosamunde można się dopatrzeć
jakichś wad? Sam uznałeś ją za na tyle urocza, żeby
nawiązać z nią rozmowę.
- Zazdrosny?
- Nie o ciebie.
- To dobrze. Inaczej musiałbym cię wyzwąć za
obrazę honoru. Kiedy chcesz ją poprosić o rękę?
- Kiedy uznam za stosowne - odparł Trystan po-
woli i z naciskiem.
- Mair w dobrym zdrowiu?
Ta zmiana tematu zaskoczyła Trystana. Ciarki prze-
szły mu po plecach na myśl, że mogłaby zaniemóc.
- Czemu pytasz?
Dylan wzruszył ramionami.
- Błada jakaś i przygaszona jak nigdy.
- Pewnie martwi się o Arthura - podsunął Try-
stan, wmawiając sobie, że pewnie o to chodzi.
Nie pamiętał Mair poważnie chorej. Nawet jej so-
bie takiej nie wyobrażał.
Gdyby coś jej się stało, byłby... a Arthur...
Nie ma co gdybać. Kiedy ostatnio widział Mair,
była zdrowa jak ryba.

- Lepiej układaj sobie, co powiesz Arthurowi. Pytał mnie...

- Tak, ten mój dociekliwy syn ze swoimi pytaniami. Wiem od Mair, że odesłałeś go z nimi do nas - odrzekł ponuro Dylan. - Dziękuję ci za to.

- A cóż innego mi pozostało? Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć.

- Mair poradziła mi, bym mu wyjaśnił, że nie kochałem jej aż tak, by zaproponować małżeństwo, a ona nie kochała mnie aż tak, żeby się zgodzić, gdybym jednak poprosił ją o rękę.

- Naprawdę?! - Trystan uświadomił sobie poniewczasie, że zareagował zbyt gwałtownie. - Dziwię się że to przyznała - dodał, siląc się tym razem na nonszalancki ton.

- Wiesz, że nasza Mair to szczerą kobietą.

- Ona nie jest moją Mair!

- Małe przejęzyczenie, chłopcze.

- Nie nazywaj mnie chłopcem!

- Postaram się zapamiętać. - Dylan uśmiechnął się chytrze. - Byłem po południu u Angharady.

- A więc dlatego kojarzysz Mair ze mną? Angharada nadal obstaje przy swojej bzdurnej przepowiedni, że niby Mair i ja jesteśmy sobie przeznaczeni?

- Nawet o niej nie wspomniała. - No i dobrze!

- Na Boga, aleś ty rozdrażniony! Chyba już sobie pójde i zaczekam, aż humor ci się poprawi.

- Nie prosiłem cię do towarzystwa.
- Ani tu, ani w sali, co? - Dylan oderwał się od muru. - Twoja wybranka nie wydawała się być mi niechętna.
- A jak, według ciebie, miała się zachować?
- Dokładnie tak, jak się zachowała - odparł Dylan i ruszył ku schodkom prowadzącym na dziedziniec.
- Angharada nie mówiła nic o Mair - rzucił przez ramię kpiącym tonem, który Trystan znał aż za dobrze - ale powiedziała mi, że śniły jej się wasze dzieci.
- Jakie dzieci? - zachnął się Trystan i chciał już za nim pobiec. Powstrzymała go myśl, że Dylan pewnie żartuje.
- Wszystkie będą zdrowe, ciemnowłose - zstępujący po schodkach Dylan zniknął mu już z oczu - i piegowate!

W pierwszym odruchu Trystan chciał ruszyć w po-goń za kuzynem i zepchnąć go z kamiennych stopni. Opanował się jednak i wolnym krokiem ruszył w tym samym kierunku.

Przepowiednie Angharady nie były warte funta kłaków. Co prawda, kilka się sprawdziło, ale czy mogło być inaczej? Sam potrafiłby tak przepowiadać: zima będzie chłodniejsza od jesieni; w tym roku zwierzyny w lasach będzie więcej, bo wiosna jest ciepła; z powodu ciepłej wiosny runo owiec będzie mniej gęste, a więc ojciec mniej zarobi na sprzedaży

wełny i tej zimy nie będą mieli tyle francuskiego wina co poprzedniej.

Gdy mijał ciemny korytarzyk między wielką salą a kuchnią, dobiegły go stamtąd jakieś szmery. Zajrzał tam, zaciekawiony. W mroku rozróżnił sylwetki wysokiego mężczyzny i kobiety.

- Ivor? - zapytał.

Dowódca straży odwrócił się zaskoczony.

- Tak, panie?

W towarzyszącej mu kobiecie Trystan rozpoznał Mair i ogarnęła go wściekłość.

- Jak się chcesz gzić, to nie na służbie!

- Nie jestem na służbie, panie - zaprotestował Ivor.

Mair, o dziwo, milczała. Pewnikiem wstydzi się, że przydybał ją zabawiającą się z gachem w zaułku jak pierwsza lepsza ładaczka.

- To zabieraj tę kobietę do kwatery. Dziedziniec to nie burdel!

Z tymi słowami odwrócił się i odszedł.

- Nie jestem dziwka! - zawołała za nim Mair. Jakby piorun ją ugodził i naładował od stóp do głów energią. - Jestem kobietą, nie zimnym posągim bez życia! Jestem matką syna twojego kuzyna!

Trystan szedł dalej.

- Pójdź, Mair...

Mair jakby nie słyszała Ivora.

- Wracaj tu i spójrz mi w oczy, ty draniu! Patrzyłeś już w nie, pamiętasz? Pamiętasz?!

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - rzekł Ivor, doganiając ją i zatrzymując. - Toż to syn barona.

Mair spojrzała na Ivora nieprzytomnie, jakby pierwszy raz w życiu go widziała. Potem potrząsnęła głową i dumnie ją uniosła.

- Ten łobuz potraktował mnie jak dziwkę.

- Nie dziwota.

- Coś powiedział? - zachnęła się Mair.

- Trzeba nam było iść od razu do mnie albo do ciebie...

- Nie wadzi ci, że ktoś mnie poniża?

- To syn barona.

- I dlatego wolno mu mnie lżyć? - Mair zmrużyła oczy. - A może i ty masz mnie za dziwkę, bo ci daję?

Ivor wziął ją za ramiona.

- Mair, proszę! Wiesz przecie...

Wyrwała się mu i z furją spojrzała w oczy.

- Przekonałam się, że nawet nie kiwniesz palcem, kiedy mnie lżą, i to mi wystarczy. Z nami koniec. Ivorze.

- Mair!

- Dobrej nocy!

Przebiegła wyciągniętym krokiem dziedziniec, minęła bramę i przez całą drogę do domu przeklinała Try staną, Ivora i mężczyzn w ogólności. Wkrótce gniew przerodził się w rozgoryczenie. Nie jest dziwką! Tak, to prawda, ma temperament, ale to nie

grzech i żaden mężczyzna, choćby syn barona, nie będzie jej obrażał.

Trystan przekroczył próg sali, dygocąc ze złości. W tym nastroju wołał nie rozmawiać z lady Rosamunde o małżeństwie. Zresztą nie spostrzegł jej wśród biesiadników.

Rany boskie, że też dał się tak wyprowadzić z równowagi Dylanowi! Ale dobrze zrobił, przepędzając Ivora i Mair z dziedzińca. Ktoś mógł ich przecież zobaczyć. Co innego na murach, tam tylko strażnik się snuje...

Przypomniał sobie namiętność, z jaką oddała mu się Mair. Było w tym tyle zapamiętania, tyle pasji - szczerzej, nie udawanej.

Święci pańscy, co się z nim dzieje? Źle zrobił, kochając się z Mair, i powinien o tym jak najprędzej zapomnieć, a nie rozpamiętywać chwile, które spędził w jej ramionach.

Wyrzucił z głowy wszelkie myśli o Mair i jej kochanku, przywołał na usta uśmiech i usiadł obok matki.

- Lady Rosamunde już wyszła? - spytał.

- Tak. Przed udaniem się na spoczynek chciała jeszcze zajrzeć do ojca. - Lady Roanna spojrzała bacznie na syna. - Tak nagle wyszedłeś.

- Mam nadzieję, że jej nie uraziłem. Musiałem... musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Och, coś cię gnębi?

Trystan o mało nie przytaknął. Wszak miotały nim uczucia, nad którymi nie potrafił zapanować.

- Nie, nic mi nie jest.

- Lady Rosamunde nie wyglądała na urażoną - zapewniła go lady Roanna

- Całe szczęście. - Trystan uznał, że oto nadarza się doskonała okazja, żeby zwierzyć się matce ze swych planów. - Zamierzam poprosić ją o rękę.

Matce nawet powieka nie drgnęła, ale ona nigdy nie okazywała emocji.

- Kochasz ją?

- Czy mogłoby być inaczej, skoro chcę ją pojąć za żonę.

- A ona ciebie?

- Tak mi się wydaje. Chyba tak. Tak.

- Rozumiem.

- Pochwalasz mój wybór? A ojciec? Na pewno, wszak ona pochodzi z dobrego rodu, możnego i wpływowego, a do tego jest słodka i piękna.

- Kochasz tę kobietę, ona kocha ciebie, i tylko to się dla nas liczy.

Trystanowi przemknęło przez myśl, że powinien poczuć się szczęśliwy. Naturalnie, byłby szczęśliwszy, gdyby lady Rosamunde przyjęła już jego oświadczenia.

- Nie rozmawiałeś z nią jeszcze o tym?

- Jutro porozmawiam.

- Może lepiej wstrzymać się do czasu, kiedy jej ojciec wydobrzeje.

- Podobno to nic poważnego i już mu się zdarzało.

- Mimo wszystko wydaje mi się, Trystanie, że twój ojciec wolałby, byś się wstrzymał. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

- Nie rozumiem.

- Małżeństwo syna walijskiego barona z córką normañskiego rycerza nie przejdzie niezauważone na dworze i nie tylko. Gdyby sir Edward dał swoje przyzwolenie i zgodził się na warunki, a potem został za to zganiony, mógłby się tłumaczyć, że był chory i nie wiedział, co czyni, a my wykorzystaliśmy podstępnie jego niemoc.

Ojciec twierdził zawsze, że matka jest z nich dwojga mądrzejsza; Trystan, nawet jeśli nie do końca dawał mu wiarę, miał teraz jeszcze jeden tego dowód.

- Rozumiem.

Lady Roanna podniosła się z gracją od stołu

- Lepiej zabiorę stąd twojego ojca, zanim zaczną się chóralne śpiewy, bo rano będzie jak z krzyża zdjęty. - Uśmiechnęła się. - Nie mogę mu przetłumaczyć, że nie ma już dwudziestu lat.

Oczy jej złagodniały, kiedy spojrzała na Trystana.

- Śpij dobrze, synu. Mam nadzieję, że dobrze wybrałeś.

Trystan odwzajemnił jej uśmiech. Zwierzając się

matce ze swych planów, przekroczył pewną granicę; odwrotu już nie było.

Matka powtórzy tę rozmowę ojcu, oszczędzając mu...

Czego? Wszak nie wstydział się swojego wyboru. Ojciec pewnie zacząłby stroić sobie żarty albo powiedziałby coś, co podkopałoby jego pewność siebie. A tego nie chciał.

- Lepiej ci, ojcze? - zapytała lady Rosamunde, pochylając się nad sir Edwardem. Ten leżał na szerokim drewnianym łożu w przytulnej komnacie na wieży, którą jednooki baron oddał do jego dyspozycji na czas pobytu w Craig Fawr.

Oprócz tego wygodnego łoża wymoszczonego puchową pościelą stało tu misternie rzeźbione krzesło. Na czerwone policzki sir Edwarda padał rdzawy blask dwóch palących się świec.

Rosamunde zadała to pytanie z troską w głosie, choć wiedziała, że ojcu nic takiego nie jest; pocierpi trochę, odstawi na jakiś czas piwo i dojdzie do siebie.

- Trochę lepiej. Poprosił cię?

Rosamunde odwróciła się, by odmierzyć porcję podłej w smaku odtrutki na dolegliwość ojca, którą sama przygotowała. Ból głowy i żołądkowe sensacje nie ustąpią mu po niej jak ręką odjął, ale w końcu miną.

- Jeszcze nie, ale tylko patrzeć, jak to zrobi-

W najmniej odpowiedniej chwili napatoczył się jego kuzyn.

- Ten młody baron?

- Tak. - Rosamunde westchnęła. Jaka szkoda, że tego przystojnego młodego barona zdążyła wcześniej usidlić Genevieve Perronet. Dylan DeLanyea, w odróżnieniu od Trystana, miał już tytuł i włości.

Słynął też z licznych flirtów, ona zaś chciała mieć męża, który, przynajmniej z początku, będzie w niej tak rozkochany, że niczego jej nie odmówi. Męskie zauroczenie z czasem, rzecz jasna, blaknie i przemija, ale zanim całkiem przeminie, ona, Rosamunde, położy już rękę na rodowej szkatule.

Ściągnęła brwi, przypominając sobie, jak Trystan opuszczał w wielkim wzburzeniu salę. Nietrudno się było domyślić, że reakcję tę wywołało pojawienie się kuzyna. Rosamunde nie czekała, wyszła z sali zaraz po nim. Tylko tego brakowało, żeby przyszły mąż pomyślał sobie, że będzie pokornie znosiła jego humory i fochy.

To on miał znosić jej kaprysy.

- Do rana ci przejdzie, ojciec - powiedziała, podając sir Edwardowi miksturę.

- Oj, nie wiem - wy stękał i przełknął szybko pakudny płyn.

Zmierzyła go nieruchomym, chłodnym spojrzeniem.

- Rano będziesz w pełni sił, gotów przyjąć Try-

stana DeLanyea. A kiedy poprosi cię o moją rękę, powiesz mu, że musisz się zastanowić.

- Nad czym tu się zastanawiać, jeśli u tych Walijczyków naprawdę jest, jak mówisz? Skoro za ciebie płaci, to na co tu się oglądać? Jak za długo będziemy go trzymać w niepewności, gotów się jeszcze rozmyślić.

- Nie wolno nam okazywać zbytnej gotowości, bo nabiorą podejrzeń - wyjaśniła mu jak dziecku Rosamunde i na jej wargach zagościł uśmiezek wychowania. - Zaufaj mi, ojczu. Nie rozmyśli się.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nazajutrz Trystan na długo przed rozpoczęciem mszy był już w małej kaplicy zamku Craig Fawr. Wzniesione z kamienia mury nasiąkły zapachem kardidła, a szarówka wstającego dnia nie przydawała bynajmniej ciepła chłodnemu wnętrzu. Przystępując z nogi na nogę po części dla rozgrzewki, po części z niecierpliwości, doszedł do wniosku, że tak właśnie muszą wyglądać rzymskie katakumby.

Z tym że on nie przyszedł tutaj na mszę żałobną.

Dręczyła go obawa, że sir Edward jeszcze nie wydobrzeał i że lady Rosamunde nie zjawi się dziś w kaplicy, bo musi opiekować się ojcem.

Pomimo zapewnień matki lękał się też, że lady Rosamunde może być na niego obrażona za wczorajsze nagłe opuszczenie sali, bez wyjaśnienia.

Odetchnął z ulgą, kiedy w towarzystwie sir Edwarda wkroczyła do kaplicy.

Wyglądała jak zawsze zachwycająco. A jednak...

Była we wspaniałej, lamowanej gronostajem sukni ze szkarłatnego brokatu w niemal tym samym odcieniu, co jedwabna suknia Mair. Niestety, kolor ów

kontrastował silnie z białą skórą i lady Rosamunde wyglądała jak ofiara wampira, podczas gdy dla ciemnowłosej, brązowookiej Mair jaskrawa czerwień wydawała się wprost stworzona. Może dlatego, że taki wyzywający kolor bardziej pasował do jej osobowości.

Mair była przecież nieokiełznana, namiętna... i zgoła plebejska.

Trystan spłonął rumieńcem, gdy spoczęło na nim spojrzenie lady Rosamunde. Wydało mu się, że czyta w jego myślach. Odprężył się, kiedy obdarzyła go uśmiechem. Gdyby była obrażona, nie patrzyłaby na niego w ten sposób.

Tak czy owak, zapowiedział sobie w duchu, że nie da się już sprowokować Dylanowi, ani w ogóle nikomu, i więcej tak się nie zachowa. I że przestanie wreszcie myśleć o Mair.

Zerknął na sir Edwarda. Ojciec Rosamunde chyba jeszcze nie doszedł w pełni do siebie, ale skoro czuł się na tyle dobrze, żeby uczestniczyć w mszy, to znajdzie chyba w sobie siły, by wysłuchać jego prośby o rękę córki.

Pod warunkiem, rzecz jasna, że wpierw lady Rosamunde przyjmie jego oświadczenia.

Ale dlaczego miałyby nie przyjąć? Przez całą noc zastanawiał się, co mogłaby mieć przeciwko niemu,

Nie był jeszcze lordem ani baronem. Jeśli jednak weźmie się solidnie do rzeczy i przypodoba królowi albo któremuś z wpływowych dworzan, taki tytuł

może być wkrótce w jego zasięgu, zważywszy na znaczenie, jakie miał jego ród.

Nie był może kandydatem na męża wystarczająco bogatym, jak na oczekiwania kobiety jej pokroju, ale jest jeszcze młody. Ma czas na dorobienie się fortuny.

Od strony osobowości też nie miał sobie nic do zarzucenia. Nie jest wesołkowatego usposobienia jak Dylan - i bardzo dobrze. Daleko mu też do posepności Griffydda, który śmiał się tak rzadko, że kiedy zdarzyło mu się choćby zachichotać, ludzie długo sobie o tym opowiadali.

Pomimo pocieszających wniosków, jakie wypływały z tych przemyśleń, Trystan zdawał sobie sprawę, że nikt nie jest ideałem, że gdyby głębiej pogrzebać, na pewno i w nim znalazłoby się coś zasługującego na krytykę. Tak więc noc spędził, zadreęczając się wątpliwościami i niepewnością.

A także płonąc z pożądania.

Pożądania, którego obiektem nie była jednak lady Rosamunde.

Była nim Mair. Wspominał znowu, jak trzymał ją w ramionach, jak poddawał się nieokiełznanej namiętności, kiedy bez reszty mu się oddawała. Boże, jak ona się kochała - tak śmiało i bez zahamowań, jak rozmawiała, tak wyzywająco, jak się uśmiechała, tak cudownie, jak się śmiała.

Dlaczego właśnie on musiał się na nich natknąć? Nie był w stanie wyrzucić z pamięci widoku Mair

w objęciach Ivora. Gdy z ciemności wyłowił wzrokiem ich splecione w uścisku postacie, od razu przypomniał sobie, jak sam trzymał ją w ramionach.

Nie potrafił o tym zapomnieć. Z pewnością dlatego, iż wciąż pragnął namiętnej Mair, co było zupełnie zrozumiałe, a także z powodu słusznego oburzenia na Ivora, który nie zachował się jak przystało na dowódcę zamkowej straży.

Mair też nie powinna się tak wydzierać na dzieźńcu - co ludzie mogli sobie pomyśleć?

Z zakrystii wyszedł ksiądz. Trystan drgnął i rozejrzał się zmieszany tym, że jego myśli zbłądziły w nieodpowiednim kierunku.

W tym samym momencie w kaplicy pojawił się Emryss DeLanyea, pomału, z powodu chorej nogi, prowadząc pod rękę lady Roannę. Trystan z trudem ukrył zaskoczenie. Ojciec rzadko uczestniczył we mszy. Powrócił z krucjaty do Ziemi Świętej z podkopanym szacunkiem dla sług Kościoła. Być może zawitał tu dzisiaj przez wzgląd na gości.

Trystan zerknął na ojca i napotkał spojrzenie, z którego wyczytał, że matka wyjawiała ojcu jego zamiary.

I co wyrażało to spojrzenie? Konsternację? Potępienie?

Nigdy nie zrozumie ojca. Czyż przez całe życie nie dążył do zapewnienia swej rodzinie pomyślności? A co mogło być lepszym ukoronowaniem tych wysił-

ków, jeśli nie małżeństwo najmłodszego syna z piękną córką sir Edwarda D'Heureux?

Trystan poniecha próby zrozumienia reakcji ojca. Będzie sycił oczy widokiem kobiety, którą pragnie poślubić.

Jakże zachwycająco prezentowała się lady Rosamunde, klęcząc przed ołtarzem! Światło poranka, przesączone przez okna, padało na jej bladą twarz o regularnych, delikatnych rysach.

Wyglądała jak posąg. Piękny, zastygły w bezruchu posąg bez życia. Dzieło sztuki do podziwiania z dala, którego nie sposób porwać w objęcia i obsypać żarliwymi pieściami.

I bardzo dobrze.

Ksiądz zaintonował łacińskie słowa i Trystan skupił się na mszy. Kiedy dobiegła końca, odczekał, aż ojciec z matką wyjdą z kaplicy, po czym zasadził się przy drzwiach, żeby powitać lady Rosamunde i sir Edwarda.

- Jakże się cieszę, widząc cię dzisiaj w dobrym zdrowiu, sir Edwardzie. - Skłonił się. - Pozwolisz, że będę wam towarzyszył w drodze do sali? -

Pozwolę - burknął sir Edward i ruszył przodem.

Trystan zrównał krok z lady Rosamunde.

- Czy po śniadaniu będzie mi wolno porozmawiać z tobą na osobności, pani? - spytał dwornie i, jak mu się wydawało, tak cicho, że tylko ona go słyszała.

- Cokolwiek masz do powiedzenia mojej córce,

możesz jej to powiedzieć w mojej obecności - rzekł sir Edward, oglądając się przez ramię i piorunując Trystana wzrokiem.

Trystan przywołał na usta przymilny uśmiech i przyspieszając kroku, dogonił Normana.

- Ależ naturalnie, sir Edwardzie. Przed południem wolna będzie komnata mego ojca. Może tam porozmawiamy?

- Dobrze.

Kiedy wkraczali na dziedziniec, Dylan, pożegnawszy się już z baronem i jego żoną, dosiadał właśnie wierzchowca. Na stojącym obok mniejszym koniu siedział już Arthur, w pewnym oddaleniu gotowała się do drogi drużyna Dylana.

Uśmiech przemknął przez wargi Trystana. Arthur miał ogromnie zadowoloną minę. Gdyby nie siedział w siodle, pewnie przebierałby nogami z podniecenia.

- Do zobaczenia, kuzynie! - zawołał Dylan, dostrzegając Trystana i jego towarzyszy. - A wam, sir Edwardzie i lady Rosamunde - tu skłonił się w pas - życzę wszystkiego dobrego. Do następnego spotkania.

- Udanej podróży! - odrzyknął Trystan.

Dylan zawrócił konia i odprowadzany wzrokiem przez barona i jego żonę, wyjechał na czele drużyny za bramę.

- Kim jest ten chłopiec? - spytał sir Edward.

- To syn mego kuzyna - odparł Trystan.

- Jego bękart - wtrąciła lady Rosamunde i Trystan wychwycił w jej głosie szyderstwo.

Zerknął na nią zdziwiony, ale zaraz przypomniał sobie, że od kogoś wychowanego wśród Normanów trudno oczekiwać innej reakcji.

- Ach, tak. - Sir Edward pokiwał głową.

- Ma dwóch takich - dorzuciła lady Rosamunde.

- Ten jest młodszy.

- My nie przywiązujemy takiej jak Normanowie wagi do związków, z jakich przychodzą na świat nasze dzieci - wyjaśnił chłodno Trystan.

- Przecież obowiązuje was teraz normańskie prawo - zauważył sir Edward.

- I przestrzegamy go na swój sposób.

- A czy prawdą jest, co zasłyszałem, sir Trystanie? - spytał sir Edward. - Że on, choć bękart, też będzie dziedziczył?

- O ile mój kuzyn zapłaci za prawo do tego, czyli tak zwany *cynnwys* - włączenie. Po wniesieniu tej opłaty Arthur będzie dziedziczył część schedy po moim kuzynie. Jego starszy brat odziedziczy tytuł. Tak to jest w Walii urządzone.

- Twój kuzyn też jest bękartem, nieprawdaż?

- Tak.

- A kto zapłacił za jego prawo do dziedziczenia?

- Mój ojciec.

- To ci dopiero rozrzutny wuj - powiedział Norman tonem na poły jowialnym, na poły sarkastycz-

nym, zapominając chyba, że sam nie grzeszy oszczędnością. - Nie po twojej to myśli, prawda?

- Dlaczego wielkoduszność ojca miałyby być nie po mojej myśli? - zdumiał się Trystan. - Zrobił, co uważał za słuszne, i mnie nic do tego.

- Toż mniej zostanie do podziału między ciebie i twojego brata.

Trystan, który sięgał już do klamki, cofnął rękę i odwrócił się powoli do sir Edwarda.

- Gdyby w Walii nie obowiązywał taki zwyczaj, mój ojciec nie miałby zapewne czego dzielić między swoich synów. Sam jest bękartem.

Sir Edward pokraśniał.

- Ach, prawda, zapomniałem.

Trystan, widząc zaambarasowaną minę lady Rosamunde, pożałował, że nie trzymał języka za zębami.

- Naturalnie ja oraz mój brat i siostra pochodzimy z jak najbardziej prawego łoża - powiedział, otwierając przed gośćmi drzwi wielkiej sali i przepuszczając ich przodem.

W nozdrza połaskotał go zwiewny kwiatowy zapach perfum lady Rosamunde, lecz uśmiech, który mu posłała, po raz pierwszy nie wywarł na nim żadnego wrażenia.

Mimo to poprosi ją o rękę.

- Kończysz już, tato? - spytał Trystan, stając w progu komnaty ojca i siląc się na beztroski ton.

Komnata mieściła się we wzniesionej ostatnio wieży. Nie była ani za duża, ani za mała, za to bardzo przytulna. Zadbała już o to matka. Pomieszczenie ogrzewały dwa kosze na węgiel drzewny, żeby ojca od chłodu nie bolała noga. Zasłony z grubej wełny w oknach broniły dostępu podmuchom zimnego wiatru. Ściany obwieszane były prostymi, acz grubymi gobelinami, a siedzisko krzesła wyoszczędzone miękką poduchą, jakiej baron nie dałby sobie za nic podłożyć w wielkiej sali, żeby ludzie nie pomyśleli, że na starość stał się łasy na wygody.

Ojciec podniósł na niego wzrok znad rozpostartego na stole pergaminu, który pilnie studiował.

- Czemu pytasz? - rzekł i zaczął zwijać pergamin. - Chciałeś ze mną o czymś porozmawiać? Może o jakiejś młodej damie?

- Chyba matka powiedziała ci już, co zamierzam?

Opaska na oku ojca uniosła się wraz z brwią, odsłaniając fragment zabliznionego oczodołu.

- Zamierzasz? To jeszcze tego nie uczyniłeś?

- Oni zaraz tu przyjdą.

- Kto?

- Sir Edward z lady Rosamunde.

Ojciec uśmiechnął się.

- Starego też zamierzasz poślubić?

Trystan spochmurniał.

- Skądże znowu, ale on też musi wyrazić zgodę, więc...

- Więc umyśliłeś sobie, że upieczesz dwie pieczenie przy jednym ogniu, tak? A może chcesz, żebym został i powiedział im, co o tym myślę?

Chociaż ojciec wyraźnie żartował, czoło Trystana przecięły zmarszczki.

- Chyba nie będziesz się sprzeciwiał?

Ojciec spoważniał.

- Jeśli naprawdę chcesz poślubić tę kobietę, to nie będę stawiał przeszkód.

- Mimo to wolałbym, żeby cię nie było, kiedy będę się oświadczał.

- Skoro tak sobie życzysz.

- Tak sobie życzę. - Trystan odprężył się nie, i uśmiechnął. - Wolałbym, żeby jej ojca też przy tym nie było, ale cóż począć...

- Mogę go stąd wywabić, jeśli chcesz. Na pewno da się namówić na wizytę w browarze Mair, żeby próbować piwa.

Czyż Mair musi się wszędzie wcisnąć?

- Byłbym ci bardzo wdzięczny.

- Zatem tak postąpię. Ty tu czekaj, a ja zrobię, co się da. - Ojciec wstał od stołu i ruszył do drzwi.

W połowie drogi zatrzymał się i odwrócił powoli z miną, jakiej Trystan jeszcze u niego nie widział.

- Twoja matka nie chce, żebym się wtrącał, synu, ale nie mogę milczeć.

Postąpił krok w stronę Trystana, mierząc go bawdawczo swoim jedynym okiem.

- Czy możesz z ręką na sercu powiedzieć, że kochasz tę kobietę? Czy wierzysz naprawdę, że ona ciebie kocha?

Pytania ojca zbiły Trystana z tropu.

- Chcę... chcę ją za żonę, ojcze.

- Nie o to cię zapytałem.

- Czy mężczyzna może mieć pewność, czy to, co czuje, to miłość?

- Ależ naturalnie. - Ojciec kiwnął zdecydowanie głową. - Miłość rozpoznasz od razu.

- Nawet gdybym był pewien swego uczucia, to czy mężczyzna może wiedzieć, co dzieje się w sercu kobiety?

Ojciec uśmiechnął się.

- Oto jest pytanie, synu. A jak myślisz, co dzieje się w sercu tej kobiety?

- Skąd mam wiedzieć? Nie jestem jasnowidzem.

- Nie powiedziała ci, co do ciebie czuje?

- Na razie, z tego co wiem, zadała sobie trud i wywiedziała się wszystkiego o mnie i o całej naszej rodzinie.

- Tak zrobiliby kupiec, gdyby chciał ubić z nami interes.

Trystan zacisnął pięści.

- Griffydda też tak wypytywałeś? Albo Dylana?

- Oni byli...

- Jacy? Inni? Starsi? Mądrzejsi?

- Trystanie! - Baron zbliżył się i spojrzał na syna groźnie. - Nie stawiam nikogo wyżej od ciebie.

- Doprawdy? To dlaczego kwestionujesz mój wybór? Ich tak nie przepytywałeś!

- Griffydda nie było w domu, kiedy się zakochał, a Dylan jak to on... - Baron wzruszył ramionami.

- A ja jestem Trystanem i oświadczam, że chcę poślubić lady Rosamunde D'Heureux.

Twarz barona złagodniała.

- Tak, jesteś Trystanem, moim ukochanym synem, i pragnę tylko, żebyś był szczęśliwy i zadowolony z życia. Dlatego zadaję ci pytania. Naprawdę uważasz, że akurat ta, a nie inna kobieta uczyni cię szczęśliwym i zadowolonym?

- Tak!

Ojciec pokiwał głową.

- Niech więc tak będzie. Poproś ją o rękę, a jeśli przyjmie twoje oświadczenia, zatańczymy z matką na waszym weselu.

Nie mówiąc już nic więcej, powoli, kuśtykając, wyszedł z komnaty.

Do Trystana po raz pierwszy dotarło, że ojciec się starzeje. Łatwo było tego nie zauważyć, bo baron trzymał się wciąż prosto, umysł miał nadal przenikliwy, oko bystre, śmiech zaraźliwy. Trystan nie wątpił, że gdyby doszło między nimi do walki, ojciec pokonałby go nie tyle siłą i umiejętnością, ile chytrością, którą wyrobił w sobie, wojując wiele lat w Ziemi Świętej.

Nie dało się jednak ukryć, że ojciec nie jest już młody, a z wiekiem człowiek staje się bardziej konserwatywny, to pewne.

Trystan odetchnął głęboko i zbliżył się do okna, które wychodziło na zamkowy dziedziniec.

Dobrze przynajmniej, że ani ojciec, ani matka nie będą się sprzeciwiali temu małżeństwu, oczywiście jeśli lady Rosamunde przyjmie jego oświadczenia, rat i kuzyn też powinni zaakceptować jego wybór.

W tym momencie ujrzał ojca wychodzącego z wielkiej sali. Za nim dreptał ochoczo sir Edward.

Ciekawe, jakie wrażenie Mair zrobi na sir Edwardzie?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Trystan odwrócił się od okna. W progu komnaty stała lady Rosamunde.

- Mój ojciec poszedł z baronem do wioski - powiedziała cicho i zarumieniła się.

- To nawet lepiej, zważywszy na to, co chcę ci powiedzieć, pani - odparł z powagą Trystan. - Wejź, proszę, i spocznij.

Rozejrzała się niepewnie po komnacie.

- Drzwi, rzecz jasna, zostawimy otwarte.

To ją chyba uspokoiło. Z gracją weszła do środka.

- Usiądź, pani. - Trystan podsunął jej krzesło.

Kiwnęła głową i usiadła, wbijając wzrok w podłogę.

Zamierzał zacząć od komplementów i dopiero potem, kiedy wypatrzy jakieś oznaki zachęty z jej stro-

ny, poprosić o rękę, ale jej zachowanie zbiło go trochę z tropu. Nie podniosła głowy i nie popatrzyła na niego nawet wtedy, kiedy zaczął mówić.

- Pani, chociaż nie jestem godzien... - Urwał i odchrząknął. - Pani, chcę, żebyś wiedziała...

Nadal wpatrywała się w podłogę.

- Czy ja ci się podobam, pani? - wyrzucił z siebie w końcu zdesperowany.

Ledwie to powiedział, natychmiast pożałował, że nie ugryzł się w język. Ale, o dziwo, lady Rosamunde spojrzała na niego wreszcie i w dodatku się uśmiechnęła.

- Dosyć zuchwałe pytanie, sir Trystanie, nie sądzisz?

- Nie zadałbym go, gdyby to nie było takie ważne. Wstrzymał oddech i patrzył, jak na jej policzki wypełza delikatny rumieniec.

- Owszem, bardzo mi się podobasz - wyszeptała

Przykląkł przed nią na jedno kolano i spojrzał w te piękne, błękitne oczy. Potem wziął głęboki oddech i stawiając wszystko na jedną kartę, wypalił:

- Pani, czy wyświadczysz mi ten honor i zgodzisz się zostać moją żoną?

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Czyżby w jej spojrzeniu błysnął tryumf? - Trystan natychmiast skarcił się za takie podejrzenie.

- Będę zaszczycona, zostając twoją żoną, sir Trystanie, jeśli tylko ojciec przyzwoli.

Ujmując ją za rękę, Trystan tłumaczył sobie, że przyprawiający o mdłości ucisk w dołku to skutek wielkiej ulgi, jaka na niego spłynęła.

Idąc za ciosem, zerwał się gwałtownie z klęczek, poderwał z krzesła lady Rosamunde i ogniście ją pocałował.

- Sir Trystanie! - obruszyła się i odepchnęła go od siebie z siłą, o którą by jej nie podejrzewał. - Co czynisz?

- Całuję narzeczoną.

Poprawiła szal i czepek, który trochę się przekrzywił.

- Nie jesteśmy jeszcze małżeństwem!

- To prawda, jeszcze nie - przyznał z powagą, ale zaraz uśmiechnął się rozbrajająco. - Nie można mnie chyba winić za to, że uległem pokusie pocałowania przyszłej żony.

- Nie, chyba nie - odparła lady Rosamunde. - Przestraszyłeś mnie tylko - dodała.

Przysunął się do niej znowu i zniżając głos do szeptu, zapytał:

- Ale nie przestraszyłabyś się, gdybym teraz cię pocałował, prawda?

- Nie. - Uniosła głowę, zamknęła oczy i ułożyła usta w ciup.

Przypominała mu teraz rybę. Zimną, śniętą rybę. Mimo to wziął w objęcia jej usztywnione ciało i powtórnie pocałował.

Nawet nie próbował dotknąć jej mocno zaciśniętych ust językiem. Obawiał się, że zapiszczałaby z przerażenia, gdyby to zrobił.

Pozostawało mu żywić nadzieję, że będzie mu powolniejsza, kiedy zostaną mężem i żoną.

- Porozmawiam z twoim ojcem, jak tylko wróci, pani. Myślisz, że będzie mi przeciwny?

Odsunęła się od niego i podeszła do okna.

- Być może. - Odwróciła się do niego, składając dłonie jak do modlitwy. W jej oczach malował się niepokój. - Uczynię, co w mojej mocy, żeby go do ciebie przekonać, panie.

- Gdzieżbym śmiał się tobą wyręczać, pani - obruszył się Trystan. - Jeśli zajdzie tego potrzeba, sam go do siebie przekonam.

Lady Rosamunde westchnęła i opuściła głowę.

- Na pewno ci się uda, Trystanie. - Zerknęła na niego z zawstyżeniem. - Nie będzie ci wadziło, jeśli przestanę cię tytułować?

Pokręcił głową i uśmiechnął się łagodnie.

- Nie, nie będzie. Wprost przeciwnie. Sam chciałem cię prosić, żebyś zaczęła zwracać się do mnie po imieniu. Wybierzemy się po południu na konną przejażdżkę?

- Z miłą chęcią - odparła cicho. Potem podeszła i na pożegnanie musnęła wargami jego policzek. - Mój Trystanie.

Mair pochylała się nad kadzią ze świeżo uwarzonym ciekim piwem i marszcząc brwi, pociągnęła nosem. Piwo nie miało właściwego zapachu, ale nie potrafiła stwierdzić, co jej w nim nie odpowiada.

Potarła z rozdrażnieniem czoło. Dziwne, bo jeśli nawet zdarzyło jej się czasem popełnić błąd w sztuce, zazwyczaj od razu wiedziała, w czym tkwił. Czy w zacierze, czy w becze, czy w czasie warzenia. Dzisiaj umysł miała zamulony, jakby nie tylko uwarzyła to piwo, ale i całe wypła.

- Bądź pozdrowiona, Mair! - zawołał ktoś po walijsku od progu.

Drgnęła i obróciła się na pięcie. Odetchnęła z ulgą, widząc w progu jednookiego barona. Już myślała, że to jego najmłodszy syn.

- I ty bądź pozdrowiony, baronie - odparła z uśmiechem, również po walijsku. A potem pokiwała ostrzegawczo palcem. - Nie będzie dzisiaj żadnego próbowania!

- Nawet łyczka? - spytał baron, wyraźnie zawiedziony, wchodząc do chłodnego pomieszczenia o grubych murach. Klepisko posypane było tutaj wiórami, pod ścianami stały rzędy rozmaitej wielkości baryłek. Zapach świeżego drewna mieszał się z aromatem korzennego miodu.

- Nie, nawet łyczka. Chyba ze wstydu bym się spaliła...

Urwała. Za baronem wtoczył się do składziku sir

Edward D'Heureux. Sapał ciężko, cały spocony, choć z zamku nie było tu daleko.

- O, widzę, żeś gościa ze sobą przyprowadził, baronie - zauważyła.

- A przyprowadziłem - przyznał baron po walijsku - bo zasmakował, opój jeden, w twoim piwie. - Tu puścił do niej oczko. - Pomyślałem sobie, że twój wyborny *braggot* też mógłby mu przypaść do gustu, Mair ściągnęła brwi.

- Zbyt uderza do głowy, jak ktoś nienawykły.

- Ten moczymorda jest w stanie wyłopać tyle piwa, że po mojemu i *braggot* mu nie zaszkodzi.

- A cóż to za urodziwa dziewczka? - wymruczał z uznaniem Norman, ni to do siebie, ni do barona. Zasedł Mair od tyłu, taksując ją wzrokiem niczym jałówkę na targu. - Zdałaby mi się taka do wygrzania łoża.

Mair posłała baronowi niechętne spojrzenie.

- On nie wie, że ja go rozumiem? - spytała po walijsku.

Baron z trudem zachowywał powagę.

- Nie wie. Oświecimy go czy niech paple dalej?

I w tym momencie sir Edward ucapił Mair za pośladek.

Z walijskim przekleństwem na ustach obróciła się jak fryga i spiorunowała go wzrokiem, a potem rzuciła po walijsku do barona.

- Zabierz lepiej tego starego capa do zamku, panie, bo nie ręczę za siebie.

- Do pioruna, dziewczucha jak rzepa - orzekł sir Edward, uśmiechając się obleśnie.

- Jak cię ta rzepa kopnie w twój tłusty zadek, to rozbijesz się o zamkowe mury - odparowała Mair W całkiem znośnej francuszczyźnie.

Sir Edward wybałuszył oczy, stropił się i zerknął na barona.

- Pozwalasz swoim poddanym zwracać się tym tonem do gości? Jak ta zuchwała dziewczka śmie mnie lżyć?

- Mnie nazywasz zuchwą?! - zachnęła się Mair.

- Przecież to nie ja cię obłąbiam. Zresztą, która kobieta przyłożyłaby z własnej woli rękę do twojego wypasionego...

- Niestety, sir Edwardzie - wpadł jej czym prędzej w słowo baron - obawiam się, że popełniłeś poważny błąd. Uraziłeś Mair i teraz do końca twojej wizyty nie dane nam już będzie pokosztować tego wybornego piwa. Nieroztropnie zadzierać z rzemieślnikiem, w którego wyrobie gustujesz.

Sir Edward miał taką minę, jakby dopiero teraz dostrzegł w niej kobietę.

- Na Boga, chyba nie mówisz poważnie!

Mair rozbroił widok szczerego przerażenia na jego obliczu. Jak można się gniewać na takiego głupca?

Spojrzała porozumiewawczo na barona i złapała się za głowę.

- O, biada mi, biada! Sir Edward nie wierzy, że ja, prosta Walijka, potrafię warzyć takie dobre piwo. Na

co mi przyszło? Chyba rzucę wszystko i skoczę do rzeki!

Sir Edward z niewyraźną miną zaczął się wycofywać w stronę barona.

- Ona błaznu e, prawda? - szepnął z przejęciem,
- A może rozum postradała?

Mair odrzuciła głowę i roześmiała się.

- Nie, sir Edwardzie, nie postradałam rozumu i, nie chwaląc się, warzę najlepsze piwo w Walii.

- To prawda - potwierdził baron z powagą i powiódł wzrokiem po baryłkach pod ścianą. - Wystarczy, Mair - podjął, przechodząc na walijski - pożartowaliśmy sobie z człeka, ale to mój gość i chyba w ramach zadośćuczynienia należałoby go uraczyć *braggotem*.

- Jak sobie życzysz, panie - odparła Mair. - Dam mu *braggotu*... ale jeśli po przebudzeniu będzie się żalił, że głowa mu pęka, a gardło ma na wiór wysuszone, i błagał o szybką śmierć, to ja nie biorę za to odpowiedzialności.

- Dzięki, Mair. Będę pamiętał.

- I zapłacisz, panie - przypomniała mu.

- Obawiam się, że sir Edward także.

Mair, chichocząc, utoczyła z beczułki dwie szklance *braggotu*.

Baron z namaszczeniem uniósł swoją i z lubością wciągnął w nozdrza unoszący się z naczynia aromat; sir Edward poszedł za jego przykładem, ale minę miał taką, jakby podejrzewał, że częstują go trucizną.

Upił łyżeczek, zastygł na moment, a potem odrzucił w tył głowę i wypił zawartość szklanicy jednym haustem.

- Do pioruna, jeszcze czegoś takiego nie kosztowałem! - wykrzyknął z zachwytem i strząsnawszy ze szklanicy ostatnie krople, podstawił ją Mair do ponownego napełnienia.

- Uprzedzam, panie, że to mocny trunek - ostrzegła go. - Miód zmieszany z piwem i . . .

- Dobrze dla osesków i pacholąt! - prychnął lekceważąco sir Edward. - Lej!

Mair z uśmiechem napełniła mu szklanę.

- Twoje słowo jest dla mnie rozkazem, sir Edwardzie - powiedziała. - Tobie, panie, też dolać?

- Czy ja wiem... - zawahał się baron.

Sir Edward znieruchomiał ze szklanicą przystawioną już do warg.

- Co, za mocne dla ciebie, baronie? - spytał kpiąco i zarechotał.

Baron podstawił swoją szklanicę ruchem rycerza, który na turnieju podejmuje rzuconą rękawicę.

- Lej, kobieto!

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Ooooo-ooo-oo!

Przybierający na sile bełkotliwy śpiew dwóch zdecydowanie pijanych mężczyzn, przetykany nieartykułowanymi rykami, który od dłuższego czasu docierał do uszu biesiadników zgromadzonych w wielkiej sali zamku Craig Fawr, urwał się nagle pod samymi drzwiami. Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wtoczyli się baron z sir Edwardem. Potknęli się o próg i byliby runęli jak dłudzy na posadzkę, gdyby nie to, że obejmowali się jak starzy serdeczni przyjaciele.

Baron, odzyskawszy równowagę, wyprostował się, potoczył błędnym wzrokiem po sali i w dramatycznym geście wyrzucił w górę ręce.

- Mi... mili moi! - wymamrotał, chwiejąc się na nogach.

Potem uśmiechnął się od ucha do ucha i chciał uklonić. Zatoczył się i o mało nie upadł.

Przeżażony Trystan zerwał się z krzesła i ruszył na pomoc ojcu i potarganemu, rozmemłanemu sir Edwardowi. Nigdy jeszcze nie widział ojca pijanego.

Słyszał, oczywiście, że w młodości baronowi zdarzyło się przebrać parę razy miarę, ale nigdy nie był naczynym świadkiem takiego zdarzenia. Zresztą ojciec miał w pogardzie tych, którzy nie wiedzą, co to umiarkowanie, i nie potrafią przestać we właściwym momencie.

Najwyraźniej aż do dzisiaj.

Podtrzymując słaniającego się na nogach barona, zerknął przez ramię na lady Rosamunde. Siedziała za stołem bez ruchu, z licem czerwonym jak suknia, którą miała na sobie. Podejrzewał, że sam jest równie czerwony ze wstydu.

- Tato, tyś pijany - mruknął ojcu do ucha.
- Tak, synu, pijany - przyznał wesoło baron.
- Jaki tam pijany - wybełkotał sir Edward, klepiąc barona w plecy. - Jesteś tylko... trochę... zmęczony!

Powiedziawszy to, tłusty Norman zarechotał ochryple, ubawiony własnym żartem.

- Emryssie, natychmiast do łóża! - zawołała lady Roanna rozkazującym tonem.

Baron uśmiechnął się do niej porozumiewawczo, komicznie poruszając brwiami.

- Z tobą zawsze.

- Emryssie!

- Tato, nie rób z siebie widowiska! - syknął Trystan, usiłując wydostać barona z istic niedźwiedziego uścisku sir Edwarda.

Szybki rzut oka na siedzącą wciąż nieruchomo

i wyraźnie przerażoną lady Rosamunde tylko spotęgował jego zdenerwowanie.

Sir Edward, lekko zezując, pogroził Trystanowi palcem.

- Młodzieńcze - powiedział i zgiął się w pasie jak na zawiasach - nie mów tak do ojca. To mój najlepszy kompan. - Tu pociągnął nosem i oczy zaszyły mu łzami pijackiego wzruszenia. - Najlepszy! - powtórzył łamiącym się głosem.

- Trystanie, odprowadź ojca do łóżnicy - poleciła lady Roanna. Skinęła na jednego ze zbrojnych. - My odprowadzimy sir Edwarda.

- Nigdzie nie idę! - ryknął Norman. - Noc jeszcze młoda!

Chwycił kufel piwa z tacy dźwiganej przez mijającą go służkę, pociągnął spory łyk, uśmiechnął się błogo - a potem szybko zgiął wóół i zwrócił na posadzkę przełknięte przed chwilą piwo i nie tylko.

Trystan spojrział znowu w kierunku podwyższenia, ale lady Rosamunde już tam nie było. Najwyraźniej wolała opuścić salę, niż nadal przyglądać się żalostnemu i niesmacznemu widowisku.

Zamierzał obwieścić ojcu dobrą nowinę, a ten spił sir Edwarda i narobił im wszystkim wstydu. Wcale by się nie zdziwił, gdyby lady Rosamunde nie chciała więcej znać ani jego, ani jego rodziny.

Jedynie co go pocieszało, to że sir Edward był zdecydowanie bardziej pijany niż baron.

- Chodź, tato, do łoża - powiedział.
- Hej, ho, do łoża by się szło! - zaintonował baron, kiedy Trystan pociągnął go do schodów prowadzących na wieżę. Sir Edwardem zajęła się matka i zbrojni.

Doholowanie ojca po schodach do łożnicy zajęło trochę czasu, bo ten przystawał na co drugim stopniu i próbował sobie przypomnieć słowa *pwncu*, które skomponował nazajutrz po ślubie z lady Roanną. Był to wiersz ślubny, którego każdy werset trzeba było układać na poczekaniu w odpowiedzi na podobnie improwizowany werset wykrzykiwany przez gości weselnych zgromadzonych pod drzwiami łożnicy nowożeńców.

- A potem Gwilym powiedział coś o długości mojego miecza - mamrotał w zamyśleniu ojciec, drapiąc się jednym palcem pod opaską zasłaniającą pusty oczodół. - Mojego miecza, mojego korzenia czy czegoś tam...

- Oj, tato - mruknął niecierpliwie Trystan.

Słyszał to setki razy, a teraz chciał jak najszybciej ułożyć ojca do snu.

- To były czasy, synu! - zakrzyknął baron, ruszając znowu z miejsca. - Podczas nocy poślubnej wiele nie użyłem, bo byłem idiotą, ale to sobie później odbiłem!

- Tak, tato. Uważaj na ten rozchwiany stopień.

- I nigdy nie zapomnę miny twojej matki, kiedy

otworzyłem kopniakiem drzwi, a ona stała tam голу-
sieńka...

- Ostrożnie!

- Ufff! Jutro każę to naprawić. To były czasy, sy-
nu. Wspaniałe czasy. Nie ma to jak dobra żona. Nie
ma! A ta lady Rosamunde chuda taka jakaś i zimna.

Trystan zacisnął zęby. Byli już prawie na miejscu.

- Nie ma w niej ognia. Nie to co twoja mama!
Baron oparł się o framugę i chwiejąc się lekko, spój-
rzył na ponurego syna. - Z sir Edwardem jesteśmy te-
raz takimi dobrymi przyjaciółmi, że nie będzie się
sprzeciwiał.

- Rad jestem, że coś pożytecznego może jednak
wyniknąć z twojego opilstwa, pod warunkiem, że sir
Edward będzie jutro pamiętał, że tacy z was dobrzy
kompani do wypitki.

- Czy będzie pamiętał? - obruszył się baron. -
Pewnie, że będzie! Założę się, że będzie też pamiętał,
żeby więcej nie przystawiać się do Mair - dorzucił
i wtoczył się do komnaty.

Trystan wszedł za nim.

- Przystawiał się do Mair?

- Próbował. - Baron zachichotał i ściągnął opa-
skę, odsłaniając pusty, zabliźniony oczodół. - Do
pioruna, szkoda, żeś nie widział jego miny, kiedy się
dowiedział, że ona warzy piwo... Szkoda, że nie wi-
działeś jej miny, gdy ją capnął!

- Dotykał jej?

Ojciec mocował się z klamrą u pasa.

- A dotykał. - Baron przerwał walkę z pasem i na jego twarzy pojawiło się pijackie rozmarzenie. - Trudno go za to winić. Ta dziewczyna ma tyłeczek jak malowanie. Aż ręce świerzbią, żeby go poklepać.

- Tato!

- Wiem, co mówię. - Baronowi udało się wreszcie uporać z pasem. Westchnął i podrapał się po głowie. - Jestem ślepy na jedno oko i kocham swoją żonę, ale na tyłeczkach to ja się znam. - Spojrzał na syna. - Coś ty taki nie w sosie?

- Jeszcze pytasz? Wracasz do domu pijany jak wiejski ochlapus, a do tego upijasz mojego przyszłego świekra.

- To nie moja wina, że ten człek nie zna umiaru. Ostrzegaliśmy go z Mair przed *braggotem*, ale nie słuchał. Co było robić? Wszak to gość.

- Mogłeś powiedzieć „starczy”.

- Mogłem. - Baron zaczął się szamotać z tuniką,

- Gdzie twoja mama?

- Została przy sir Edwardzie, nie pamiętasz?

- A, tak. - Baron dał spokój tunice, usiadł ciężko na łożu, posiedział tak chwilę, a potem padł na wznak. Trystan ruszył do drzwi. Niech matka użera się ojcem.

- Biedna Mair - westchnął ciężko baron.

Trystan zatrzymał się i odwrócił powoli.

- Dlaczego biedna? - spytał. - Sir Edward tak jej zalaż za skórę?

- To też, ale zaraz jej przeszło - wymamrotał baron. - Znasz Mair. Gniew szybko jej mija.
Trystan postąpił krok w stronę łoża.
- To dlaczego „biedna”?
Ojciec ziewnął szeroko.
- Bo nikogo nie ma.
- Ma Arthura.
- Który w przyszłym roku idzie do Fitzroya na naukę rycerskiego rzemiosła.
- Do Fitzroya?
- Do Fitzroya. Jak Dylan, ty i twój brat. A do kogo miałyby pójść?
- Myślałem, że do Dy lana...
- Dylan nie byłby dość twardy dla własnego syna, a Genevieve trzęsłaby się nad nim i rozpieszczała. Trefor idzie do Fitzroya za miesiąc, a Arthur za rok. O tym Trystan nie pomyślał.
- Słyszałem, że ma Ivora.
- Miała, ale już nie ma.
Trystan pilniej nadstawił ucha.
- Skąd wiesz? - spytał, siłąc się na obojętny ton.
Ojciec ziewnął znowu i wymamrotał sennym głosem:
- Stać, że jestem tu lordem. A lord musi wiedzieć takie rzeczy... - Urwał i zachrapał.
Trystan chciał go obudzić, ale po chwili namysłu zrezygnował. Co go w końcu obchodzi, że Mair i Ivor nie są już ze sobą. Jeśli był z tego rad, to tylko

dlatego, że ta para nie będzie już ślacz zgorzenia na zamkowym dziedzińcu. Ani gzić się na murach.

Walcząc z podnieceniem, które ogarniało go zawsze, gdy wspominał, jak trzymał w ramionach roz-namiętnioną Mair, wyslizgnął się cicho z komnaty, Zamykając za sobą drzwi, usłyszał kroki wstępującej po schodach matki. Zatrzymał się, żeby na nią za-czekać.

- Zasnął - oznajmił, kiedy pojawiła się u szczytu schodów.

- Będzie spał jak zabity do późnego ranka i obu-dzi się chory.

- Nie jesteś zła?

Matka uśmiechnęła się.

- Od kiedy jesteśmy ze sobą, widziałam go pija-nego może z pięć razy. Wybaczam mu ten dzisiejszy wybryk i ty też chyba powinienes.

- Dlatego, że tak rzadko mu się to zdarza?

Lady Roanna ściągnęła brwi.

- Nie, dlatego, że upił się, dotrzymując kompanii sir Edwardowi. Nie chcesz, żeby ojciec zaprzyjaźnił się z sir Edwardem?

- Mógł znaleźć lepszy sposób.

- Nie przeczę, ale jutro z nawiązką to odpokutuje.

Trystan uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie, jak sam przeholował z *braggotem*.

Ten jeden, jedyny raz wystarczył aż nadto, by wię-cej nie powtórzył tego głupstwa.

- Masz rację. Nie zapomnę, jak... - W porę ugryzł się w język. - Pamiętam, jak Dylan się kiedyś upił i omal nie spadł z dachu browaru Mair.

Mair zrugła go wtedy, bo pozwolił Dylanowi wspinać się w takim stanie na dach. I śmiała się do rozpuku, zorientowawszy się, że jest równie pijany jak Dylan.

Drwiła potem z niego przez parę miesięcy, pytając, jak mu się spało w pustym korycie na wodę, w którym go zostawiła.

- Matko? - bąknął, kiedy lady Roanna chciała już pchnąć drzwi komnaty.

Odwróciła się i spojrzała pytająco.

- Tak, synu?

- Myślisz, że sir Edward będzie miał jutro preten-
sję o to, co się dzisiaj stało?

- Nie. Śmiem twierdzić, że twój ojciec nie mógł obrać lepszej metody uzyskania jego zgody na twoje małżeństwo.

Nie wiedzieć czemu, opinia ta wcale nie poprawiła Trystanowi nastroju. Może dlatego, że przeżycia tego dnia i wieczoru zbyt go wyczerpały.

- Dobranoc, matko.

Lady Roanna pogłaskała go czule po policzku.

- Dobrej nocy, synu. Śpij spokojnie, bo wygląda na to, że zdobędziesz rękę kobiety, którą sobie upa-
trzyłeś.

- Miejmy nadzieję.

Odprowadzając wzrokiem Trystana zstępującego powoli po schodach, lady Roanna westchnęła. Tak wysoko mierzył ten jej najmłodszy syn! Chyba łatwiej by mu było w życiu, gdyby miał odrobinę więcej tej naturalnej radości życia Dylana.

Ale wtedy nie byłby Trystanem.

Kiedy wchodziła na palcach do komnaty, baron usiadł na łożu.

- Zły jak szerszeń, ten mój syn - zauważył spokojnie. Był zupełnie trzeźwy.

Lady Roanna ściągnęła brwi i ujęła się pod boki.

- Myślałam, żeś pijany.

Emryss uśmiechnął się.

- Trystan też.

- Na żarty ci się zebrało? Trystan jest oburzony.

Emryss wstał i ściągnął przez głowę tunikę, obnażając nagi tors poznaczony bliznami po odniesionych w boju ranach.

- Pijany może wygadywać rzeczy, których nie wypadałoby mówić trzeźwemu, i uchodzi mu to płazem.

- Emryssie!

- A nie jest tak, miłości mego życia?

- No i co mu nagadałeś?

- Nie tak znowu wiele. Przypomniałem tylko o tym i owym.

Lady Roanna zmrużyła oczy.

- O czym?

Baron podszedł do miednicy i obmył zimną wodą twarz.

- Raczej o kim.

- No to o kim?

Otarł bez pośpiechu twarz i odparł z lekkim zakłopotaniem:

- O Mair.

- O Mair?!

- A myślałaś, że o kim? Angharada mówi...

- Wiem, co mówi Angharada, i wiem też, że Trystan chce poślubić lady Rosamunde. Nie powinienes się wtrącać.

- Ale on jej nie kocha!

Roanna westchnęła, ściągnęła z głowy czepek i potrząsnęła głową, rozpuszczając długie ciemne włosy przetykane pierwszymi pasemkami siwizny.

- To jeszcze nie znaczy, że kocha Mair.

- Ale ona kocha Trystana. Kochała go już, gdy była podlotkiem.

Roanna usiadła przy małym stoliku, na którym trzymała szczotkę i zwierciadło, i zaczęła rozczesywać włosy.

- Tak ci powiedziała? Dzisiaj, kiedy piliście u niej z sir Edwardem? Trudno mi w to uwierzyć.

- Na Boga, ona nigdy by mi tego nie wyznała. Trystanowi też nie powiedziała, bo nie spojrzałby nawet na tę normańską mimozę.

Roanna przerwała szczytkowanie włosów i obróciła się na stołku.

- Ty nie lubisz lady Rosamunde, prawda?

- Ani trochę, zwłaszcza po dzisiejszym popo
niu u Mair.

- Mair nie jest szlacheckiego rodu - przypomniała mu Roanna delikatnie, świadoma faktu, że mąż zawsze lubił zuchwałą, wesołą Mair, która zdawała się nigdy nie poddawać przeciwnościom losu.

- Nie dbam o to! Jest stworzona dla Trystana, kocha go i wydaje mi się, że Trystan, gdyby tylko przestał myśleć, jak by tu udowodnić, że jest lepszy od Griffydda i Dylana, też by to zauważył.

- Trudno być młodszym synem. Jeśli nawet zrezygnuje z poślubienia lady Rosamunde, to nie będzie jeszcze znaczyło, że pojmie za żonę Mair. Może w jego mniemaniu... - Roanna odchrząknęła. - Może w jego mniemaniu byłoby to zbieranie resztek po Dylanie.

- Na pewno nie jest taki głupi.

- Rozmawiamy o sprawach serca, kochany, nie rozumu.

- Właśnie o jego sercu mówię! Wczoraj wieczorem wprost pożerał Mair oczyma, kiedy tańczyła, chociaż siedziała obok niego ta normańska stwora. A Dylana przeszywał wzrokiem jak zazdrosny kochanek. Na Boga, Roanno, tak liczyłem, że przyjdzie do mnie dumny i zbuntowany i oznajmi, że postano-

wił pojąc za żonę Mair, choć nie jest szlachetnie urodzona, a jeśli mi się wydaje, że mu w tym przeszkodzę, to się grubo mylę... - Urwał i spojrzał zdumiony na żonę. - Roanno, ty płaczesz?

- Tak - przyznała wstydliwie, ocierając oczy i usiłując przywołać na usta uśmiech. - Ja też pragnęłam, żeby ją poślubił, Emryssie. Staram się, ale nie potrafię polubić lady Rosamunde, i lękam się, że ona zatruje mu życie. Mair uczyniłaby go szczęśliwym, choć pewnie darliby ze sobą koty. Jednak nie wolno nam się wtrącać. Trystan jest dorosłym mężczyzną i chociaż serce mi się kraje, jemu musimy pozostawić wybór żony.

Baron podszedł do lady Roanny i objął ją czule.

- Wiem, moja miłości, wiem. Miejmy nadzieję, że dałem mu do myślenia swoim pijackim bełkotem. Jeśli nie, to przyjdzie mi pogodzić się z opinią, że baron traci na starość wyczucie, kiedy ma dosyć *braggotu*.

Mair westchnęła. Dawno już powinna pójść spać, ale nie potrafiła zebrać się w sobie i wstać ze stołka przed paleniskiem. Wpatrzona w żarzące się węgielki, rozmyślała i wspominała.

Całe życie przemieszkała w tym małym domku. Tu wydalają na świat matka i zaraz potem umarła. Ojciec wychował ją i nauczył wszystkiego, co sam wiedział o warzeniu piwa. Odumarł ją, kiedy miała trzynaście lat.

Pamiętała, jak baron DeLanyea, wpadając tu, by omówić z jej ojcem dostawy piwa dla zamku, przeprowadzał ze sobą swoich chłopców.

Poważnego Griffyda, o tyle od niej starszego i mądrzejszego.

Wesołego Dylana, który zawsze ją rozśmieszał.

I Trystana o tych uduchowionych oczach i cudownym uśmiechu, do którego tak trudno było go sprowokować.

Jakże ona go wyglądała, mimo że podczas tych wizyt rzadko kiedy odezwał się do niej choć jednym słowem! Dokuczała mu i dokuczała, byle tylko przemówił.

Może lepiej było pozwolić mu milczeć. Może wtedy by ją polubił.

Gdyby Trystan ją lubił, może nie zabiegałaby tak bardzo o względy innych chłopców z wioski. Może nie wprawiałoby jej w taką euforię odkrywanie, że zwracają na nią uwagę, i może nie zaspokoiłaby ciekawości, czego też takiego może doznać w ich ramionach.

Gdyby nie obojętność Trystana, nie byłaby może taka wniebowzięta, kiedy zainteresował się nią Dylan. Ale gdyby nie Dylan, nie miałyby Arthura i byłaby zupełnie sama na świecie.

Jak teraz, kiedy chłopiec przebywa u ojca. I w nie-dalekiej przyszłości, kiedy syn odejdzie z domu, by zostać rycerzem. Od tego momentu będzie tylko gościem w domu.

Poczuła łzę toczącą się po policzku. Pociągnęła nosem.

- Mair?

- Kto to? - Zerwała się ze stołka jak oparzona i odwróciła. W drzwiach stał Trystan.

Podświetlany od tyłu blaskiem księżyca w pełni, przypominał jej anioła w doczesnej powłoce.

Śmieszne porównanie. Wiedziała bardzo dobrze, że przystojny i namiętny, jest tylko człowiekiem. I to człowiekiem, na którego powinna być zła.

- Czego tu szukasz... po nocy? - zapytała chłodno.

- Nie mogłem... zasnąć i przyszedłem porozmawiać.

Nie powinien na nią patrzeć tak zachłannie, skoro ma inne plany. To nie w porządku.

- Takie to ważne, że nie mogło poczekać do rana?

- spytała. - A może chcesz pójść w ślady tego Normana i schlać się jak on? Trudne to będzie, bo nawet dziecko ma głowę mocniejszą od tego tłustego, oblesnego capa.

Trystan wszedł do izby i zamknął za sobą drzwi. Poczuła się jak uwięziona w klatce z niebezpiecznym zwierzem, który, co prawda, nie zabije jej, ale ciężko porani.

Jak już to uczynił.

- Ojciec powiedział mi, że sir Edward cię... dotykał.

- Dotykał? Skromnie powiedziane. Obmacywał

mnie jak połec mięsa zawieszony na haku. - Patrzyła na niego niechętnie, ale nie dziwił się takiej reakcji na tę niespodziewaną wizytę. - I co, przyszedłeś przeprosić?

- Nie, nie po to tu jestem. - Trystan odetchnął głęboko, spuścił wzrok i zaczął się bawić klamrą u pasa. Nie potrafił wytrzymać spojrzenia tych brązowych oczu.

Musi wziąć się w garść.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że lady Rosamunde przyjęła moje oświadczenia. Potrzebna nam jeszcze zgoda jej ojca, ale nie sądzę, żeby odmówił.

- Jak to miło z twojej strony, że mi to mówisz - zauważyła zgryźliwie.

- Nie chciałem, żebyś się dowiedziała od kogoś innego - przyznał. - Pomyślałem... pomyślałem sobie, że jestem ci to winien.

Coś zamigotało w jej oczach, jakby gasnąca iskra.

- Dziękuję.

Ośmielony łagodniejszym tonem, jakim to powiedziała, postąpił jeszcze jeden krok w jej stronę.

- Zrozum, Mair, co znaczy dla mnie to małżeństwo.

- Chyba jestem ograniczona, bo myślałam, że chcesz się żenić z miłości. A tu widzę, że kierują tobą również inne powody. Może próżność?

Puszczając mimo uszu cierpkie uwagi, podszedł jeszcze bliżej. Najważniejsze to powiedzieć to, co so-

bie przygotował. Nie wiedział czemu, ale pragnął, by go zrozumiała.

- Dążę do czegoś, czego nawet mój ojciec, przy wszystkich swoich wpływach i władzy, nie może mi zapewnić - wyznał. - Chcę być sławny nie tylko tutaj, na pograniczu Walii i Anglii, jak mój ojciec, brat i kuzyn. Pragnę się pokazać na dworze, w Londynie. Chcę, by sam król mnie zauważył. Muszę pojąć za żonę Normanke, kobietę ze szlacheckiego rodu, żeby to osiągnąć.

Jeśli wydawało mu się, że prócz pogardy dostrzegł w jej oczach jeszcze coś innego, to był w Wędzie.

- No proszę-powiedziała z ironią-jak to się dobrze składa, że lady Rosamunde łączy w sobie oba te walory. Cieszę się, że trafiła ci się taka gratka.

- Ale rozumiesz, Mair - nie dawał za wygraną-dlaczego muszę do czegoś w życiu dojść? Potrafisz postawić się w mojej sytuacji? Jestem wszak na szarym końcu okrytej sławą linii.

- Przynajmniej masz jakąś linię, na której końcu możesz być - zauważyła. - Wyobrażam sobie, że niełatwo być DeLanyea.

Nie zwrócił większej uwagi na to, co mówiła, bo przepełnił go radością cień współczucia w jej głosie.

Pojęła zatem, dlaczego musi poślubić lady Rosamunde.

- Przemyslałem sobie coś jeszcze - podjął cicho, wpatrując się w nią i podchodząc jeszcze bliżej. -

Mair, źle postąpiłem, zapowiadając, że nie uznaję żadnego dziecka, nawet gdyby okazało się moje. Byłoby to zachowanie niegodne szlachcica i tchórzliwe. Jeśli więc za parę miesięcy...

- Och, Trystanie! - westchnęła i odwróciła się.

- Jeśli za parę miesięcy powijesz dziecko i ono będzie do mnie podobne...

Urwał w pół zdania, widząc, że plecy Mair drżą, jakby cicho płakała. Wziął ją za ramiona i odwrócił do siebie.

Otarła rękawem moką od łez twarz.

- Przepraszam, Mair - szepnął, patrząc z góry na jej zwieszoną głowę. - Nie chciałem cię zdenerwować. Myślałem, że się ucieszysz, kiedy ci powiem, że zmieniłem zdanie.

Popatrzyła na niego zażawionymi oczami.

- Och, Trystanie - powtórzyła, tym razem mocniejszym już głosem. - Czyś ty ślepy, czy głupi, czy jedno i drugie?

Zamurowało go.

- Nie dociera do ciebie, że tym nie musisz się kłopotać? - spytała, odsuwając się od niego zdecydowanie. - Czyż uszło twej uwagi, że po Arthurze nie urodziłam już żadnego dziecka, choć nie żyłam w celibacie?

Ogłuszyły go te słowa, zachwiał się jak smagnięty biczem.

- O Boże, Mair, nigdy bym nie pomyślał...

- A czy ty kiedy myślałeś? - zapytała. - Czy inte-

resowało cię cokolwiek poza własnymi potrzebami i pragnieniami?

- Naturalnie!

- Skoro tak uważasz.

- Przyznaję, nie zastanawiałem się aż do dzisiaj, dlaczego nie rodzisz więcej dzieci - ale chyba nie można mnie za to winić?

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, że jeśli ktoś nie obnosi się ze swoimi troskami, to nie znaczy wcale, że ich nie ma?

- Wybacz, Mair, ale nie jestem jasnowidzem.

- I dzięki Bogu. Jedna taka na wioskę wystarczy.

- Nie chcę rozmawiać o Angharadzie.

- Ja też nie. - Jej wzburzenie stopniało nagle jak śnieg w słońcu. - Nie żywię do ciebie żalu, Trystanie, że nie zastanawiałeś się, czy mogę mieć jeszcze dzieci. Nie mam też do ciebie pretensji, że dążysz do celu, który w twoim mniemaniu cię uszczęśliwi. Wybacz mi. Jestem... zmęczona.

Spojrzał z niepokojem na jej pobladłą twarz o podkrążonych oczach.

- Chyba nie jesteś chora?

Roześmiała się cicho i ten melodyjny śmiech nigdy jeszcze nie zabrzmiał mu w uszach tak miło.

- Nie, chora nie. Tylko skonana, zapewniam cię.

- Dygnęła przed nim kpiąco. - Dzięki za troskę, jaką okazałeś. Zmęczyło mnie pojenie twojego przyszłego teścia *braggotem*. Wyżłopał mi niemal cały zapas.

Trystan uśmiechnął się z ulgą.

- Nie da się ukryć, że mój ojciec dzielnie dotrzymał mu pola.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Przez cały ten czas, jaki tu spędzili, wysączył tylko dwie szklance.

- I tym się tak spał? Dobry Boże, może jest chory?

- Kiedy stąd odchodzili, był zupełnie trzeźwy. Zresztą, jak inaczej dotaszczyłby sir Edwarda do zamku?

- Przecież śpiewał, a przynajmniej próbował, i zataczał się w sali jak ostatni opój... to wcale nie jest śmieszne, Mair.

Na widok jego ściągniętej gniewem twarzy omal nie parsknęła śmiechem.

- Szkoda, że nie możesz zobaczyć swojej miny!

Twarz Trystana pozostała ponura.

- Nie widzę niczego zabawnego w tym, że mój ojciec udaje w sztok pijanego. Nie rozumiem też, po co to robił.

- Och, rusz głową, Trystanie! To oczywiste, że chciał oszczędzić sir Edwardowi wstydu. Nikt nie powie na niego złego słowa, jeśli wszyscy będą myśleli, że baron też był pijany.

- Aha.

- Aha - przedrzeźniała go. - Widzisz teraz, jakiego masz ojca.

Trystan chciał się uśmiechnąć.

- I wiedz jeszcze, że za cały ten braggot twój oj-

ciec mi zapłacił, za co sir Edward powinien mu być bardzo wdzięczny. Nigdy nie widziałam mężczyzny, który by tak chłał. Bez żadnej finezji.

- Bez finezji i taktu. Przepraszam cię za jego zachowanie.

- Ja i twój ojciec mieliśmy z niego setną zabawę, a więc rachunki wyrównane. Jeśli jeszcze raz mnie tknie, to mu przyłożę.

Trystan spowaźniał.

- Nie, byłaby to zbyt surowa kara, Mair. Ciężką masz rękę.

- O, doprawdy? - spytała. - To może skarcę go tylko takim klapsem.

Podeszła do Trystana i zamierzyła się jak do uderzenia. Chwycił ją za nadgarstek i spojrzał w brzo-
we oczy, w których malowało się nieme pytanie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Och, Mair - szepnął Trystan - dlaczego nchodzi mnie to uczucie, ilekroć jesteś blisko?

Mair przeszedł dreszcz, kiedy Trystan ścisnął ją lekko za ramiona.

- Jakie uczucie? - wyszeptała, wodząc wzrokiem po jego twarzy.

- Że umrę, jeśli cię nie pocałuję.

- Nie chcę... nie chcę, żebyś umierał - powiedziała cicho. - To już lepiej mnie pocałuj.

Oczy mu zabłyśły i z cichym westchnieniem pocałował Mair.

I to jak pocałował! Jak tonący, który walczy o oddech. Jak chory pragnący powrócić do zdrowia. Jak ślepiec, który chciałby przejrzeć na oczy, albo jak głuchy, który chce wreszcie usłyszeć swoje imię z ust ukochanej.

Nie tylko jego ogarnęła ta płomienna żądza. Mair zdawała sobie sprawę, że jest może z nim już po raz ostatni. Poślubi tę Normanke, wkrótce potem ojciec nada mu jakieś ziemie i tyle go będzie widziała.

Trafi do łóża innej kobiety, w jej ramiona.

Zniknie z jej życia.

Wpiła się wargami w jego usta, zapamiętując ich smak, zapach jego skóry, siłę obejmujących ją ramion. Wtapiali się jedno w drugie - pierś w pierś, biodra w biodra.

Mair dygotała na całym ciele z pożądania płonącego jasno jak błyskawica rozświetlająca nocne niebo.

Jakże go pragnęła! Jeśli nie mogła go mieć na zawsze, to niech będzie choć ten ostatni raz.

Trystan, pieszcząc ją coraz żarliwiej, czuł, jak omdlewa mu w ramionach. Och, jakże jej pożądał! Była ogniem i światłem, oddawała mu się cała, bez reszty. Z pasją prawdziwie namiętnej kobiety.

A przecież wkrótce musi poślubić inną. Wkrótce, ale jeszcze nie teraz. Teraz trzyma w ramionach Mair.

Obsypał pocałunkami jej policzki i szyję, a kiedy wygięła się w łuk, wyłuskał spod dekolту sukni piersi i przywarł do nich ustami i językiem.

Jakaż była doskonała! Niczym boginka. Nie chłodna niedotykalna, lecz ciepła i żywa, ucieleśnienie kobiecości.

- Weź mnie, Trystanie - wyszeptała zdyszana. Błagam. Kochaj mnie ten ostatni raz.

Wiedział, że nie powinien. Poprosił już o rękę inną. Z własnej, nieprzymuszonej woli.

Jednak był tylko zwykłym śmiertelnikiem i nie potrafił odmówić jej prośbie, zresztą każdą cząsteczką swojego ciała chciał się z nią kochać.

Wziął ją na ręce i przeniósł na łożo.

- Trystanie - westchnęła.

Klęknął między jej rozrzuconymi nogami, pochylił się i wspierając na łokciach, spojrzał na nią z bliska. Twarz miała zarumienioną z podniecenia, rozsypane po poduszce włosy przywodziły na myśl aureolę.

A w jej oczach... w jej oczach było wszystko, co mężczyzna pragnie ujrzeć w oczach kochanki.

- Weź mnie, Trystanie - powtórzyła, sunąc dłońmi po jego ramionach, gładząc barki i tors. - Kochaj mnie tak, bym nigdy tego nie zapomniała. Kochaj tak, żebym mogła ogrzewać się tym wspomnieniem, kiedy poczuję się samotna...

- Nigdy cię nie zapomnę, Mair. Choćby nie wiem co się wydarzyło i gdyby los rzucił mnie w najodleglejsze strony, w moim sercu będziesz miała zawsze specjalne miejsce.

Wmawiając sobie, że to jej wystarczy, zarzuciła mu ręce na szyję, ściągnęła w dół głowę i pocałowała żarliwie.

Dotyk jego warg znowu rozniecił w niej płomień.

W nim też.

Zapomnieli o bożym świecie. Niecierpliwe dłonie dzierały odzienie, pieściły, ścisnęły, gładziły. Zetknęły się nagie ciała, a mrok wypełniły ich westchnienia i jęki.

Wszedł w nią i zespoleni w jedno zaczęli falować w zapamiętaniu zgodnym rytmem, by po bliżej nie-

określonym czasie wydać równocześnie okrzyk spełnienia.

Trystan osunął się z cichym westchnieniem na Mair i złożył głowę na jej śliskich od potu piersiach. Oddychał coraz spokojniej i zdawało się, że zaraz zaśnie zaspokojony.

Mair odwróciła głowę, by nie zobaczyć jej łez.

Po drugiej stronie wioski Angharada jak pchnięta sprężyną usiadła na posłaniu. Szeroko rozwartymi oczyma wpatrywała się w wizję, która spływała nie wiadomo skąd.

Po chwili jej usta rozciągnęły się w uśmiechu.

Różowa jutrenka świtu barwiła już niebo na wschodzie, kiedy Trystan się obudził. Naga Mair spała obok, wtulona w niego miękkim, ciepłym ciałem. Zastaniała sobie oczy przedramieniem, jej gęste, falujące włosy łaskotały go w bark.

Przekręcił się na wznak i wpatrzył w powagę.

Co też najlepszego uczynił? Jak mógł być taki głupi i ślepy?

Jak mógł pozostać głuchy na głos własnego serca?

Wmówić sobie, że kocha Rosamunde... utwierdzić się w przekonaniu, że Mair nawet nie lubi...

Jednak nie ma już odwrotu. Poprosił lady Rosamunde o rękę i jego oświadczyzny zostały przyjęte. Wycofując się teraz, postąpiłby niegodnie i upokorzył

Normankę. Nie zasłużyła na takie traktowanie. Nic złego nie zrobiła.

Westchnął i wstał, uważając, by nie obudzić Mair. Niech korzysta dalej z dobrodziejstwa snu.

Spojrzał na nią w różowym świetle brzasku wsączającym się przez małe okienko. Była piękna, od stóp do głów cudowna, jedyna w swoim rodzaju. Zawsze mu się podobała, ale dopiero teraz dostrzegął doskonałość jej rysów i kształtów. Gładkość skóry. Wykrój oczu. Prosty nos upstrzony tymi zachwycającymi piegami.

Odwrócił się i odział szybko. Za długo już tu zabawiał.

Teraz trzeba się zastanowić, którądy wrócić do Craig Fawr, jaką trasę obrać, żeby nikt nie zauważył, jak wkrada się do zamku niczym złodziej.

Dojdzie brzegiem rzeki do końca wioski i dopiero tam, za chatą Angharady, skęci w kierunku murów. Tak zrobi. Gdyby kogoś napotkał, powie, że... że...

Będzie się modlił, żeby nikogo nie spotkać.

Gotów do wyjścia, spojrzał jeszcze raz na śpiącą wciąż Mair. Korciło go, żeby ją pocałować na pożegnanie, ale się nie odważył.

Gdyby uległ tej pokusie, zostałby pewnie, a przecież nie mógł.

Lady Rosamunde pochyliła się nad ojcem jeszcze niżej. Mówiła do niego cicho, wprost do ucha, choć

byli w komnacie sami, bo służkę odprawiła. Ale kto by jej zaręczył, że ta nie podsłuchuje pod drzwiami. Tak, służbie nie można ufać.

- Ty opoju zatracony! Ty zapluty piwożłopie! Wiem, że nie śpisz, przestań więc udawać. Obyś zdechł!

Ojciec jęknął i osłonił oczy grzbietem dłoni. Włosy miał mokre od potu i skołtunione, jego nieświeży oddech przesycony przetrawionym piwem przyprawiał ją o mdłości.

- Łeb mi pęka. Jakby zgraja demonów dźgała go dzidami.

- Nie tylko głowa ci pęknie, jak wezmę cię w obroty - zagroziła cicho córka.

- Chory jestem.

- Jak każdy ochlapus po wczorajszym. - Chwytiła go za rękę i odrzuciła ją w bok. Zmrużył podkrążone oczy przed zalewem słonecznego światła. - Jak mogłeś mi to zrobić?

Obrócił głowę, żeby uniknąć rażącego blasku.

- To nie ciebie głowa boli.

- Nie. Ale to ja muszę wydać się za męża, bo inaczej przyjdzie nam żebrać pod kościołem. A na jaką pomoc z twojej strony mogę liczyć? Na żadną!

- Rosamunde, to przez tę kobietę - znowu jęknął. - Dolewała mi i dolewała.

- Jaka kobietę?

- Tę piwowarkę. Mer, Martin czy jakoś tam.

- Mair - poprawiła go niecierpliwie. Dobrze pamiętała kobietę, która urodziła syna młodemu baronowi.

- O, właśnie, Mair. Zuchwała dziewczka.

- Pewnie odrzuciła twoje umizgi.

Był to tylko domysł, ale milczenie ojca utwierdziło w nim Rosamunde.

Sumy, jakie przez lata wypłaciła matka szlochającym kobietom i rozwścieczonym ojcom oraz mężom, mówiły same za siebie.

Pochyliła się nad nim znowu.

- Ty dumny wyleniały capie. I co baron na twoje obleśne zapędy?

- Nic takiego się nie stało. - Ojciec otworzył przekrwione niebieskie oczy i posłał jej spojrzenie niewinnej ofiary. - Zaprzyjaźniliśmy się. Poszedłem z nim z myślą o tobie, Rosamunde, żeby wywiedzieć się, jak się zapatruje na to małżeństwo.

Uniosła sceptycznie brwi.

- I w tym celu musiałeś schlać się jak wieprz? No i co powiedział? Przychyła się?

- No... eee... tak!

- Łżesz. Wcale z nim o tym nie rozmawiałeś.

- Rosamunde!

- Widzę po twoich oczach, że kłamiesz, ojczy, daj więc sobie, proszę. - Usiadła z ciężkim westchnieniem na łóżku i zapatrzyła się w kamienną ścianę. - Mam nadzieję, że jest tak, jak mówisz. Że nic takiego się nie stało.

- Myślę, że...

Wstała gwałtownie.

- Nie obchodzi mnie, co ty myślisz. Dla mnie ważne jest, co o małżeństwie Trystana i moim sądzi baron, jego żona i ich syn. Leż tu i dochodź do siebie. Ja spróbuję naprawić, co się da.

- Przyślij mi tu jakiegoś sługę, dobrze? Muszę...

Rosamunde trzasnęła drzwiami, siłą rzeczy nie usłyszała zatem, co ojciec musi, zresztą mało ją to obchodziło. Rozejrzała się bacznie, czy nikt nie patrzy, i zamknęła drzwi na skobel.

Pogratulowała sobie ostrożności, kiedy u stóp schodów natknęła się na wścibską służkę.

- Mój ojciec będzie spał do wieczora i nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzano. Sama zajrzę do niego później i gdyby czegoś mu było trzeba, pošlę po ciebie.

Dziewczyna kiwnęła głową, ale Rosamunde odniosła wrażenie, że nie zna za dobrze francuskiego. Nieważne. Byle tylko zrozumiała, że sir Edward chce być sam.

Skierowała się w stronę kaplicy. Ojcu dobrze zrobi, jeśli pocierpi do wieczora z głodu i pragnienia. Może to nauczy go umiaru.

Uśmiechnęła się na widok Trystana idącego jej na przeciw przez dziedziniec.

Pięknie wyglądał tego ranka. Taki wysoki, silny i młody! Choć w zgrzebnej ciemnej tunice i zwyczaj-

nych rajtuzach, prezentował się jak szlachcic z dworu. Nawet lepiej, bo nie biła od niego arogancja, którą przesiąka na dworze królewskim większość mężczyzn mogących się z nim równać prezencją.

Spróbowała wyczytać z jego twarzy, co myśli o wczorajszych wyczynach ojca.

Była dzisiaj jakaś... inna. Poważna, nieprzystępna. Zły znak.

Kiedy się zbliżył, przyoblekła twarz w zbolą minę.

- Przepraszam za zachowanie mojego ojca wczoraj wieczorem - zaczęła nieśmiało.

- A ja przepraszam za zachowanie mojego - odparł, składając jej ukłon. - Może porozmawiamy o tym po mszy?

- Skoro sobie tego życzysz, panie.

- Myślę, że powinniśmy.

Podał jej ramię. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, kiedy je przyjmowała. Gdzież się podział tamten nadskakujący jej zalotnik?

Czyżby opilstwo ojca aż tak zmieniło nastawienie Trystana do małżeństwa? Jeśli tak, dopisze jeszcze jedną do listy wszystkich jego przewin, i zapłaci jej za to. Bóg świadkiem, że słono zapłaci!

Nie słuchała odprawiającego mszę księdza. Całą uwagę skupiła na Trystanie, który stał obok. Sprawiał wrażenie nieobecnego myślami, był jakiś daleki, sztywny. Dopiero teraz zauważyła, jak podobny jest

do swego ojca. Brak mu było tylko tej spontanicznej, niewymuszonej wylewności barona. Minę miał ponurą i w ogóle wyglądał tak, jakby przez tę jedną noc coś go postarzyło.

Naraz ścisnęło ją w dołku i pociemniało w oczach. A jeśli on już jej nie chce? Co wtedy pocznie? Przecież musi wyjść za mąż. Tyle czekała na mężczyznę z pieniędzmi i pozycją, mężczyznę, który nie wnikałby za bardzo w sytuację materialną jej rodziny, mężczyznę, który nie budziłby w niej wstępu na samą myśl o intymnych pieszczotach.

Znalazła wreszcie takiego i podbiła jego serce. Jeśli teraz Trystan nosi się z zamiarem zerwania zaręczyn... właśnie, zaręczyny. Poprosił ją wszak o rękę i ona się zgodziła. Człowiek honoru powinien się czuć związany taką umową, a słyszała, że ród DeLanyea bardzo sobie ceni honor. Odetchnęła, trochę uspokojona.

Faktem jednak jest, że oficjalnych zaręczyn jeszcze nie było. Jeśli Trystan się rozmyślił... Tak, lepiej na zimne dmuchać. Ojciec musi jak najszybciej wyrazić zgodę na warunki małżeństwa. Jeszcze dzisiaj. Dopiero wtedy będzie spokojna.

Po mszy Trystan znowu podał jej ramię i udali się do wielkiej sali.

- Mój ojciec nie czuł się dziś rano najlepiej - powiedziała, kiedy zasiedli za stołem - ale wkrótce wydobrzeje. Twojego ojca też nie widziałam na mszy.

Trystan pokiwał głową.

- Bo go tam nie było. Matki zresztą też. Pewnie musiała przy nim zostać. Rzadko mu się zdarza przebrać miarę.

Rosamunde spuściła skromnie głowę i gorączkowo szukała słów. Nie mogła przecież powiedzieć tego samego o swoim ojcu, bo wszyscy w Craig Fawr widzieli na własne oczy, jak łaknie piwa.

- Przykro mi, że mój ojciec tak nieodpowiedzialnie się zachował - powiedział Trystan cicho i ze skruchą. - Jestem pewien, że wykazałby się większym rozsądkiem, gdyby wiedział, jak bardzo to przeżyjesz, pani.

Serce zabiło jej żywiej. Zorientowała się już, jak rozegrać tę partię. Sięgnęła po serwetkę i osuszyła sobie kąciki suchych oczu. Mężczyzna taki jak Trystan DeLanyea będzie chciał chronić swoją panią. Dobrze się będzie czuł w roli tego, który wyzwala ją spod tyranii ojca.

I nie byłaby to rola tak bardzo odbiegająca od rzeczywistości.

Ale nie czas przejmować się ojcem. Pora zadbać o własne sprawy.

- On potrafi być bestią - wyznała afektowanym szeptem. - Och, Try stanie, chyba zbyt jestem roztrzęsiona, by wystawiać się na spojrzenia ludzi. Czy moglibyśmy stąd wyjść? Porozmawiać gdzieś na osobności?

Trystan kiwnął głową, wstał bez słowa i wyciągnął do niej rękę. Kiedy prowadził ją ku schodom, rozejrzała się ukradkiem po sali. Gości w Craig Fawr pozostało już niewiele. Nie znała ich za dobrze. Byli to przeważnie Walińczycy z domieszką normañskiej krwi albo Normanowie z domieszką krwi walijskiej, jak DeLanyea. Plotki, jeśli się takie zrodzą, nie rozprzestrzenia się daleko, a już na pewno nie dotrą do Londynu.

Trystan wprowadził ją do komnaty na wieży i wskazał krzesło. Kiedy usiadła, powiedział:

- Pani, nie turbuj się zachowaniem ojca. To ja powinienem się wstydić za swojego, że zaciągnął sir Edwarda do tej piwowarki.

Wstała i przyłożyła długi, biały palec do jego zmysłowych warg.

- Nie żywię urazy do barona - odrzekła. - Skąd miał wiedzieć, że mój ojciec, znalazłszy się w takim miejscu, straci głowę. Żałuję bardzo, że pozwoliłam mu tam pójść.

Trystan cofnął się spłoniony i ta reakcja na jej dotyk sprawiła jej satysfakcję.

- Ojciec zrobił to dla mnie - wyjaśnił.

- Dla ciebie? - Między jej łagodnie wygiętymi brwiami pojawiła się pionowa bruzda.

- Chciałem być z tobą sam, pani.

Jej gładkie, nieskazitelne lico złagodniało.

- Żeby poprosić mnie o rękę?

- Tak - przytaknął i zaraz dodał: - Jeśli chcesz cofnąć swoją zgodę, pani, to zrozumieć.

Ukryła twarz w dłoniach i zapłakała. Już dawno przekonała się, że łzy są bardzo skuteczne, gdy chce się przeprowadzić swoją wolę, i nauczyła się nimi posługiwać. Dzisiaj też były jak znalazł.

- Już mnie nie chcesz! - zaszlochała. - Och, na co mi przyszło! Kto mi teraz pomoże?

Trystan padł przed nią na kolana.

- Pani!

- Taka byłam szczęśliwa, że znalazłam w końcu kogoś, przy kim będę bezpieczna! Myślałam, że mnie kochasz i zabierzesz od tego brutala. Że uwolnię się wreszcie od strachu.

- Czemu lękasz się swego ojca, pani?

- Bije mnie, kiedy jest pijany.

Ramiona drżały jej konwulsyjnie, wciąż kryła twarz w dłoniach.

W rzeczywistości sir Edward po pijanemu był bezradny jak dziecko, ale Trystan tego nie wiedział, bo i skąd.

Podniósł się powoli z klęczek. Nie poznała jego głosu, kiedy się odezwał, taki był zimny:

- Uderzył cię wczorajszego wieczora?

- Tak - przyznała, ocierając łzy rąbkiem rękawa.

- Całe ramiona mam w sińcach.

Naturalnie kłamała, ale przecież nie każe jej pokazywać tych sińców.

Trystan spojrział z góry na jej spuszczone głowę i usłyszał z trudem powstrzymywany szloch.

Poprosił tę kobietę o rękę i ona zgodziła się zostać jego żoną. Chce czy nie, jako człowiek honoru jest teraz tą zgodą związany. Dowiedział się, jak podle jest traktowana przez ojca, tym bardziej więc nie może opuścić jej w biedzie.

- Od dziś nikt nie tknie cię palcem, pani. Nie pozwolę na to ani jemu, ani żadnemu innemu mężczyźnie.

Była to nie tylko obietnica, ale i przyrzeczenie, że będzie się lady Rosamunde opiekował. Jeśli nawet koiarzyło mu się nie tyle ze ślubem, ile z wyrokiem śmierci, to tylko siebie mógł winić, że kierowany ambicją i dążeniem do zawarcia korzystnego małżeństwa, zlekceważył głos serca.

- Och, Trystanie! - Rosamunde wstała i prawie spontanicznie zarzuciła mu ramiona na szyję. - Tak ci dziękuję!

Nie objął jej w odpowiedzi. Nie potrafił się przemóc.

- Twoja rycerskość sprawia, że kocham cię jeszcze bardziej. Ojciec po południu lepiej się poczuje i będziesz mógł z nim porozmawiać o naszym małżeństwie. - Przekrzywiła głowę i się uśmiechnęła. Nie działał już na niego ten uśmiech. - A teraz odrzuć wstyd i zażądam od mojego przyszłego męża pocałunku.

Spełnił posłusznie jej żądanie.

- Zjrzę do ojca. Nie mogę się już doczekać, kiedy zawrzemy kontrakt małżeński. Do zobaczenia, Trystnie - powiedziała, uśmiechając się znowu na pożgnanie. - Zawiadomię cię, kiedy już będzie można porozmawiać z ojcem.

- Do zobaczenia - mruknął i lady Rosamunde opuściła komnatę.

Przysiadł na stole i w zadumie przeczesał palcami włosy.

Wpadł we własne sidła. Oświadczył się Rosamunde w dobrej wierze, a ona te oświadczyzny przyjęła. Choć sir Edward nie wyraził jeszcze zgody, to i tak zrywając je teraz, postąpiłby niehonorowo.

To nie wina Rosamunde, że nie wsłuchał się pilniej w głos swego serca. Ostatniej nocy, patrząc z góry na znajomą twarz Mair, uzmysłowił sobie, że przy niej jest jego miejsce, a jej miejsce przy nim.

Wcześniej kierował się, musiał to ze skrucą przyznać, fałszywą ambicją zawarcia małżeństwa, które wyniesie go ponad brata i kuzyna. Nie brał pod uwagę, że ten związek może go unieszczęśliwić. Zresztą nie tylko jego. Czy niekochana żona będzie się dobrze czuła?

Ale co z dziećmi? Zawsze pragnął zostać ojcem. Mair dzieci mieć już nie może.

Łącząc się nierozzerwalnym węzłem małżeństwa z Rosamunde, musi pocieszać się nadzieją, że ona jest przynajmniej płodna.

A gdyby okazało się, że nie, będzie to kara za jego zaślepienie w dążeniu do przebicia sławą brata, kuzyna i ojca.

Siedząc tego popołudnia na podwyższeniu ze wspartą na stołeczku bolącą nogą i drapiąc za uchem Motta, baron DeLanyea udał zaskoczenie i radość na widok wkraczających do sali sir Edwarda, lady Rosamunde i Trystana.

Sir Edward wyglądał dokładnie tak, jak wyglądać powinien człowiek, który przeholował z *braggotem*. Jego córka, choć policzki miała lekko zaróżowione, była tak samo bezbarwna i pozbawiona ikry jak zawsze.

Dopiero widok zdecydowanie posępnej miny Trystana przydał powitalnemu uśmiechowi barona autentyczności. Czyżby sir Edward nie udzielił młodej parze zgody na ślub? Baron powiedział sobie w duchu, że gdyby tak w istocie było, to naprawdę upije się ze szczęścia.

Kiedy jednak wargi sir Edwarda wygięły się w coś, co miało chyba symbolizować jowialny uśmiech, baronowi DeLanyea ścisnęło się serce.

- Dzień dobry, sir Edwardzie, lady Rosamunde - powitał gości, siląc się na przyjazny ton.

- Będzie dobry, jeśli pójdziesz za moim przykładem i udzielisz swojemu synowi zgody na poślubienie mojej córki. Kiedy to zrobisz, przejdzie-

my do omawiania warunków - odparł wesoło Norman.

Co tu się, u diabła, dzieje? Wszak Trystan, po tym co dotąd wygadywał, powinien być teraz najszczęśliwszym człowiekiem w Walii. A on minę ma jak skazaniec prowadzony na ścięcie.

Sir Edward przyglądał się mu wyczekująco.

- No tak, rzeczywiście! - zawołał z udawanym ożywieniem baron. - Nie powiem, żem zaskoczony. Któryż z młodych szlachciców nie chciałby pojąć za żonę twojej pięknej i wdzięcznej córki? Może przejdziemy do mojej komnaty omówić to szczęśliwe wydarzenie?

- Chodźmy - podchwycił skwapliwie sir Edward.

Baron spojrzał na zasepionego syna.

- Idziesz z nami?

- Tak.

Baron uśmiechnął się teraz do lady Rosamunde przypominającej mu niepokojąco kotkę, która przed chwilą połknęła mysz.

- Ciebie, lady Rosamunde, nudzą pewnie finansowe aspekty małżeństwa. Poślę Gwen po moją żonę. Omówicie szczegóły weselnej uczyty i ustalicie, gdzie odbędzie się ślub.

- Och, tak bym chciała wziąć go tutaj, w gnieździe rodzinnym Trystana - powiedziała szybko lady Rosamunde. - Zresztą obawiam się, że kaplica w naszym zamku byłaby za mała.

Baron, który z niejednym kupcem już negocjował, nie miał większych wątpliwości, co naprawdę oznacza ta deklaracja.

Albo ona, albo jej ojciec, albo oboje nie chcieli ponosić kosztów wesela.

Boże wszechmogący, co też go podkusiło, żeby zapraszać sir Edwarda z córką do Craig Fawr! Gdyby tak dało się cofnąć czas...

- Z miłą chęcią wyprawimy wesele tutaj - powiedział, kłaniając się dwornie. - Moja żona będzie wniebowzięta.

To przynajmniej jest prawdą, dodał w duchu.

- I na pewno wysłucha pilnie wszystkiego, co masz na ten temat do powiedzenia, moja droga - podjął. - A teraz wybacz, ale my, mężczyźni, musimy się zająć praktyczną stroną mariażu.

Baron znał się na ludziach i bez trudu się zorientował, że lady Rosamunde nie była zachwycona wyznaczoną jej rolą.

Po prawdzie, nic go to nie obchodziło. Musiał ustalić, co znaczy dziwny nastrój syna, a ten w obecności swojej przyszłej żony nie puści przecież pary z gęby.

- Gwen! - zawołał do służki, która weszła do sali z naręczem mat na posadzkę - zaprowadź lady Rosamunde do mojej żony. Jest w piwnicy, sprawdza jakość mąki. Potem przynieś trzy szklanice i dzban wina do mojej komnaty.

Z tymi słowy baron ruszył przodem ku schodom

prowadzącym na wieżę. Miał nadzieję, że uda mu się wyciągnąć z syna wyjaśnienie, dlaczego, miał cieszyć się, że osiągnął, co chciał, ma zaspioną twarz.

Coś mu jednak mówiło, że płonna to nadzieja.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nazajutrz lady Rosamunde spacerowała z uśmiechem na ustach po różanym ogrodzie Craig Fawr. Kwiatów uchowało się niewiele, a i te ściał przymrozek. Suche, nagie gałazki drapały kamienne mury, ziemia pod stopami była twarda.

Nad blankami, zza szarych, zwiastujących deszcz chmur, prześwitywało blade słońce. Było chłodno, ale w osłoniętym ze wszystkich stron ogrodzie tak się tego nie odczuwało. Świergot ptaków wzbijał się wysoko, dźwięczną nutą ponad codzienne odgłosy zamkowej krzątaniny.

Ale lady Rosamunde, rozpamiętująca z euforią pomyslną realizację swojego planu, nie zwracała większej uwagi na otoczenie.

Wczoraj baron zgodził się wypłacić za nią walijskim zwyczajem blisko czterysta sztuk złota.

Ponadto, lwia część owej fortuny miała trafić do niej, nie do ojca, bo tak się umówili, kiedy przedstawiła mu swój plan. Jej wiano stanowił mały spłacheć ziemi pod Londynem oraz przedmioty gospodarstwa

domowego i pościel po matce. Ojca nic to nie kosztowało. Co do ziemi, to było jej co kot napłakał i to nic niewartej, o czym narzeczony wkrótce się przekona. Ona uda, naturalnie, że nic o tym nie wiedziała, i całą winę za oszustwo zrzuci na ojca, którego po ślubie miała już nadzieję nigdy nie oglądać.

Bo i po co? Owinęła się szczelniej peleryną podbitą futrem. Czyż prócz poprowadzenia tych negocjacji zrobił coś dla niej kiedy?

Relacjonując jej później przebieg negocjacji, nie krył zdziwienia, że poszły tak gładko. Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy wyraziła przypuszczenie, że może dla barona szczęście syna jest ważniejsze od wytargowania najkorzystniejszej ceny.

Uśmiech zniknął jej z twarzy na wspomnienie jego miny, kiedy to powiedziała. Był, łagodnie mówiąc, tłumiony.

Ale pal licha ojca i wszystko, co się z nim wiąże. Najważniejsze, że intercyza już sporządzona i podpisana. Dopięła swego.

- Pani?

Drgnęła na dźwięk tego nieznanego, głębokiego męskiego głosu i się odwróciła. W wejściu do ogrodu stał dowódca zamkowej straży. Hełm i rękawice ściakał w wielkich jak bochny dłoniach, którymi ani chybi, gdyby tylko chciał, mógłby ją przełamać jak gałązkę. Wyglądał jak barbarzyńca z tymi długimi, opadającymi na ramiona włosami, które rozwiewał

słaby wietrzyk, a aury dzikości przydawała mu jeszcze chmurna mina.

Serce zabiło jej szybciej, kiedy ruszył ku niej, przy każdym kroku pobrzękując cicho kolczugą.

Zadarła wyniośle brodę i przeszedł ją przyjemny dreszczyk, kiedy zauważyła, że to potężne chłopisko czuje przed nią respekt.

- Ktoś ty i czego chcesz?

- Jam Ivor, pani, dowódca straży w Craig Fawr - powiedział z walijskim akcentem, silniejszym niż u Trystana. Głos też miał grubszy, bardziej szorstki, a mimo to dziwnie miły dla ucha.

Zauważyła, że zuchwale, choć ukradkiem, taksuje ją wzrokiem i rozeszła się po niej podniecająca fala ciepła. Nie zaznała jeszcze takiego uczucia.

- No więc, Ivorze, czego chcesz? - spytała, odprężając się trochę.

- Pomyślałem sobie, że powinnaś dowiedzieć się czegoś o Trystanie, pani.

- O sir Trystanie.

Kiwnął głową.

- Niech będzie, że o sir Trystanie. O mężczyźnie, za którego masz wyjść.

- Tak, mam, i nie interesują mnie plotki.

- Nie powiedziałem jeszcze nikomu, co widziałem.

Ton jego głosu sprawił, że ścisnęło ją lekko w dołki

- Chodź. - Poprowadziła go w sam koniec ogro-

du, jak najdalej od wejścia, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć ani podsłuchać.

Zobaczyć ani podsłuchać... powtórzyła w myślach i zadrżała.

Tam odwróciła się do żołnierza, ogarniając wzrokiem jego szerokie bary i zdecydowaną, silnie zarysowaną linię szczęki.

- No, dowódco straży w Craig Fawr, coś widział?

- Sir Trystana wymykającego się z domu kobiety z wioski.

Uniosła brew.

- Nad ranem - dorzucił. - O brzasku.

- Kiedy to było?

- Wczoraj.

A więc to dlatego Trystan był wczoraj taki zasępiony i nieswój.

Odwróciła się do żołnierza plecami i spróbowała zebrać myśli. Wychodziło na to, że Trystan spędził noc w wiosce. Był młody i jurny, a ona nie dała ujścia rozsadzającej go żądz. Z pewnością poszedł szukać pocieszenia u jakiejś wioskowej lada-cznicy.

Mimo wszystko był tylko mężczyzną.

- Wybacz, jeśli cię zdenerwowałem, pani - usłyszała tuż za sobą głos Ivora - ale wydało mi się, że powinnaś o tym wiedzieć.

Odwróciła się powoli, spojrzała wprost w zaniepokojone oczy. Przesunęła wzrok na usta.

- Dziękuję ci; Ivorze, za twoją troskę. Nie mów nikomu więcej, coś widział.

- Jak rozkażesz, pani.

Nie odchodził, ona też stała jak wrośnięta w ziemię. Nagle chwycił ją za rękę, poderwał do ust i pocałował.

Jego silny uścisk i delikatny pocałunek podniecił ją bardziej niż którykolwiek z dowodów adoracji, jakimi obsypywał ją Trystan. Kolana się pod nią ugięły

- Lepiej... lepiej idź już, Ivorze - szepnęła, z ociąganiem uwalniając dłoń z jego uścisku.

- Wybacz, pani - powiedział i cofnął się kilka kroków z przestachem w czarnych oczach.

Potem odwrócił się i wybiegł z ogrodu niczym człowiek umykający przed sforą złaknionych krwi psów.

Rosamunde nie ruszyła się z miejsca. Dyszała jak po wbiegnięciu na szczyt baszty strażniczej.

Mair pociągnęła łyk piwa i smakując je na języku, spojrzała przez otwarte drzwi browaru w niebo. Po kilku zimnych, dżdżystych dniach przetarło się wreszcie, słońce stało już wysoko i mocno przygrzewało. Cieszyło ją to, bo pogoda była wymarzona na podróż.

Dobiegały końca długie dwa tygodnie nieobecności Arthura, wracał dzisiaj od Dylana.

Jeszcze nigdy czternaście dni tak jej się nie dłużyło i musiała przyznać, że oficjalne ogłoszenie zaręczyn

Trystana z lady Rosamunde jeszcze bardziej spowolniło w jej odczuciu upływ czasu.

Usłyszawszy tę nowinę, rzuciła się w wir pracy i do zamku zaglądała tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. Nie chciała oglądać ani Trystana, ani jego pani.

Piwo znakomite, uznała, w sam raz na weselną ucztę rycerza. Baron zamówił już napitek na owo doniosłe wydarzenie, do którego został równo miesiąc.

Może dodać czegoś na wymioty?

Złośliwa się robię na stare lata, pomyślała z sarkastycznym uśmieszkiem. Prosiła Trystana, żeby wziął ją po raz ostatni, i uczynił to. Powiedziała mu, że chce tylko zapamiętać i będzie musiała dotrzymać słowa. Nie będzie zebrała u niego o miłość ani teraz, ani nigdy.

Światło dnia wlewające się przez otwarte na oścież drzwi przygasło. W progu stanęła kruczowłosa Angharada - wróżka czy jak kto woli jasnowidząca. Angharada o uderzająco pięknej twarzy i królewskiej postawie, która powiwszy syna młodemu baronowi, nie zaznała już żadnego mężczyzny. Takiego dokonała wyboru.

Uśmiechała się przyjaźnie.

- Witaj, Mair - powiedziała, przekraczając próg z tą królewską gracją, której Mair zawsze jej zazdrościła.

- Witaj, Angharado. Co cię do mnie sprowadza?

- Arthur dziś wraca, nieprawdaż?

- Tak, z Dylanem.

Angharada, nie czekając na zaproszenie, przysiadła na pustej baryłce.

- Dylan chce jeszcze raz zabrać Trefora do siebie, do Beaufort, zanim Trefor pójdzie do Fitzroya na naukę.

- Wiem - mruknęła Mair, zachodząc w głowę, co tak naprawdę spowodowało do niej Angharadę.

- A więc Trystan żeni się z lady Rosamunde.

- Tak. Widzę, że się myliłaś.

- To ja widzę - zauważyła Angharada z wyższością, która tak drażniła Mair.

Nawet to, że ona również urodziła Dylanowi syna, nie podniosło jej w oczach Angharady.

A czymże się od niej różniła poza tym, że powiła Dylanowi pierwotnego i zamiast z warzenia piwa utrzymywała się z przedzenia wełny? Nawet męża, podobnie jak Mair, dotąd sobie nie znalazła.

- I cóż takiego widzisz? - spytała Mair, nie starając się nawet ukryć sceptycyzmu.

Angharada uśmiechnęła się tajemniczo, poprawiając przewieszony przez szyję wełniany szal. Był granatowy, przepiękny. Nie ulegało wątpliwości, że wełniane wyroby Angharady są przedniej jakości.

- Coś, co cię podniesie na duchu.

- Aha, i chcesz, żebym uwierzyła w tę twoją naj-

świeższą wizję? A ona się ziści tak samo jak moje małżeństwo z najmłodszym synem barona?

- Wszak wiesz, że Trystan nie poślubił jeszcze tej Normanki.

- Sporządzili już i podpisali intercyzę. On się teraz nie wycofa. Chyba że ona by się rozmyśliła albo umarła.

- Jest kobieta, a kobiety się zmieniają.

- Już dawno chciałam cię zapytać, dlaczego przepowiadasz przyszłość innym, a nigdy nie mówisz, co tobie pisane?

Angharadzie zabłyśły oczy.

- Powiem ci dlaczego. Otóż ja swojej przyszłości nie widzę.

- Pozazdrościć.

- Taka jest prawda. Nigdy nie miałam wizji, która mnie by dotyczyła.

- Angharado, nie wybieram się za mąż za Trystana, a więc jeśli tylko z tym przyszłaś, to wybac, ale mam dużo pracy.

Angharada ani myślała wstać. Tajemniczy uśmiech nie schodził jej z warg.

- Następnego lata więcej będziesz jej miała.

- To wiem i bez ciebie, moje piwo coraz lepiej się sprzedaje.

- To nie ma nic wspólnego ani z twoim piwem, ani z browarem. Jak się ostatnio czujesz, Mair? Nie jesteś zmęczona? Czy piersi nie zrobiły ci się wrażliwe na dotyk? A może mdli cię rano?

- Nic mi nie dolega. Zmęczona, owszem, jestem, ale to mi nie pierwszyna, piersi mam wrażliwe, jak zawsze w tej fazie księżycy, a mdłości nie mam - wyrecytowała zgodnie z prawdą, usiłując stłumić przypływ nadziei, którą obudziło w niej pytanie Angharady.

- Widać tym razem łagodniej to przechodzisz.

- Co łagodniej przechodzę?

Angharada zaśmiała się cicho.

- Sama się domyśl.

- Oj, przestań z tymi swoimi zagadkami! Nie masz nic lepszego do roboty, jak mnie nachodzić i wprowadzać z równowagi?

- Myślałam, że ucieszysz się, zyskując pewność

- Pewność czego?

- Żeś brzemienna.

- Przeciągasz strunę, Angharado - rzekła Mair, pąsowiejąc. - Nie bądź okrutna.

- Myślałam, że moja wizja sprawi ci radość.

Mair wciągnęła powietrze w płuca. W krtani wzbierał szloch.

- Może by i sprawiła, gdyby to była prawda.

Angharada wstała i spojrzała Mair głęboko w oczy. Po jej wargach błąkał się ciepły uśmiezek.

- To prawda, Mair. Nosisz w łonie dziecko, a jego ojcem jest Trystan. To będzie silny, zdrowy syn, a kiedy dorośnie, stanie się dumą swoich rodziców.

Pod Mair ugięły się kolana. Usiadła ciężko.

- To... to nieprawda. To nie może być prawda.

A jeśli prawda? - podpowiadało głupie serce. A jeśli jej marzenie, żeby znowu tulić do piersi dzieciątko, rzeczywiście ma się spełnić?

Jeśli jest brzemienna, to ojcem może być tylko Trystan. Od ostatniej kobiecej słabości nie była z Ivorem ani razu.

Co by na to powiedziała lady Rosamunde? Nie byłaby zachwycona i pewnie zamieniłaby Trystanowi życie w piekło.

Mogłaby nawet zerwać zaręczyny i wszystkie plany Trystana ległyby w gruzach. Doznałby upokorzenia.

Był taki dumny, że mogłoby go to załamać.

I z tej dumy znienawidziłby ją za to, że zniszczyła jego wielkie nadzieje.

- Jeśli nawet noszę w sobie dziecko, to może ojcem jest ktoś inny - podsunęła.

- Nie, to jego - powiedziała stanowczo Angharada. - Widziałam.

- Co, Trystan i ja? Chyba jesteś szalona.

- Nie bardziej od ciebie. Widziałam cię z nim.

- Cóż to, chodzisz teraz po wiosce i zaglądasz ludziom w okna?

- Dobrze wiesz, co mam na myśli.

Mair wiedziała. Wiedziała też, że jeśli Angharada opowie ludziom o swojej wizji, wszyscy w Craig Fawr dadzą jej wiarę.

Wszyscy uwierzyli w przepowiednię Angharady, że Mair i Trystan, choć z pozoru nie darzyli się sym-

patią, kiedyś się pobiorą. Byli o tym tak przekonani, że długo ukrywali przed nią tę przepowiednię, żeby jej nie denerwować.

- Nie mów nikomu, Angharado - poprosiła Mair.
- Błagam. On bierze sobie za żonę tę Normanke, nie mnie, i z rozprowadania takich rzeczy nic dobrego nie wyniknie.

- Nie możesz utrzymać tego w sekrecie, Mair.
- Imię ojca mogę, i utrzymam.
- Ivor pomyśli...
- Ivor będzie wiedział, że to nie jego.
- Aha! - Angharada pokiwała głową i ściągnęła brwi. - To powiesz, że czyje to...

- Nic nie powiem. Będę się uśmiechała i kazała im zgadywać. Jeśli i ty będziesz milczała, to kogo jak kogo, ale Trystana nikt nie będzie podejrzewał. Dobrze mówię?

Angharada pokręciła głową.

- Jednak on powinien wiedzieć, że ma syna. Chcesz zataić przed nim ten fakt? Zresztą twojemu synowi, jako pierworodnemu rycerza, przysługuje prawo pierworódstwa. Chyba go nie pozbawisz tego prawa?

- Najważniejsze, żeby przyszła żona Trystana się nie dowiedziała. Widziałaś ją? Wyobrażasz sobie, jakie piekło na ziemi by mu zgotowała?

- Ona nie zostanie żoną Trystana.
- Oj, przestań Angharado! - krzyknęła Mair, za-

ciskając z gniewu pięści. - Nie wierzę w twoje przepowiednie! Nie jestem taka głupia.

Błada twarz Angharady pokraśniała.

- To dlaczego tyle razy się sprawdziły?

- Czasami udaje ci się coś przewidzieć, i tyle. Zrozum, Trystan jest zaręczony z tą Noraianką i ją poślubi. Nie wienwskąd się dowiedziałas o Trystanie i o mnie. Może widziałas, jak ode mnie wychodził, albo ktoś inny to widział. A może tylko wydaje ci się, że wiesz, ale wcale nie jesteś tego pewna, tylko tak udajesz.

Angharada odwróciła wzrok.

- O, Boże! -jęknęła cicho Mair, widząc zmieszanie Angharady. - A więc trafiłam, tak? Ty naprawdę nie wiesz na pewno, co przyniesie przyszłość. - Głos jej drżał. - Może... może ja wcale nie jestem w błogosławionym stanie...

Angharada wstała, chwyciła Mair za rękę i spojrzała jej głęboko w oczy.

- Mair, ja wierzę w to, co widzę. Nie mówię wszystkiego, bo czasami nie do końca wiem, co moje wizje oznaczają. Przyznaję, nie mam pewności, kogo poślubi Trystan. Wiem tylko, że będzie ze swoją żoną szczęśliwy. Wiem też, że będzie miał synów i córkę i że dziecko, które nosisz pod sercem, jest jego - zakończyła z naciskiem.

- Mieć dziecko po tak długiej przerwie - powiedziała w zadumie Mair i nagle w jej oczach pojawiła

się decyzja. - Proszę cię, nic nikomu nie mów. Daj mi to załatwić po swojemu.

- Nie możesz pozbawić swojego dziecka prawa pierworództwa.

- Nie będę wbijała klina między Trystana i jego normańską narzeczoną.

- Nosisz w łonie jego dziecko, więc już go wbiłaś - zauważyła Angharada, ruszając do drzwi. W progu zatrzymała się jeszcze i obejrzała. - Postąpię zgodnie, z twoim życzeniem, ponieważ nasi synowie są braćmi i zawsze cię lubiłam. Cieszę się wraz z tobą, bo od tak dawna pragnęłaś drugiego dziecka.

Kiedy Angharada wyszła, Mair usiadła na pustej baryłce i zamyśliła się, wpatrzona nie widzącym wzrokiem w przestrzeń.

Wreszcie będzie miała drugie dziecko! Dziecko Trystana. Będzie miała jego częśćkę, będzie kochać i hołubić ich syna.

Powiedział, że uznałby ich dziecko - ale czy naprawdę by tak postąpił? Gdyby trzeba było wybrać między dobrymi stosunkami z normańską żoną a uznaniem dziecka z nieprawego łoża, jaką decyzję by podjął? Czy powinna go przymuszać do dokonania takiego wyboru, czy samej coś postanowić?

A co z Arthurem? Przez tyle lat był jedynakiem. Może zapalać do braciszka niechęcią większą niż do Ivora.

Będzie musiała dopilnować, by do tego nie doszło

i żeby następny syn nie czuł się jak Trystan, zawsze tym drugim w kolejności.

Nie będzie to łatwe, zwłaszcza że zatai, kto jest jego ojcem. Ale powiedzieć komuś...

Zaraz dowiedziałyby się cała wioska, plotka rozchodziłaby się od wioski do wioski i w końcu dotarłaby do uszu lady Rosamunde.

Do tego czasu Trystan i jego żona mieliby już może własne dziecko.

W myśl normańskiego ustawodawstwa jej dziecko będzie bękartem bez żadnych praw, chyba że Trystan zapłaciłby *cynnwys*. A przecież dziecko, które urodzi Trystanowi, powinno mieć takie samo prawo do dziedziczenia jak potomstwo Trystana z lady Rosamunde. Zatajając, kto jest ojcem dziecka, pozbawiłaby je prawa pierworództwa.

W końcu będzie musiała zdecydować, czy oszczędzić Trystanowi kłopotów i ograbić swoje dziecko z tego, co mu się słusznie należy, czy też ujawnić prawdę i niech Trystan boryka się z konsekwencjami.

Może da się zawrzeć jakiś układ, tajny układ, na mocy którego Trystan będzie łożył na utrzymanie syna, nie uznając go oficjalnie. Nie było to wyjście honorowe, ale lepsze niż żadne.

- Mamo!

Mair wstała z uśmiechem z baryłki i wyciągnęła ręce do Arthura, który wpadł do browaru, rzucając na

klepisko skórzany worek. Za nim, bardziej statecznym krokiem, wszedł Dylan.

Przytuliła Arthura do piersi.

- Och, tak się za tobą stęskniłam! Dobrze się sprawowałeś?

- Nauczyłem się powalać tatę na ziemię! - wykrzyknął z dumą Arthur, wyswobadzając się z matczynych objęć.

- Tak, i to aż za dobrze - potwierdził Dylan, kręcąc głową. - Cały jestem w sińcach.

- Nie wyglądasz na posiniaczonego - zauważyła Mair

- Ale się taki czuję.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Arthurze - przypomniała, podnosząc jego worek. Bez zaglądania do środka wiedziała, że Genevieve odesłała chłopca do domu z wypraną bielizną. - Dobrze się sprawowałeś?

- Nie przyniósł mi wstydu - powiedział Dylan.

Mair roześmiała się.

- To może oznaczać wszystko!

- Byłem grzeczny, jadłem z zamkniętymi ustami. używałem serwetki, mówiłem proszę i dziękuję i tylko sześć razy poprosiłem o dokładkę.

Mair przekrzywiła głowę.

- Ach, tylko sześć razy?

- Daj spokój, Mair, Genevieve niemal siłą chłopca karmiła. Bardzo dobrze się sprawował.

Mair uśmiechnęła się ciepło i poczochnęła ciemne włosy syna.

- Rada to słyszę. Zanieś swoje rzeczy do domu, Arthurze.

Chłopiec chwycił worek i wybiegł z browaru. Mair westchnęła. Była szczęśliwa, że ma go znowu przy sobie.

- Dobrze wyglądasz - zauważył Dylan.

- Nie widać po mnie zmęczenia?

Spojrzał na nią pytająco.

- A powinno być widać?

- Nie.

- Wyglądasz kwitnąco.

To z radości, że Arthur już wrócił. Bardzo mi go brakowało.

Dylan nadal dziwnie jej się przyglądał. Krępowąło ją to.

- Co tak patrzysz? - nie wytrzymała w końcu. - Suknię mam rozdarta? Włosy bardziej niż zwykle potargane? A może ząb mi wypadł, a ja nic o tym nie wiem?

- Ty... promieniejesz.

- O, teraz widzi we mnie lampkę oliwną. Może jem za dużo ryb.

- Oczy ci błyszczą.

- Kosztowałam piwo, może trochę przesadziłam.

Dylan zachichotał.

- Lepiej uważaj, Mair, bo skończy się na tym, że przepijesz wszystkie pieniądze.
 - Mnie to nie grozi - zapewniła go.
 - Dobrze to słyszeć - odparł z uśmiechem. - A teraz wybacz, ale muszę już iść. Zajrzę do Angharady i Trefora, bo Trefor gotów mi jeszcze zarzucić, że stawiam Arthura przed nim. - Westchnął ciężko i pokręcił głową. - Obawiam się, że do końca życia będę wysłuchiwał tego zarzutu.
 - Dostyc często się to zdarza między braćmi.
 - Skąd wiesz? Nie miałaś przecież braci.
 - Ale mam oczy. Widziałam w życiu tylu braci rywalizujących o względy rodziców, że wyrobiłam sobie opinię.
 - Chylę czoło przed twoją mądrością. - Ruszył do drzwi, z ruchów przypominał jej Trystana. - Arthur też chce ze mną iść. Puścisz go? - Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Podejrzewam, że chce wypróbować na Treforze nowo wyuczoną sztukę powalania na ziemię przeciwnika. - Uśmiechnął się. - I dobrze to Treforowi, zrobi - dodał. - Chłopiec musi choć raz oberwać w nos, nawet jeśli to mój najstarszy syn.
 - W pełni się z tobą zgadzam.
 - Zobaczymy się wieczorem na zamku?
 - Nie, dziś nie przyjdę na wieczerzę. Po tak długiej rozłące chcę mieć Arthura tylko dla siebie.
- Dylan uśmiechnął się, kiwnął głową i wyszedł, nic już nie mówiąc.

Późnym wieczorem, po wieczerzy, Dylan z Trystanem siedli przed paleniskiem z kuflami piwa w ręku.

- No, wypadałoby ci chyba życzyć wszystkiego co najlepsze? - odezwał się Dylan.

- Już myślałem, że nic cię nie obeszły moje zaręczyny.

- Toś źle myślał. Damie życzenia już złożyłem, kiedy z ojcem podawaliście Ivorowi hasło na dzisiejszą noc.

- Naprawdę to zrobiłeś?

- Tak - odparł Dylan. - Nie da się ukryć, że skromne z niej stworzenie.

Trystan ściągnął brwi.

- Chyba nie byłeś wobec niej grubiański?

- Ja? - spytał niewinnie Dylan. A potem dodał:

Ani trochę. Powiedziałem tylko, że życzę wam obojgu szczęścia. Uśmiechnęła się i skłoniła. I to wszystko.

- To dobrze.

- Łatwo ją urazić, co?

- To prawdziwa dama - odparł sztywno Trystan.

- Tak, a do tego jaka urodziwa. Ile wyniósł amober?

- To nie miejsce na rozmowę o takich sprawach.

Dylan zerknął na kilku mężczyzn popijających jeszcze w drugim końcu sali.

- Chłopcze, jestem pewien, że okaże się tego warta.

Trystan spojrzał na niego spode łba.

- Musisz być taki nieokrzesany? I przestań nazywać mnie „chłopcem”!

- Na Boga, Trys! Coś ty taki drażliwy jak niedźwiedź z cierniem w łapie. Myślałem, że będziesz tańczył ze szczęścia. Wszak dostałeś to, czegoś chciał.

- I jestem szczęśliwy. Nie widzę tylko potrzeby rozmawiania o odstepnym za pannę młodą ani o posagu z... tutaj!

- Chciałeś powiedzieć: ze mną? - podchwycił Dylan.

- Tak. Z tobą.

Dylan wzruszył ramionami.

- Skoro tak uważasz. - Pociągnął łyk piwa i otarł grzbietem dłoni usta. - To powiedz mi co innego. Z kim sypia teraz Mair?

- Na Boga, Dylanie, masz mnie za staruchę, która obmawia wszystkich dookoła? - odparł zirytowany Trystan, wpatrując się w pienisty płyn.

- Och, daj spokój! Tak tylko spytałem.

- Czemu nie spytasz Mair?

- A żebyś wiedział, że zapytam. I zapytam jeszcze, kiedy spodziewa się dziecka.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dziecko? - wyszeptał Trystan chrapliwie. Nie wierzył własnym uszom. To nie mogła być prawda, Mair by mu przecież powiedziała.

- A tak. Podejrzewam, że jest brzemienna. Promienieje w ten charakterystyczny sposób. Spytałem ją, z czego się bierze ten blask, ale ona... - Dylan urwał. - Jest przy nadziei.

- Powiedziała ci, że będzie miała dziecko?

- Nie. - W oczach Dylana pojawił się niepokój.

- Chyba jej za to nie zrugasz, co? Wiem, że nie pozwalasz jej sposobu życia. Niech to licha! Powiniennem był trzymać gębę na kłódkę.

- Właśnie, żebyś wiedział, że powinienes - rzekł ostro Trystan, wstając i przesywając kuzyna oburzoną spojrzaniem. - Gdyby Mair była brzemienna, powiedziała ci to, prawda? Wszak nie macie przed sobą tajemnic. Nigdy nie mieliście. A skoro ci nie powiedziała, to jak możesz opowiadać rzeczy, których nie jesteś pewien? Jesteś gorszy od rozplotkowanej staruchy!

- Po co się tak...

- Lepiej nie rozpowiadaj o poczętych dzieciach ani o swoich przypuszczeniach względem poczęcia tych dzieci, póki ona ci wyraźnie nie powie, że jest brzemienna. Dobranoc!

Trystan odstawił z hukiem kufel i pomaszerował do swojej komnaty.

Dylan, rozparty na krześle, odprowadzał go wzrokiem. Po jego zmysłowych ustach błąkał się krzywy uśmieszek.

- Proszę, proszę - wymruczał cicho.

A potem uniósł kufel w toaście w kierunku domu Angharady.

- Cóż, Angharado, będę cię musiał przeprosić. Aż do tej pory myślałem, że bawisz się kosztem Trystana. Teraz widzę, że to wcale nie jest takie nie do pomyślenia.

- Mair! - szepnął ktoś do ucha śpiącej Mair.

Ocknęła się natychmiast. Otworzyła oczy, usiadła i spojrzała na mężczyznę stojącego w ciemnościach przy jej posłaniu.

- Trystan? - szepnęła. - Co ty tutaj, na Boga...

- Ciii! Arthur śpi na stryszku, tak?

- Tak, śpi. Czego chcesz?

Natychmiast zauważyła, że Trystan nie ma na sobie opończy, lecz tylko rajtuzy i ciemną tunikę ściągniętą szerokim pasem. W jego oczach malowała się determinacja.

- Muszę z tobą porozmawiać. Chodź ze mną. Proszę.

- W środku...

- Tak!

W jego głosie było tyle desperacji, że już bez protestów wstała i owinęła się kocem.

- Chodźmy do browaru.

Podeszła do paleniska i odpaliła od żarzących się węgielków świecę osadzoną w brązowym lichtarzu. Świece były drogie i oszczędzała je na specjalne okazje.

Wyczuwała, że oto taka nadeszła. Poza tym chciała lepiej widzieć twarz Trystana.

Przytrzymując koc jedną ręką i unosząc w drugiej świecę, przyjrzała mu się uważnie.

Był śmiertelnie poważny.

- Potrzymaj. Nie pójdeś przecież boso - szepnęła, wręczając mu świecę.

Ich dłonie zetknęły się na moment. Walcząc z wywołanymi tym przelotnym kontaktem emocjami i powtarzając sobie, że to jawa, nie sen, znalazła buty i je wzięła.

- Możemy iść - powiedziała.

Kiwnął głową i pierwszy ruszył do wyjścia. Poszła za nim i zamknęła za sobą drzwi.

Noc była zimna, sunące po niebie chmury przesłaniały księżyc i gwiazdy. Wiatr zawodził w koronach drzew pobliskiego lasu. Idący przodem Trystan osłonił dłonią chybotały płomyk świecy.

Mair musiała niemal biec, żeby dotrzymać mu kroku, ale nie śmiała go prosić, żeby zwolnił. Nie chciała robić niepotrzebnego hałasu o tej porze.

Weszli do browaru, Trystan postawił świecę na małej beczułce i znieruchomiał, czekając, aż Mair zamknie za sobą drzwi.

W browarze pachniało piwem, miodem i przyprawami dodawanymi do *braggotu*. Był to swojski zapach, który zwykle działał na nią kojąco. Teraz przypominał jej tylko, kim jest ona, a kim stojący przed nią mężczyzna.

Pomimo różnicy w pochodzeniu i wszystkiego, co między nimi zaszło, Trystan nadal był dla niej najprzystojniejszym, najbardziej pociągającym, najszlachetniejszym mężczyzną na świecie, mężczyzną, którego niemal do bólu pragnęła.

Teraz jednak czoło miał chmurne, a usta zaciśnięte w wąską linię. Oczy skrywał cień.

- Dylan mówi, żeś brzemienna.

Przełknęła przekleństwo. Na razie tylko Angharada tak twierdziła. Było jeszcze za wcześnie, żeby miała tego pewność. Angharada musiała złamać dane jej słowo. Ta ostatnia myśl napełniła ją gniewem.

- Co mu każe tak przypuszczać?
- Twierdzi, że promieniejesz.
- Tylko tyle?
- Tylko tyle - przyznał.
- I ty mu wierzysz?

- Dylan zna się na kobietach. Inni też utrzymują, że potrafią to rozpoznać. Stara niańka mojego ojca mówiła, że czyta to z oczu kobiety dzień po poczęciu, i nigdy się nie pomyliła.

- I według ciebie Dylan obdarzony jest tą samą zdolnością?

- Tak uważam.

- A ja nie.

Na twarzy Trystana pojawił się niepokój, jakiego nigdy tam nie widziała.

- Gdybyś nosiła w łonie dziecko, i to dziecko było moje, powiedziałaśby mi, prawda? - spytał cicho.

Nie miała serca go okłamywać, kiedy tak na nią patrzył.

- Za wcześnie, żeby mieć pewność.

Trystan spuścił głowę; nie wiadomo, czy to w zadumie, czy ze wstydu.

- A chciałbyś wiedzieć, Trystanie?

- Co? - zapytał wyrwany z zamyślenia. - Co mówiłaś?

- Czy chciałbyś wiedzieć? Nie muszę ci mówić, zwłaszcza że zdaję sobie sprawę, jak by ci to skomplikowało życie.

Oczy stwardniały mu na kamień.

- Jeśli jestem ojcem tego dziecka, to chcę o nim wiedzieć.

- Bez względu na wszystko - naciskała, żeby do końca się upewnić.

- Bez względu na wszystko - potwierdził pośpie-
pnie.

- Od ostatniej kobiecej słabości nie byłam z Ivo-
rem, jeśli więc jestem brzemienna, to on jest twój.

- On?

- Angharada twierdzi, że to będzie syn.

- Syn! - Twarz mu złagodniała. - Nasz syn - po-
patrzył na Mair czule, z miłością i dumą.

- Tak, nasz syn - przyznała cicho. - Po tak dłu-
gim wyczekiwaniu powiję drugie dziecko.

Trystan znowu spoważniał. Widząc go takim, Mair
przypomniała sobie, że wywodzi się wszak z rodu
wojowników. To spojrzenie miało porażać strachem
wroga, a i w niej obudziło niepokój.

- Jestem zaręczony z inną. Kontrakt został już
sporządzony i podpisany.

Stropiona zmianą, jaka w nim zaszła, pośpieszyła
z zapewnieniem:

- Nie musisz go oficjalnie uznawać, Trystanie.
Zrozumiem, jeśli tego nie uczynisz. Dopóki będziesz
łożył na jego utrzymanie, w tajemnicy, jeśli będzie
trzeba, nie będę miała pretensji.

Trystan pokręcił głową.

- Jeśli urodzisz mi syna, uznam go.

- Naprawdę?

Sir Trystan DeLanyea wyprostował się dumnie.

- Uznam go i jako mój syn będzie miał wszystkie
przysługujące mu prawa i przywileje.

Musiała zadać to pytanie.

- Na walijskich czy normańskich prawach?

Trystan uciekł wzrokiem w bok i znowu stał się chłopcem, którego znała. Chłopcem, w którym się zakochała i którego wciąż kochała.

- Scheda i tytuł nie liczą się aż tak bardzo, Trystanie.

- Dla mnie się liczą - i dla Normanów też.

Podeszła do niego i wzięła za rękę.

- Trystanie - powiedziała stanowczo - znasz lady Rosamunde lepiej niż ja i naprawdę nie rozumiesz, że będzie chciała odebrać naszemu dziecku wszystko, nawet powietrze, którym będzie oddychało? Nie pojmujesz, że uczyni co w jej mocy, by je zniszczyć? Trystanie, chciałeś się wżenić w potężny ród i dopiąłeś swego. Teraz musisz wypić piwo, którego narzyłeś.

Patrzył na nią nieruchomym wzrokiem.

- Naprawdę wierzysz, że pozwoliłbym komuś - komukolwiek - wyrządzić krzywdę memu dziecku?

Cofnął się głębiej w cień.

- Kiedy będziesz już pewna, że nosisz moje dziecko, przyjdź do mnie i powiedz mi o tym. Uznam go - albo ją - jak na człowieka honoru przystało. Jak przystało na Walińczyka.

Westchnęła. Nie wątpiła, że dotrzyma słowa.

- Dziękuję, Trystanie. A co z lady Rosamunde?

- Załatwię to z nią - mruknął ponuro.

- Jak?

- Zostaw to mnie. - Ruszył do drzwi. - Dobranoc, Mair.

- Życzę ci szczęścia w małżeństwie, Trystanie - powiedziała, siłąc się na spokój.

Odwrócił się i obrzucił Mair uważnym spojrzeniem.

- Dylan powtórzył mi, co mu powiedziałaś, kiedy zastanawialiście się, jak wyjaśnić Arthurowi, czemu się nie pobraliście. Czy w ogóle jest jakiś mężczyzna, którego mogłabyś pokochać na tyle, by za niego wyjść?

Cóż miała odpowiedzieć ukochanemu mężczyźnie, który, niestety, należał już do innej? Był zaręczony z kobietą, którą sam sobie wybrał, córką możnego i potężnego człowieka, dzięki czemu będzie mógł dojść do najwyższych godności w kraju,

Do godności, na które zasługiwał, bo był najlepszym z ludzi.

Ona była nikim, zwyczajną piwowarką.

Jakże kusiło ją, żeby mu powiedzieć, jak go kocha! Że zawsze go kochała i nigdy nie pokocha innego. Że zadawała się z Dylanem i innymi, bo myślała, że jemu, Trystanowi, jest obojętne.

Za późno, żeby mu to wszystko powiedzieć.

Pokręciła głową.

- Nie, Trystanie, nie trafiłam jeszcze na mężczyznę, którego pokochałabym na tyle, by za niego wyjść.

- Rozumiem.

Odszedł cicho jak duch.

Mair wzięła świecę i wróciła do domu. Arthur pochrapywał cichutko. Zdmuchnęła świecę i położyła się sama w zimnej pościeli.

Trefor z Arthurem stali przy drodze prowadzącej do zamku. Zasadzili się tu na ojca, Dylana DeLanyea, żeby go pożegnać.

- Ja pierwszy idę do Fitzroya - zwrócił się Trefor z wyższością do przyrodniego brata.

- A jakże by inaczej. - Arthur wzruszył ramionami. - Starszy jesteś. Ja pójdę na wiosnę.

- I pewnie już się na to cieszysz.

- Pewnie. Chcę zostać rycerzem.

- Nie, nie o to mi chodziło - powiedział Trefor.

Arthur prychnął z pogardą i odwrócił się, żeby odejść.

- Nie chcesz wiedzieć, o co mi chodziło? - zapytał Trefor.

Arthur zatrzymał się. Umierał z ciekawości.

- No dobrze, mów, o co ci chodziło - mruknął.

- Choooodziło miii - zaczął Trefor przeciągając słowo, żeby dodatkowo podręczyć brata - że chcesz iść z domu, żeby nie wysłuchiwać wrzasków bachora.

- Jakiego bachora?

- To nie wiesz?

Arthur zacisnął pięści.

- Czego nie wiem?
- Twoja mama będzie miała dziecko.
- Nieprawda.
- Prawda!
- Nie!
- Tak!
- Moja mama nie będzie miała żadnego dziecka.

Powiedziałyby mi, gdyby tak było!

- Uważasz, że moja mama i nasz tata kłamią? - zapytał Trefor, biorąc się pod boki. Był wyższy od Arthura o głowę, szeroki w ramionach jak wszyscy DeLanyea i dobrze zbudowany.

Ale i z Arthura nie był ułomek.

- Słyszałem, jak rozmawiali - dorzucił Trefor.
- Podśluchiwałeś pod drzwiami jak szpieg.

Trefor poczerwieniał.

- Wcale nie!
- A właśnie, że tak! Zawsze lubiłeś szpiegować.
- Nie!
- Tak!
- Nie!
- Lubieś, i powiem mamie, że rozpuszczasz

o niej kłamliwe plotki!

- To prawda! Moja mama wie!

Arthurowi zabrakło na moment argumentów i Trefor szybko to wykorzystał.

- Nasz tata też wie. Mówi, że umie to wyczytać z twarzy. A wiesz, że on by nie kłamał.

Arthur, choć mniejszy, wypiął wojowniczo pierś i zapytał z wyzwaniem w głosie:

- Jak twoja mama taka mądra, to może jeszcze wie, kto jest ojcem?

To nie mógł być Ivor; od wielu dni już do nich nie uchodził.

Trefor uśmiechnął się wrednie.

- Chciałbyś wiedzieć, co?

Tego było już Arthurowi za wiele.

Rzucił się z furią na Trefora, obalił na ziemię, usiadł przyrodniemu bratu na piersi i zaczął go okładać na oślep pięściami.

- Przestań, Arthurze! - wrzasnął Trefor, bez powodzenia usiłując zrzucić z siebie napastnika. Zakrywał ramionami twarz przed gradem zaskakująco silnych ciosów. - Poddaję się, Arthurze! Poddaję się!

Wrzaski Trefora przedarły się wreszcie do świadomości Arthura. Sapiąc ciężko, opuścił ręce.

- To Trystan.

- Co Trystan? - wymamrotał Arthur jeszcze oszłamiony ustępującym powoli gniewem.

- Trystan jest ojcem - powtórzył Trefor. - Przy najmniej moja mama tak mówi.

- A co na to nasz tata?

- Powiedział- że najpierw nie wierzył, ale teraz już wierzy.

Arthur zlął powoli z przyrodniego brata.

To musiała być prawda. Musiała, skoro tak twierdzą jego ojciec i matka Trefora.

Sam widział kiedyś Trystana wychodzącego z ich domu po sam na sam z matką. Słyszał płacz matki tamtej nocy. Zastanawiał się wtedy, co to może znaczyć; teraz już wiedział.

- Ale nie powiesz swojej mamie, że ci powiedziałem? - spytał z niepokojem Trefor.

Arthur pokręcił powoli głową i ruszył przed siebie.

- Dokąd idziesz?

Arthur milczał.

Ani on, ani Trefor nie zauważyli jeźdźca, który zsunął się z konia i ukryty za krzakami, podsłuchiwał ich rozmowę.

Trystan patrzył na szachownicę i próbował skoncentrować się na grze. Nie był namiętym graczem, od szachów wolał ćwiczenia na powietrzu i inne tego rodzaju rozrywki. Ojciec, Dylan, sir Edawrd i inni pojechali na polowanie, ale lady Rosamunde nie była dzisiaj w nastroju do konnych przejażdżek.

Postanowił z nią zostać. Zaproponowała grę w szachy, a on na to przystał.

W sali nie byli bynajmniej sami. Krzątały się tu służki, roznosząc przekąski dla dzierżawców, którzy mieli jakąś sprawę do ojca i czekali na jego powrót. Chichocząc i szepcząc między sobą niczym stadko

wróbli, wyczyściły też palenisko, roznieciły nowy ogień, wymieniły na nowe wypalone łuczywa w ściennych uchwytych i rozłożyły na posadzce nowe maty.

Trochę przeszkadzały mu się skupić, ale Trystan wiedział, że nawet gdyby zachowywały grobowe milczenie i zwracały na siebie tyle uwagi co drewniane sprzęty, i tak przegrałby tę partię.

Lady Rosamunde, choć starała się z tym maskować, była wspaniałą szachistką. Mogła się rumienić i krygować, ale on i tak dostrzegał w jej oczach ten charakterystyczny blask woli zwycięstwa.

Ojciec pomylił się, twierdząc, że lady Rosamunde nie ma w sobie ikry. Miała ją, a jakże, kiedy zależało jej na pokonaniu przeciwnika, a Trystan podejrzewał, że na wygranej zależało jej zawsze, i to nie tylko w grze w szachy.

Teraz, na przykład, domyślał się, że już dawno zaplanowała swój ruch, a zwlekała z jego wykonaniem tylko po to, by stworzyć wrażenie, że nie bardzo wie, co robi.

On ze swej strony zwlekał, bo nie mógł się skoncentrować na grze.

Myślał o Mair i jej dziecku.

O jej domniemanym dziecku.

O swoim domniemanym dziecku.

O ich domniemanym dziecku.

Wspominał rozmowę, jaką odbyli w nocy.

Powiedziała, że żadnego mężczyzny nie kochała na tyle, żeby za niego wyjść. Ani Dylana, ani Ivora i jego najwyraźniej też nie.

Może to i lepiej. Bo co by zrobił, gdyby wyznała, że go kocha? Jak sama powiedziała, skolidacji się z potężnym normańskim rodem. Zerwanie umowy, którą z nimi zawarł, spowodowałoby katastrofalne konsekwencje, i to nie tylko dla niego. Dylan miał rację, mówiąc, że to, co zrobił Trystan, może się odbić na całej rodzinie. Choć ojciec też miał potężnych i wpływowych przyjaciół, Trystan wcale nie był przekonany, czy ich pomoc przeważałaby szkody, jakie mógł wyrządzić sir Edward.

Nie, prosząc lady Rosamunde o rękę, wkroczył na drogę bez powrotu.

- Jak to jest z tą zamianą wieży i króla? - spytała, patrząc na niego pytająco swoimi wielkimi, wodnistymi błękitnymi oczami.

Wy tłumaczył jej cierpliwie, zastanawiając się w duchu, jak mógł w ogóle pomyśleć, że jest wdzięczniejsza od Mair. Oczy Mair były niczym gwiazdy, pełne blasku i światła; w oczach Rosamunde czaiła się chciwość i przewrotność.

Gdyby Mair urodziła mu dziecko, to dobrze by było, żeby odziedziczyło po niej te żywe brązowe oczy. I piegi na nosie, przywodzące na myśl całuski dobrej wróżki.

Zerknął na Rosamunde. Skupiła wzrok na czymś

za jego plecami. Wydęła różowe wargi i najwyraźniej nie była zadowolona z tego, co widzi.

Ciekaw, co w sali ojca może przywoływać na jej twarz taki wyraz, obejrzał się przez ramię.

To Arthur maszerował ku nim przez salę bardzo zdecydowanym krokiem, nie zważając na zaciekawione spojrzenia służek i czekających na barona dzierżawców.

I nic dziwnego, że ściągał na siebie powszechną uwagę. Nie ulegało wątpliwości, że brał udział w bójce. Włosy miał zmierzwione i pozlepiane błotem, policzki otarte, rajtuzy porwane na kolanach.

- Zdążyłam już zauważyć, że waszym poddanym zupełnie brak ogłady - powiedziała cicho lady Rosamunde - ale jak ten mały oberwaniec miał czelność wejść bezceremonialnie do sali twojego ojca?

- Arthur ma wszelkie prawo tu wchodzić - wyjaśnił jej Trystan. - Jest moim kuzynem w drugiej linii i drugim synem Dylana.

- Ach, to ten nieślubny pomiot twojego kuzyna.

Trystan nic nie powiedział; bardziej interesował go powód, dla którego Arthur przyszedł tu z taką zaciętą miną.

Wlepiając wzrok w Trystana, a Rosamunde traktując jak powietrze, chłopiec zatrzymał się jak na komendę przy stole.

- Słucham, Arthurze? - Trystan spojrzał na chłopca pytająco.

- Chcę wiedzieć, czy to prawda - wyrąbał chłopiec po walijsku.

Trystan poczuł, że się rumieni. Domyślał się już, o co chodzi. Kto mu powiedział? Matka?

- Trochę ciszej, Arthurze - mruknął.

- Nie! - odparował chłopiec buntowniczo, tak jak zrobiłaby to zapewne jego matka. - Czy to prawda?

Rosamunde pochyliła się w przód i syknęła:

- Trystanie, pozwolisz, żeby ten bękart zwracał się do ciebie takim tonem?

Arthur nie mrugnął nawet powieką, ale Trystan dostrzegł iskierkę bólu w jego oczach. Lady Rosamunde nie wiedziała, że Arthur, choć na co dzień posługuje się walijskim, to jak przystało na szlachetnie urodzonego, zna również francuski.

- No, pozwolisz? - powtórzyła Rosamunde, zanim zdążył ją o tym uprzedzić.

I wtedy Arthur dowiódł, że naprawdę jest synem swojej matki. Spojrzał pogardliwie na lady Rosamunde i powiedział wyraźnie i głośno w jej języku:

- Zamilcz, suko.

- Arthurze! - krzyknął Trystan, zrywając się na równe nogi. Lady Rosamunde spłonęła krwistym rumieńcem. - Chodź ze mną! Wybacz, pani.

- Ależ nie krępuj się, panie - powiedziała ironicznie.

Trystan chwycił chłopca za ramię i wyciągnął go

z sali. Zatrzymali się w ustronnym zakamarku wewnętrznego podwórca.

- Nie powinieneś jej tak nazywać, Arthurze! - zaczął Trystan, spoglądając z góry na nie okazującego najmniejszej skruchy winowajcę.

- A ona nie powinna mnie nazywać bękartem! Nie ma prawa!

- Ale ty jesteś bękartem, Arthurze - zauważył łagodnie Trystan, zżymając się w duchu, że właśnie jemu musiało przypaść uświadomienie tego chłopcu. - Twoi rodzice nie byli małżeństwem, i to cię nim czyni.

Arthur stał z uniesioną głową.

- Walijczycy nie przywiązują takiej wagi do legalności związków - wyjaśniał dalej - za to Normanowie jak najbardziej. Obawiam się, że nie po raz ostatni zostałeś tak nazwany, czy to w oczy, czy za plecami.

Serce mu się ścisnęło na widok wyrazu twarzy chłopca, bo zdawał sobie sprawę, że jeśli Mair powije mu syna, to pewnego dnia w jego oczach pojawi się ten sam wyraz.

- Bękartem jest Trefor - ciągnął. - I Dylan, twój ojciec. I mój ojciec. I Urien Fitzroy.

- Mój ojciec?

- Tak. Twój dziadek i babka nie byli małżeństwem. - Prawda była taka, że dziadek Arthura dopuścił się gwałtu na pewnej służce, ale tego chłopiec nie

musiał wiedzieć. - A Fitzroy nie wie nawet, kim był jego ojciec.

Przykląkł i spojrzął Arthurowi w oczy.

- Ważniejsze od tego, czy twoi rodzice byli czy nie byli małżeństwem, jest to, jakim człowiekiem sam jesteś. Zapamiętaj to sobie. Prawości i szlachetności nikt ci nie odbierze, choćby nie wiem jak cię przezywano.

Arthur pokiwał powoli głową.

- I nie godzi się damę nazywać tym słowem, nawet jeśli cię uraziła. Człowiek honoru by za to przeprosił.

Och, jakie podobne do oczu matki zrobiły się oczy Arthura, kiedy Trystan to powiedział! Zapaliła się w nich ta sama płomienna furia.

- Nie przeproszę! Jest zła i straszna i jej nie przeproszę!

- Masz przeprosić tylko za to słowo - powiedział z naciskiem Trystan i zauważył, że chłopiec pojał w lot, o co mu chodzi.

- A co wy tu knujecie? - spytała Mair, wyrastając obok nich jak spod ziemi. - Można by pomyśleć, że planujecie jakąś wojnę. Długo czekałam na ciebie z posiłkiem, Arthurze. Byłeś tu cały czas?

Na jej widok Trystanowi serce ścisnęło się z tęsknoty. Wstał, nie mogąc się nadziwić, że po tym wszystkim, co przeszła, nadal jest taka pogodna.

Ale to była właśnie cała Mair.

- Trystan każe mi przeproszać - burknął Arthur.

Spojrzała na syna pytająco.

- Kogo? Za co?

- Lady Rosamunde. Za to, że nazwałem ją suką.

- Arthurze!

Chłopiec wyprężył pierś.

- Nazwała mnie bękartem - wyjaśnił tonem usprawiedliwienia.

Pomimo wyzywającej postawy był czerwony ze wstydu. Mair zeszywniała.

- Ona jest Normanką - spróbował ratować sytuację Trystan.

Mair puszczając mimo uszu jego słowa, zwróciła się do syna:

- Arthurze, do domu - powiedziała spokojnie. - Czekaj tam na mnie, niedługo wrócę.

- To nie muszę przeproszać?

- Nie.

- On powiedział, że muszę. - Chłopiec wskazał ruchem głowy na Trystana. - Powiedział, że tak by zrobił człowiek honoru.

Mair spojrzała na Trystana. Boże, jak spojrzała - jakby chciała uśmiercić go wzrokiem.

- Każesz mu przeproszać za to, że odpłacił jej pięknym za nadobne?

Trystan, choć rozumiał jej reakcję, nadał uważał, że to on ma rację.

- Jeśli jest rycerski, to przeprosi.

- Arthurze, do domu - powtórzyła Mair. - Jadło-
zostałam ci na stole. Ja niedługo wrócę.

Chłopiec nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać.
Uśmiechnął się z ulgą i tryumfem i już go nie było.
Mair obróciła się na pięcie i pomaszerowała w stronę
sali.

- Mair, co chcesz...

- Chcę ostrzec tę kobietę, żeby nigdy więcej nie
ważyła się nazwać mego syna bękartem.

- Sam dopilnuję, żeby tego nie zrobiła - obiecał
Trystan, ruszając za nią. - W dalszym ciągu uważam,
że Arthur powinien ją przeprosić za użycie tego
słowa.

Mair zatrzymała się, odwróciła powoli i przeszła
go spojrzeniem.

- Upokorzyła go, wytykając coś, czemu nie jest
winien. I nie każę mu przeproszać za to, że nie pozostął
jej dłużny.

- Mair, on jest synem barona i musi być rycers...

Urwał w pół słowa, bo była już nos w nos z nim.

- Wiem, kim jest jego ojciec - wycodziła - i nie
pozwolę, żeby mój syn kajał się przed nią jak mata
pod nogi.

- Mair, proszę cię! - powiedział błagalnie. - Przy-
znaję, że to nie było z jej strony zbyt eleganckie...

- Zbyt eleganckie?! - zawołała z furją. - Mnie się
wydaje, że niczego innego nie można od niej oczeki-
wać. - Przymrużyła oczy. - Jeśli urodzę ci syna, też

będziesz chował głowę w piasek i pozwalał jej krzywdzić go w ten sposób? Będziesz mu kazał przeproszać, kiedy ona mu uświadomi, co myślą o nim Normanowie, dla których nie liczy się człowiek, lecz jego urodzenie? Doprawdy, jakież to rycerskie!

 Nie czekając na odpowiedź, której i tak by nie usłyszała, bo Trystan zapomniał języka w gębie, obróciła się na pięcie i pomaszerowała dalej.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mair zdecydowanym krokiem i z furją w oczach wmaszerowała do sali. Sir Emryss, Dylan i reszta gości barona DeLanyea wrócili właśnie z polowania i zdejmowali oponcze. Sir Edward też był wśród nich.

Mair potoczyła rozwścieczonym wzrokiem po sali. Lady Rosamunde siedziała nad szachownicą, przy małym stoliku w drugim końcu sali. Ku swemu zaskoczeniu, w mężczyźnie, który się nad nią pochylał i zdawał spijać każde słowo skapujące z jej różanych ust, Mair rozpoznała Ivora.

Czy nie znajdzie się już mężczyzna, który dostrzeżby w tej kobiecie wyrachowaną jędzę, którą w istocie była?

- Lady Rosamunde! - krzyknęła Mair i jej głos odbił się echem od ścian niczym zew myśliwskiego rogu. Ruszyła zdecydowanym krokiem przez salę, nie zwracając najmniejszej uwagi na zebranych tu ludzi.

Na dźwięk swego imienia Normanka drgnęła i podniosła głowę znad szachownicy. Trystan, który wbiegł właśnie do sali, zawołał za Mair, ale ta jakby go nie słyszała.

Lady Rosamunde zmierzyła pogardliwym spojrzeniem piwowarkę, która zatrzymała się przed jej stolikiem, tak jak niedawno jej syn.

Ivor wycofał się za krzesło Normanki.

- Czego chcesz? - spytała chłodno lady Rosamunde.

Wargi Mair rozciągnął uśmiech.

Ivor postąpił krok w przód, żeby w razie czego stanąć w obronie lady Rosamunde. Wzburzony Trystan też chciał podbiec, ale baron go przytrzymał i szepnął do któregoś ze sług, żeby sprowadził tu jego żonę, i to natychmiast.

- Obraziłaś mojego syna - powiedziała Mair, przewiercając wzrokiem lady Rosamunde. Jej brązowe oczy ciskały błyskawice. Trystan otwierał już usta, żeby coś krzyknąć, ale lady Rosamunde, nie zwróciła na niego uwagi.

- Powinnaś nauczyć chłopaka dobrych manier - powiedziała, nie spuszczając z Mair chłodnego spojrzenia. - I nie zaszkodziłoby, gdyby od czasu do czasu się umył.

- Mair, daj spokój - wtrącił czym prędzej Trystan.

To nie pora ani...

- Nie wyjdę, dopóki nie wygarnę tej suce, co o,niej myślę.

Lady Rosamunde zwróciła wodniste błękitne oczy na narzeczonego.

- Sir Trystanie, zabierz, proszę, tę swoją nałożnicę sprzed moich oczu.

Po sali przetoczył się pomruk zaskoczenia. Trystan spurpurowiał, Ivor wbił wzrok w ziemię, lady Rosamunde uśmiechnęła się tryumfalnie, a Mair skamieniała.

Ale tylko na mgnienie oka.

- Nie jestem niczyją nałożnicą - odparowała - za to ty nadal pozostajesz suką.

Słowa te nie wywarły na lady Rosamunde żadnego wrażenia. Machnęła lekceważąco ręką.

- No to jego kochanką. Kochanką, której zrobił jeszcze jednego bękarta.

- Na Boga! - mruknął baron, ruszając z miejsca, podczas gdy sir Edward rozdziawił usta i stał jak wrośnięty w ziemię.

- Czy to prawda, Trystanie? - spytał baron, zatrzymując się przed synem.

- Emryssie! - zawołała lady Roanne, wychodząc z kuchni, gdzie nadzorowała przygotowania do wieczery. Zbliżyła się do nich szybkim krokiem. - Jak słusznie chciał zauważyć Trystan, tylko nie dano mu dokończyć, nie jest to odpowiednia pora ani miejsce na roztrząsanie takich spraw.

- Tak, tak, masz rację, duszko - przyznał baron.

- Trystanie, Mair, lady Rosamunde, sir Edwardzie, zapraszam do mojej komnaty. Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Ja nie wejdę z nią do jednej izby - oświadczyła Mair. Spojrzała śmiało na barona. - Ona mówi pra-

wdę. Trystan i ja byliśmy ze sobą i chociaż nie jestem jeszcze do końca pewna, całkiem możliwe, że noszę w łonie jego dziecko. Dla siebie o nic jego, ani ciebie, baronie, nie proszę - mam tylko nadzieję, że w swoim czasie mój syn dostanie, co mu się należy.

Tu, przeniósłszy wzrok na lady Rosamunde, wycedziła z pogardą:

- I jestem dumna, że urodzę mu dziecko, czy to z, prawego, czy nieprawego łoża.

Wyrzuciwszy to z siebie, wyszła z sali z wysoko uniesioną głową i wypiętą piersią, dostojna jak królowa.

- Coś podobnego! - mruknął Dylan odrywając wzrok od znikającej za progiem Mair i spoglądając na kuzyna. - Nigdy jeszcze nie widziałem Mair w takim gniewie!

- Zamilcz, Dylanie! - warknął Trystan.

Zerknął na lady Rosamunde. Twarz jej pałała, patrzyła w ziemię, bez wątpienia upokorzona i zbulwersowana.

Czy na tyle, by zerwać zaręczyny?

Stojący obok niej Ivor wlepił w niego płonące nienawiścią oczy.

- To nie pora ani miejsce na roztrząsanie takich spraw! - powtórzyła zdecydowanym tonem lady Rosanna. - Lady Rosamunde, sir Edwardzie, przejdźmy do komnaty mego męża, tam może opadną emocje. Trystanie, ty idź do siebie. Później wysłuchamy, co

masz do powiedzenia. Ty, Dylanie, siądź dzisiaj na miejscu barona.

Kiedy lady Roanna przemawiała tym tonem, nie było w Craig Fawr śmiałka, który ważyłby się jej przeciwstawić. Dylan zajął posłusznie miejsce barona u szczytu stołu, Trystan, noga za nogą niczym prowadzony na ścięcie, powłókł się do wyjścia, a sir Edward z córką ruszyli za sir Emryssem i jego żoną.

Ledwie zamknęły się za nimi drzwi komnaty barona, sir Edward wyrecytował z zadziwiającym spokojem:

- Nic takiego się nie stało. Trystan to młody mężczyzna. Takie rzeczy się zdarzają. Nie mam mu tego za złe.

- Bardzo to wielkoduszne z twojej strony - odparł baron z ledwie zauważalną ironią. - Myślę jednak, że przede wszystkim powinniśmy posłuchać, co ma do powiedzenia lady Rosamunde.

- Bardzom ciekawa, baronie, dlaczego nie ma tu z nami Trystana? - zapytała.

Baron posłał jej spojrzenie, w którym niepokój mieszał się z podejrzliwością.

- Pomyślałem, że w zaistniałej sytuacji możesz nie życzyć sobie, pani, jego obecności. Byłoby to zupełnie zrozumiałe.

- Dzięki za troskę, baronie - odparła ze słodkim uśmiechem. - Ale podzielam zdanie mego ojca. Twój syn jest młodym mężczyzną, a tylko głupia kobieta

wierzy, że młody mężczyzna potrafi być wstrzemięźliwy. Ja zaś nie należę do głupich kobiet.

- Zatem nadal jesteś gotowa poślubić mojego syna?

- Naturalnie! - uśmiechnęła się jeszcze słodziej. - Kontrakt małżeński został wszak podpisany, nieprawdaż? Nie chcę go zrywać, i ty, panie, też nie powinieneś tego czynić, bo konsekwencje takiego kroku mogą być dla ciebie opłakane.

Baron zrobił wielkie oczy, ale jego żona nie wyglądała wcale na zaskoczoną.

- Chyba nie muszę wchodzić w szczegóły kary, do wymierzenia której mój ojciec i jego przyjaciele mogliby przekonać króla oraz inne wpływowe osobistości na dworze, a może nawet ludzi, z którymi robisz interesy. Nie bezpośrednio, ma się rozumieć, i naturalnie wolałabym tego uniknąć... ale jeśli nie da się inaczej, to się nie zawaham.

Baron spojrział na sir Edwrada, który gapił się na córkę z podziwem i niekłamany zachwytem.

- Potwierdzasz to, co ona mówi? - spytał. - Mścilibyście się na nas?

- Jeśli zajdzie taka potrzeba - odpowiedziała za ojca lady Rosamunde.

- Mój mąż kierował to pytanie do twojego ojca - odezwała się lady Roanna.

Ta wypowiedziana spokojnym głosem reprimenda sprawiła, że Rosamunde oblała się rumieńcem.

- Intercyza została podpisana - zaczął ostrożnie sir Edward. - Jej... jej zerwanie wywołałoby teraz skandal i okryło sromotą moją córkę. Na pewno tego nie chcesz.

Rosamunde zwróciła swoje zimne oczy na żonę barona i z jeszcze zimniejszym uśmiechem powiedziała:

- Kto jak kto, pani, ale ty powinnaś pamiętać, co może ludzkie gadanie i jakie szkody przynosi plotka. Ile lat musiało upłynąć, zanim na dworze przestano mówić o gwałcie zadany ci przez tego człowieka?

- Nie zgwałciłem mojej żony! - krzyknął wzburzony baron.

- To ty tak twierdzisz - ciągnęła lady Rosamunde, nie odrywając wzroku od jego nieporuszonej małżonki - ale różnie ludzie gadają. Powiadają, na przykład, że zgwałcił ją również ojciec Dylana DeLanyea.

- Nie została przez nikogo zgwałcona!

- No i sam widzisz. Czyż plotka nie jest straszna? - ciągnęła lady Rosamunde. - I ja, choćby nie wiem co się działo, nie chcę się stać jej obiektem. Twój syn poprosił mnie o rękę, a ja zgodziłam się zostać jego żoną. Ustaliliśmy warunki małżeństwa i podpisaliśmy intercyzę. Jeśli spróbuje ją teraz zerwać, drogo za to zapłacicie, i to nie tylko brzęczącą monetą. Chcecie tego?

- Gotowa jestem zaryzykować o wiele więcej, byleby tylko mój syn był szczęśliwy - odezwała się lady Roanna z majestatem monarchini. - Wiem już teraz, co o tobie myśleć, młoda damo. Chodź, Emryssie, porozmawiajmy z Trystanem.

Tu uśmiechnęła się pogardliwie i dodała:

- I wybijmy mu z głowy małżeństwo z tą suką.

- Na Boga, Trystanie! Nie możesz poślubić tej kobiety! - wyrzucił z siebie baron, patrząc z niedowierzaniem na syna. - Mniejsza o jej pogrożki, tu się liczy twoje życie, a ona ci je zatruje.

Trystan przeniósł spojrzenie z ojca na matkę i z powrotem. Powiedzieli mu, czym zagroziła lady Rosamunde, i starali się nakłonić go do zerwania kontraktu małżeńskiego.

On jednak pozostawał głuchy na ich argumenty. Wierzył, że Rosamunde nie rzucała słów na wiatr. Ojciec był tutaj, na pograniczu Walii i Anglii, człowiekiem znanym i poważanym, utrzymywał dobre stosunki z kilkoma Normanami, ale wpływów na dworze nie miał praktycznie żadnych. Całkiem możliwe, że zrobienie sobie wrogów z rodziny D'Heureux i ich przyjaciół przyniosłoby katastrofalne skutki.

A każdego, kto próbowałby się ująć za ojcem, też by spotkały represje.

Jednak nawet mając to na uwadze, podjąłby ryzyko i zerwał zaręczyny, gdyby tylko Mair powiedziała, że kocha go na tyle, żeby za niego wyjść.

Ale tego nie powiedziała. Spółkowała z nim, jak z każdym ze swoich kochanków, a jego dziecko nosiła w łonie tak, jak kiedyś dziecko Dylana.

Czemu więc nie miałby poślubić Rosamunde i za-

żegnać niebezpieczeństwa? To małżeństwo mogło mu jeszcze przynieść wszystkie profity, które nie tak dawno wydawały mu się nad wyraz ważne.

Naturalnie, nigdy jej nie pokocha. Po tym wszystkim by nie potrafił, ale podjął zobowiązanie i wywiąże się z niego. Prosząc ją o rękę, sam odrzucił szansę na prawdziwe szczęście w imię przyziemnych korzyści, i powinien ponieść tego konsekwencje.

- Nie zerwę zaręczyn - powtórzył z mocą.

- Trystanie, toż to zimna, wyrachowana...

- Być może - wpadł matce w słowo - ale jak można od niej wymagać, by była ciepła i kochająca po tym, czego dowiedziała się o swoim narzeczonym? Podziwiam ją nawet, że miast mdleć, zalewać się łzami i użalać nad sobą, przyjmuje to z podniesionym czołem i walczy o swoje prawa.

Musiał wywołać wrażenie, że nadal kocha Rosamunde, bo inaczej, nie oglądając się na niego, rodzice zerwą zaręczyny.

- Ona po prostu zna swoje prawa, mamó. Sobie nie ma nic do zarzucenia. To ja zawiniłem, nie ona. Zalecając się do niej, nie powinienem zadawać się z Mair. Postąpiłem niegodnie i haniebnie.

- Ach, rozumiem teraz. Umyśliłeś sobie, że odpokutujesz za to i zetrzesz plamę na honorze, poślubiając mimo wszystko Rosamunde?

Ktoś, kto nie znał lady Roanny, wywnioskowałby pewnie z jej tonu, że jest pogodzona z sytuacją, ale

Trystan widział w oczach matki coś, co jeszcze bardziej łamało mu serce: rozczarowanie.

- Nie! - zaprotestował. - Ja naprawdę chcę ją poślubić. Gdybym nie chciał, nie prosiłbym jej przecież o rękę.

- Ale ona...

- Jest kobietą, której pragnę, tato.

- Nie było cię w mojej komnacie, kiedy bezczelnie, zjadem w głosie dyktowała nam...

- Tato! Czy ty mnie nie słuchasz? To moja przyszła żona. I nie ubliżaj jej proszę, w mojej obecności.

- Trystanie - wtrąciła lady Roanna - dlaczego zaatałeś się z Mair?

Trystan podszedł do okna i patrzył przez chwilę na widoczną z niego basztę, potem odwrócił się powoli.

- Bo mogłem.

Dostrzegł, jak ojciec zmienił się na twarzy.

Całe życie starał się przestrzegać norm ustanowionych przez ojca, brata i kuzyna. Do głowy by mu nie przyszło, że swoimi działaniami sprawi im taki zawód. Ale nie okaże po sobie, jak cierpi, jest wszak z rodu DeLanyea.

Na matkę nie śmiał nawet spojrzeć.

- Rozumiem - powiedziała lady Roanna. - A więc nie będziemy się więcej wypowiadali przeciwko temu małżeństwu ani przeciw niej.

- Ależ... - zaprotestował baron.

- Emryssie, nic więcej nie powiemy. Ślub odbę-

dzie się tak, jak zaplanowaliśmy, bo tego życzy sobie Trystan. Dobrej nocy, synu.

Baron, nic już więcej nie mówiąc, wyszedł za żoną z komnaty.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Trystan odwrócił się do okna, za którym zapadła już noc.

Noc czarna jak przyszłość, którą sam sobie zgotował.

- Czy mój tato naprawdę jest bękartem? - spytał Arthur, podnosząc wzrok znad miski z zupą, ledwie Mair stanęła w drzwiach.

Mair powoli zamknęła za sobą drzwi i spojrzała na syna z wymuszonym uśmiechem.

- Tak.

- A baron?

- Też.

- I Fitzroy? - pytał dalej Arthur.

Nie było tajemnicą, że Arthur, podobnie jak większość ludzi, uważał Fitzroya za mistrza sztuki walki.

- Tak.

- A król?

- Nie, Arthurze - odparła Mair ze szczerym już uśmiechem - król nie jest bękartem.

Chłopiec pokiwał z politowaniem głową, najwyraźniej współczując monarsze, że ten przyszedł na świat z prawego łoża.

Trystan, cokolwiek mu powiedział, zdołał usunąć

żądło wbite słowami lady Rosamunde, i Mair była mu za to wdzięczna.

- Arthurze, muszę z tobą porozmawiać o czymś ważnym - powiedziała, siadając obok niego na ławie.

- Przepraszę, jeśli muszę - odparł odważnie.

- Nie, nie musisz. Nie chodzi o lady Rosamunde.

Wzięła głęboki oddech.

- Być może jestem brzemienna, a jeśli tak, to ojcem tego dziecka jest Trystan.

- Nie ten Ivor?

- Nie, nie Ivor.

Arthur uśmiechnął się.

- To dobrze! Lubię Trystana bardziej niż Ivora.

Mair odetchnęła z ulgą, rada, że syn tak lekko przyjął tę nowinę.

Chłopiec spoważniał.

- A Trystan ożeni się z lady Rosamunde czy z tobą?

- Z lady Rosamunde.

- To nowe dziecko też będzie bękartem!

Wyglądało na to, że Trystan trochę przesadził, wyjaśniając mu sytuację ludzi przychodzących na świat z nieprawego łoża.

- Tak, on też będzie bękartem.

- On?

- Angharada mówi, że to będzie chłopiec.

Arthur roześmiał się.

- A Trefor nie ma brata ani nawet siostry! - krzyknął tryumfalnie.

- Tylko nie waż się mu tego wytykać! To byłoby okrutne, a sam wiesz, jak takie okrucieństwo może zranić.

Chłopiec znowu spowaźniał.

- A jak on powie mi coś przykrego?

Zważywszy na to, jak sama się przed chwilą zachowała, nie mogła mu poradzić, żeby milczał. Wstała z ławy i zaczęła sprzątać ze stołu.

- A jak on powie mi coś przykrego? - nie dawał za wygraną Arthur.

- Za sześć miesięcy nie będzie go tutaj, a więc nie powinno cię to martwić.

- Nie chcę, żeby Trystan żenił się z tą Normanką - powiedział Arthur, wstając, żeby jej pomóc. - Ona jest wredna.

- Jest piękna i pochodzi z wielkiego rodu.

- I on dlatego nie żeni się z tobą?

- Nie, Arthurze. Nie żeni się ze mną, bo ja tego nie chcę.

- A dlaczego?

- To moja sprawa, synku, a tobie nic do tego, Spróbuję ci to wytłumaczyć, kiedy będziesz starszy.

- Ty jesteś od niej o wiele ładniejsza, mamo.

Mair uśmiechnęła się z czułością.

- Dziękuję, Arthurze. - Poczochrała go po ciemnych włosach. - Tak mi cię będzie brakowało, kiedy pójdziesz do Fitzroya!

Chłopiec objął ją mocno.

- Mnie też będzie cię brakowało, mamó. - Popatrzył na nią z powagą. - Po powrocie będę giermkim. A jak zostanę rycerzem, będę najlepszym rycerzem w całym kraju, wygram mnóstwo turniejów i bitew i dostąpię wielu zaszczytów. Zbuduję duży zamek i zamieszkaż w nim ze mną, i już nigdy się nie rozstaniemy. Jeszcze będziesz ze mnie dumna, mamó, przysięgam!

Mair przytuliła go.

- Już jestem z cię dumna, synku.

Dwa tygodnie później baron Emryss DeLanyea siedział w komnacie w Beaufort, zamku Dylana. Po lewej ręce miał Dylana, po prawej starszego syna, chmurnego, szarookiego Griffydda. Zebrali się tu na naradę rodzinną.

- I nic już się nie da zrobić? - spytał Dylan, przenosząc zatroskany wzrok z wuja na kuzyna.

- Zaparł się, że ją poślubi - odrzekł baron.

- To może w istocie coś do niej czuje - zauważył Griffydd.

- Jeśli tak, to skończony głupiec z niego! - Dylan podniósł głos. - Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, od razu pomyślałem sobie, że pewnie zatruje życie przyszłemu mężowi - a wtedy nie było jeszcze mowy o pogrózkach, które teraz od niej usłyszeliśmy.

- Podzieliłeś się tą opinią z Trystanem?

- Boże uchowaj. Strach pomyśleć, jak by zareagował. Wydawało mu się wtedy, że ją kocha.

- I całkiem możliwe, że ją kocha - powiedział chłodno Griffydd.

- Kiedyś mogło mu się tak wydawać - odezwał się baron - ale nie widziałeś go tamtego wieczoru w jego komnacie. Chociaż upiera się, że poślubi tę kobietę, to jej nie kocha. Podejrzewam nawet, że zupełnie nic do niej nie czuje.

- W takim razie trzeba zerwać te zaręczyny.

Baron popatrzył pobłaźliwie na Dylana.

- Proponowałem mu, żeby się wycofał, a on mi na to, że chce ją poślubić i poślubi. Czyż mogę teraz postąpić wbrew jego woli, nie upokarzając go przy tym? To jeszcze pogorszyłoby sprawę.

- Jesteś pewien, że nie lękasz się sir Edwarda i jego popleczników? - spytał z niedowierzaniem Dylan.

- Jestem pewien - odparł z przekonaniem baron.

- Lękam się za to, że stracę syna.

- A co na to matka?

Baron zerknął spod oka na Griffydd.

- Jak to ona. Radzi zachować cierpliwość.

- To mądra kobieta. Jeśli zaczniemy wszyscy molestować Trystana, żeby dla własnego dobra zmienić zdanie, zaprze się jak osioł.

- Ale...

Griffydd obrzucił kuzyna ironicznym spojrzeniem.

- Ty w podobnych okolicznościach nie chciałeś nikogo z nas słuchać, zapomniałeś już?

- To było co innego. Ja kochałem Genevieve. Nie zdawałem sobie tylko z tego sprawy.

- Co do uczuć Trystana też możemy się mylić. Nie chce mi się wierzyć, żeby mój brat mógł być tak beznadziejnie głupi i uparty.

- My, DeLanyea, wszyscy jesteśmy uparci - zauważył baron. - Mamy to we krwi.

Wstał i zaczął się przechadzać po komnacie, utykając.

- A co z Mair? - zapytał Dylan. - Zostawi ją tak?

- Nie rozumiem, co cię tak w tym gorszy. Sam ją kiedyś zostawiłeś - wytknął mu Griffydd.

- Nie kochała mnie ani ja jej.

- Trystan wmówił sobie, że jej nie kocha - powiedział baron.

- No to głupiec z niego! Na Boga, widziałem, jak na nią patrzy. Zupełnie jak na Genevieve, kiedy się w niej durzył, a nawet jeszcze gorzej.

- Patrzył gorzej?

- Nie rób z siebie durnia, Griffyddzie. Wiesz, o co mi chodzi. Z większą miłością. Z większym pożądaniem. Zauważyłem tę różnicę, kiedy przyjechałem po Arthura. Chyba byli już wtedy ze sobą.

- To jeszcze nie znaczy, że kochają na tyle, by ją poślubić - odparł Griffydd. - Ty najlepiej powinieneś to wiedzieć.

- To było co innego. Och, na miłość boską, między mną i Mair było inaczej. Ja to wiem, ona wie, i wie też Trystan, jeśli nie jest ślepy jak nietoperz. Mair nigdy nie patrzyła na mnie tak, jak patrzy na Trystana, choć stara się z tym kryć. Gdyby tylko ten chłopak nie był taki ambitny!

- Myślisz, że on by się ożenił dla zaspokojenia ambicji?

- A czym innym wytłumaczyć to, że bierze sobie za żonę tę Normanę?

- Poprosił ją o rękę i teraz honor nie pozwala mu zerwać zaręczyn - wyjaśnił baron. - Na Boga, za wiele mówiłem wam o honorze, kiedy dorastaliście. Podejrzewam, że wszyscy poświęcilibyście szczęście dla ratowania honoru.

- Ja nie - zadeklarował z przekonaniem Dylan.

Baron zatrzymał się.

- Nie było to takie oczywiste, kiedy uparłeś się, że poślubisz swoją obecną żonę.

Dylan zaczerwienił się.

- Już mówiłem, że ją kochałem.

- Zebraliśmy się tutaj, żeby porozmawiać o małżeństwie Trystana - przypomniał im Griffydd. Spojrzał na barona. - Jesteś przekonany, że on nie kocha tej kobiety i że ona nie będzie dla niego dobrą żoną?

- Tak, jestem.

- To czego od nas oczekujesz? Mamy mu to wy-

perswadować? Sam powiedziałaś, że my, DeLanyea, jesteśmy uparci. Wątpię, żeby to coś dało.

Baron pokręcił głową.

- Wolałbym, żebyś nie był zawsze taki akuratny w swoim rozumowaniu, synu. Ale masz to po matce, a ona też uważa, że taka taktyka przyniosłaby odwrotny skutek.

- To co, według lady Roanny, powinniśmy zrobić? - spytał zniecierpliwiony Dyłan.

- Przyjechać na jego ślub i dużo się uśmiechać. - Baron sposepniał. - Jeśli musimy wydać Trystana za tę kobietę, to przynajmniej okażmy jej rodzinie i przyjaciołom...

- Że w razie pojawienia się jakichś kłopotów nie będzie sam - dokończył za niego Griffydd, wstając i spoglądając ojcu w oczy.

- Otóż to - przytaknął baron. - Trystanowi też trzeba dać to do zrozumienia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Na dwa dni przed ślubem sir Trystana DeLanyea z lady Rosamunde D'Heureux Mair wprowadziła wóz wyładowany baryłkami z piwem, miodem i *braggotem* na dziedziniec zamku Craig Fawr. Nie było to takie proste, bo roiło się już tam od weselnych gości i ich świt.

Mair pomachała Arthurowi i Treforowi, którzy od wczesnego ranka byli już na zamku i wypatrywali z murów orszaku ojca. Oni też jej pomachali i powrócili do swych obserwacji.

Podjechała wozem pod kuchnię, ściągnęła lejce i rozejrzała się za jakimś znajomym sługą, który pomógłby jej wyładować baryłki.

- Proszę, proszę, co my tu mamy? - rozległ się za nią kpiący męski głos.

Obejrzała się przez ramię. Przy wrotach stajni wal-koniła się grupka młodych mężczyzn. Jeden z nich, dobrze ubrany i ostrzyżony na normandzką modłę, najwyraźniej prowodyr, oderwał się od ściany i ruszył rozkołysanym krokiem w stronę wozu. W jego ślady poszli podobnie odziani kompani.

Mair westchnęła ciężko i zwinnie zeskoczyła z kozła na ziemię. Najpewniej wydawało im się, że przypominają watahę wygłodniałych, dzikich wilków i oczekiwali, że jeśli już nie wzbudzą w niej lęku, to przynajmniej zrobią wrażenie.

Durnie. Ona widziała w nich raczej kacząta drepające za mamą kaczką.

- Widzicie, jak tej walijskiej dziewczce do mnie spieszno? - zawołał ze śmiechem obcy. - Po raz pierwszy od znalezienia się na pograniczu żałuję, że nie umiem po walijsku.

Mair patrzyła na nich z kpiącym uśmieszkiem.

- Widzicie, jak się uśmiecha? A widzicie te nogi do samej ziemi - zawołał do swoich kompanów. - Mężczyzna wiele by dał, żeby się między nimi znaleźć.

- Żeby się między nimi znaleźć, mężczyzna musiałby być mężczyzną, a nie wystrojonym jak papuga gogusiem - odparowała w ich języku Mair.

Przyjaciele wymienili rozbawione spojrzenia, a prowodyr się zaczerwienił.

- Bacz, co mówisz, dziewczko, bo...

- Bo co? - spytał Trystan, wychodząc ze stajni i kierując się w ich stronę.

Mair, która nie spotkała go od czasu pamiętnej awantury, serce się ścisnęło.

I to nie z beznadziejnej tęsknoty, lecz na widok zmiany, jaka w nim zaszła. Jakby o dziesięć lat się

postarzał. Spojrzenie miał puste, policzki mu się zapadły, jakby był poważnie chory i nie mógł jeść. Ale nie słyszała o żadnej chorobie.

- A ty coś za jeden? - spytał wyniośle Norman.
- Pan młody.

Mężczyzna zerknął na kompanów, po czym skłonił się wytwornie.

- Jestem kuzynem lady Rosamunde. Sir Cecil D'Heureux do usług. Miło mi cię poznać, sir Trystanie. Wybacz, jeśli popełniłem nietakt.

- Witaj w Craig Fawr, a o wybaczenie za swoje grubiaństwo proś Mair, nie mnie.

Mair nie słyszała jeszcze u niego takiego tonu. Do złudzenia przypominał ton barona, kiedy ten wpadał w gniew.

- Przecie to zwyczajna...
- Głuchyś, sir Cecilu?

Sir Cecil obrzucił spojrzeniem wóz, a potem utkwiał wzrok w Mair. I nagle coś mu chyba zaświtało. Widać to było po oczach.

- Ach, to jest ta piwowarka, o której tyle się nasłuchałem.

- A co o mnie słyszałeś? - zapytała Mair.
- No, że twoje... piwo jest najlepsze w całej Walii.

Towarzysze sir Cecila wymienili rozbawione, porozumiewawcze spojrzenia.

Mair założyła ręce na piersi, a sir Cecil uśmiechnął się cynicznie i skłonił jej ledwie zauważalnie.

- Proszę o wybaczenie. Nie mogę się już doczekać, kiedy skosztuję twych wywarów.

Dłoń Trystana zacisnęła się na rękojeści miecza.

Mair przestraszyła się. Od lat miała do czynienia z takimi zuchwałymi, bezczelnymi typami i potrafiła sobie z nimi radzić. Trystan powinien to wiedzieć. Nie potrzebowała jego wstawiennictwa, tym bardziej że chodziło o krewnego panny młodej.

Musi szybko rozładować sytuację.

Roześmiała się na całe gardło.

Trystan patrzył ponuro, jak Mair ze śmiejącymi się oczami, podparta pod boki, podchodzi niemal tanecznym krokiem do Normana.

Zaniepokojonym wzrokiem szukał u niej jakichkolwiek śladów błogosławionego stanu. Niestety, była w codziennej luźnej sukni i wyrzuconej na nią koszuli. Nawet gdyby do rozwiązania pozostało kilka dni, też by nic nie zauważył.

- Och, sir Cecilu, jakże mi pochlebiasz swoimi słowami! - zawołała kpiącym tonem, który Trystan tak dobrze znał. - Pomyśleć tylko, że masz o mnie takie dobre zdanie!

Sir Cecil patrzył na nią oniemiały, gapie, którzy zdążyli już otoczyć ich wianuszkami, gruchnęli śmiechem.

Norman, zrozumiawszy, że śmieją się z niego, sępnął.

- Jakaś pomyłona - bąknął.

- A jakże, pomyłona - odparowała wesoło Mair, klaszcząc w dłonie niczym zadurzona panienka.- Pomieszało mi się w głowie z beznadziejnego pociągu do przystojnych, dobrze ubranych Normanów, którzy zaszczycają mnie niewybrednymi uwagami.

Sir Cecil rozpogodził się nieoczekiwanie i uśmiechnął z aprobatą. Trystana tknęło złe przeczucie.

- Dosyć, Mair - rzucił. - Racz udać się ze mną do wielkiej sali, sir Cecilu, każę podać coś do przepłukania gardła.

- Ona nam będzie usługiwać? - spytał Norman, wskazując ruchem głowy na Mair.

- Nie jestem służką, sir Cecilu.

Jej wyzywający ton, miał go zirytować, tylko zwiększył aprobatę.

- Wybaczcie, panowie, ale muszę wyładować piwo.

- Gdzieżbym śmiał przeszkadzać takiemu zachwycającemu stworzonku w wypełnianiu obowiązków - odparł sir Cecil, nieświadom ponurego spojrzenia, jakie rzucił mu Trystan.

Spojrzenia, które zdążyło już stracić swą wymowę, kiedy sir Cecil oderwał wreszcie wzrok od znikającej w kuchni Mair i przeniósł go na Trystana.

- Za przeproszeniem pana młodego, w pełni rozumiejąc mężczyznę, którego kusi, żeby wziąć sobie taką hożą dziewczkę na nałożnicę - zauważył sir Cecil tonem, jakim zwraca się jeden obyty w świecie mężczyzna do drugiego.

- Ona nie jest moją nałożnicą - odrzekł lodowatym tonem Trystan, obrócił się na pięcie i ruszył przodem w kierunku wielkiej sali. Nienawidził sir Cecila i jemu podobnych z całej duszy.

Ciarki przebiegły mu po grzbiecie na samą myśl, że w nadchodzących latach będzie musiał na co dzień przestawać z krewnymi swojej żony.

Nie pocieszało go też, że przyszedł w sukurs Mair, bo bardzo dobrze wiedział, że i bez niego by sobie poradziła. Tak, żałował, że się wtrącił. Gdyby tego nie zrobił, nie musiałby patrzeć na Mair.

Jej widok i tęsknota, jaką ten widok obudził, były nie do zniesienia.

Ze też nie pomyślał, czym to się może skończyć, kiedy słysząc jej głos, pośpieszył na pomoc.

Mair, dopilnowawszy, by beczki z jej piwem trafiły bezpiecznie do piwnicy barona, zaszła do przestronnej, wygodnej, tętniącej życiem kuchni zamku, by odpocząć i coś przekąsić. Dylan przybył wreszcie i od razu zabrał do siebie Arthura i Trefora. Czekąca teraz, aż chłopcy wyjdą od ojca, by zabrać ich pustym wozem do wioski.

- Patrzę ci ja, a tu beczka jakby zaczynała przeciekać. Co zrobić, myślę sobie.

Dziewki kuchenne porzuciły swoje obowiązki i zebrały się wokół niej, pilnie nastawiając ucha.

Mair potrząsnęła pajdą chleba.

- I już wiem! Zrobię znak, że to dla sir Edwarda!
Wydudli ją do dna, zanim ktoś zauważy, że cieknie!

Po kuchni gruchnął śmiech, który szybko ścichł, kiedy w drzwiach prowadzących do wielkiej sali stanął Trystan. Kobiety rozpierzchły się do swoich zajęć.

- O, sir Trystan - powiedziała spokojnie Mair.

Wstała z uśmiechem, odłożyła nadgryzioną pajdę chleba i strzepnęła z sukni okruchy. Pożądanie, jakie wzniecił w nim ten zwyczajny ruch, omal nie doprowadziło go do szaleństwa.

Z trudem wziął się w garść.

- A gdzież to twoi przemili normańscy druhowie?

- zapytała z przekąsem.

- Pójdiesz ze mną do ogrodu matki?

- A co powie na to twoja narzeczona?

Trystan starał się nie zwracać uwagi na ukradkowe, zaciekawione spojrzenia służby.

- Jeśli wolisz rozmawiać przy ludziach, to niech tak będzie.

- Wydaje mi się, że wszystko, co masz mi do powiedzenia, mógłbyś równie dobrze wykrzyczeć z murów zamku.

Pokraśniał.

- Nie mam ochoty wdrapywać się na mury, żeby robić tam cokolwiek.

- Ja też nie.

- Wolałbym porozmawiać z tobą sam na sam - nalegał, patrząc jej głęboko w oczy.

Nie wytrzymała tego spojrzenia i na moment odwróciła wzrok.

- Cóż, bywaliśmy już sam na sam, czemu więc by tego nie powtórzyć? - powiedziała tak, jakby nic dla niej nigdy nie znaczył. - Chodźmy do tego ogrodu.

Pomachała na pożegnanie służbie i wyszła z kuchni. Trystan powlókł się za nią ze zwieszoną głową.

- No to jesteśmy sami w ogrodzie - oznajmiła Mair, odwracając się do niego, kiedy minęli furkę, - Piękny powód do plotek dałeś sługom swojego ojca. Pogratulować.

- A będą mieli wkrótce więcej powodów do plotkowania. Jesteś brzemienna?

Wodząc wzrokiem po uschniętych krzakach róż, wzruszyła obojętnie ramionami.

- To nie zabawa, Mair.

- Mam taką nadzieję. Bo jak by ją nazwać? „Stanie w ogrodzie”? Mało śmieszne.

- Mair! - krzyknął i nutka napięcia w jego głosie kazała jej spojrzeć z niepokojem. - Mair, ja muszę wiedzieć. Jesteś brzemienna?

Z jej twarzy opadła maska nonszalancji.

- Tak.

- Pewnaś?

- Pewniejsza już być nie mogę.

Przygarbił się.

- O Boże, Mair, przepraszam.

Zbliżyła się do niego ostrożnie jak do dzikiego

zwierza, który w każdej chwili może zrobić coś nieprzewidywalnego.

- Przepraszasz?

- Że się z tobą kochałem. Że postawiłem cię w tej trudnej sytuacji. Że ludziom takim jak sir Cecil i jego zgraja dałem pretekst do zwracania się do ciebie w taki niewybredny sposób.

Brązowe oczy Mair złagodniały, pojawiło się w nich współczucie.

- Ja się nie gniewam, Trystanie. I nie żałuję niczego.

Delikatnie ujęła jego twarz w dłonie i uśmiechnęła się z miłością.

- Posłuchaj mnie, Trystanie, uważnie posłuchaj. Dobrze, że to zrobiliśmy. Jestem niewypowiedzianie szczęśliwa, że będę miała jeszcze jedno dziecko. Nie oczekuję od ciebie, że będziesz mnie chronił. Dawałam sobie radę dotąd, dam i teraz.

Westchnął ciężko, pochylił głowę i złożył na jej dłoni pocałunek.

Cofnęła szybko ręce, bo jego usta parzyły jak ogień.

- A co do sir Cecila... to głupiec, i to nie twoja wina.

Zerknęła na niego.

- Zresztą znam pewnego młodzieńca, który ubliżał mi bez ustanku, choć nie w taki sposób.

- Przepraszam za wszystkie przykre słowa, któ-

rych w gniewie i zapamiętaniu ci nie szczędziłem, Mair. Byłem takim samym durniem jak sir Cecil.

Jakaś iskierka zamigotała głęboko w jej oczach.

- O, nie, Trystanie, nigdy nie byłeś jak on. Nie pozwoliłabym. .. - zawahała się. - Nie pozwoliłabym ci się tknąć, gdybyś go choćby trochę przypominał.

- Cóż za czarujący widok - dobiegł ich od furty głos lady Rosamunde.

Kołysząc przesadnie biodrami, weszła do ogrodu z zimnym uśmiechem na ślicznej twarzy. Wiatr szarpał jej woal.

- Szukałam swojego narzeczonego, a on tutaj, i to nie sam. Doprawdy, Trystanie, skoro już nie możesz się powstrzymać od spółkowania z tą dziewczką, bądź chociaż subtelniejszy.

- Tu nie ma żadnego spółkowania - odparowała Mair, mierząc Rosamunde pogardliwym spojrzeniem.

- Podejrzewam, że nawet nie wiesz, co znaczy to słowo.

- Domyślam się.

- Trystanie, powiedz tej kobiecie, żeby wracała do warzenia piwa.

Trystan rzucił Rosamunde ponure spojrzenie i zwracając się do Mair, powiedział:

- Odejdź, proszę, i zostaw mnie z moją urodziwą narzeczoną.

Mair zerknęła na tryumfującą Normanę.

- Z miłą chęcią.

- No, już cię tu nie ma - ponagliła ją Rosamunde.
Mair wzruszyła pogardliwie ramionami i spojrzała na Trystana.

- Z Bogiem.

- Z Bogiem i niech szczęście wreszcie się do ciebie uśmiechnie.

Kiwnęła głową i z uśmiechem na ustach, ale smutkiem w oczach zostawiła Rosamunde zwycięską na polu bitwy.

- Ja mówię poważnie, Trystanie - odezwała się Rosamunde, podchodząc do narzeczonego. - Jeśli już musisz zadawać się z ladacznicami, przynajmniej rób to dyskretniej.

Trystan odprowadził wzrokiem oddalającą się Mair, potem spojrzał na swoją normańską narzeczoną i zapytał cicho:

- Cenisz sobie życie, Rosamunde?

Spojrzała na niego zdumiona.

- Słucham?

Ruszył ku niej niczym wielki kot skradający się do nie podejrzewającej niczego ofiary. Widząc wyraz jego oczu, Rosamunde pobladła.

- Jeśli cenisz sobie życie, nigdy więcej nie waż się nazwać Mair ladacznicą ani żadnym innym uwłaczającym jej godności określeniem. Nie ubliżysz już nigdy ani jej, ani dziecku, które mi urodzi... albo, Bóg mi świadkiem, pożałujesz.

- Ty... ty barbarzyńco! Jak śmiesz mi grozić..

i to dla takiej... - w porę ugryzła się w język - takiej kobiety.

Uśmiechnął się.

- Ty nie zawahałaś się zagrozić mnie i mojej rodzinie, dlaczego więc miałbym ci pozostać dłużny?

Rosamunde zaczęła się cofać.

- No i co... co byś mi zrobić? - wyszeptała z przestraczeniem.

- Lepiej żebyś nie wiedziała.

Rosamunde odwróciła się bez słowa i wybiegła z ogrodu.

Trystan został sam na sam ze swoimi myślami i rozterkami, od których mimo najszczerzej chęci nie potrafił się uwolnić.

Mair, zmęczona robieniem dobrej miny do złej gry, szła przez dziedziniec w kierunku stajni. Stajenni byli na wieczery w wielkiej sali, ale to i dobrze, wolała sama zaprząć konia do wozu.

Wdychając w płuca zapach świeżego siana, końskiego potu i skóry, podeszła do zagrody, w której nad żłobem pełnym owsa stał jej koń. Przemawiając do niego cicho, poklepała zwierzę po zadzie. Koń odwrócił łeb i spojrzał na nią.

- Nawet ty patrzysz na mnie jak na lekko pomyloną, co? - wyszeptała z chichotem. - Może i taka jestem. Oszałała z miłości. Ja! - dodała z niedowierzaniem.

Koń z powrotem pochylił łeb nad żłobem.

Postanowiła wstrzymać się jeszcze z zakładaniem upręży, bo nie wiedziała, kiedy zjawi się Arthur, a nie miała ochoty iść po niego do wielkiej sali. Oparła się o słupek, przymknęła oczy i usiłowała powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Mair?

Drgnęła i obejrzała się. Za nią stał Dylan i przyglądał się jej ze szczerym zaniepokojeniem.

- Dylan! - wychrypięła i odchrząknęła. - Tyle tu pyłu! Przyprowadziłeś Arthura? Gdzie on?

- Pomagają z Treforem rozpakowywać Genevieve moje bagaże.

- Bardziej jej chyba zawadzają, niż pomagają.

- Ona lubi ich towarzystwo.

- A oni pewnie korzystają z okazji, żeby pogrzebać ci w rzeczach.

Dylan zbliżył się.

- Mair, jesteś brzemenna z Trystanem?

- Chyba będę musiała stanąć na blankach i ogłosić to wszem i wobec, bo zadreczycie mnie tym pytaniem.

- Odpowiedz.

- Tak, jestem. Urodzę późną wiosną.

- Co on na to?

- A jak myślisz?

- Ciebie pytam.

- A co ty czułeś, kiedy ci oznajmiłam, że wydam na świat twoje dziecko?

- Dobrze wiesz, co wówczas czułem. Byłem wniebowzięty.

- Nawet narzeczonej wtedy nie miałeś, nie mówiąc już o wyznaczonej dacie ślubu.

- Mam nadzieję, że podchodzi do tego honorowo.

- Oczywiście, wszak to Trystan.

Ciemne oczy Dylana nabrały jeszcze intensywniejszego blasku.

- Dzięki Bogu choć za to - odetchnął.

- Tak, dzięki Bogu choć za to - powtórzyła. - No, jeśli to wszystko, co chciałeś wiedzieć, to...

- Co myślisz o lady Rosamunde?

- A co to ma za znaczenie?

- Na pewno nie chcesz, żeby Trystan ją poślubił.

- Nie mnie o tym decydować.

- Ma poślubić ciebie.

- Znowu rozmawiałeś z Angharadą, tak?

Dylan wziął ją za rękę i spojrzał w oczy tak, jak tylko on to potrafił.

- Powiedz mi, ale szczerze, Mair. Kochasz go?

- Skoro noszę w łonie jego dziecko, to chyba muszę go kochać, prawda?

Dylan ściągnął brwi.

- Proszę cię, Mair, bądź poważna. Odnoszę wrażenie, że on kocha cię do szaleństwa.

- Ach, a więc i ty jesteś jasnowidzem jak Angharada?

- Sam jestem zakochanym mężczyzną, wiem

więc, czym to się objawia. Muszę jeszcze wiedzieć, czy ty go kochasz.

- Tylko mi nie mów, żeś zazdrosny. - Chciała się zaśmiać pogardliwie, ale nie bardzo jej to wyszło.-

Nie, nie kocham.

- Jesteś zazdrosna o lady Rosamunde?

- Nie.

- I nie masz nic przeciwko temu ,żeby Trystan ją poślubił?

- Jeśli jej pragnie, to niech ją sobie bierze.

- Nie wydaje mi się, żeby on jej pragnał. Chyba mu przeszło po tym, jak był z tobą.

Mair odwróciła wzrok, pociągnęła nosem i znowu popatrzyła na Dylana.

- Wiesz przecież, że nie taka znowu ze mnie kochanka. A już na pewno nie uwierzę, że po zaznaniu miłości ze mną Trystan nie potrafi już pożądać żadnej innej kobiety. Nie jestem aż tak próżna.

Dylan przyglądał jej się z powagą.

- Próżność nie ma tu nic do rzeczy. Według mnie on po prostu bardzo cię kocha.

Mair, unikając jego wzroku, wzięła głęboki oddech.

- No to powinien wybić mnie sobie z głowy. Będzie mu łatwiej, kiedy stąd wyjadę?

- Wyjedziesz? Dokąd się wybierasz?

- Sprzedam browar i przeniosę się do Bridgeford Wells, żeby być bliżej Arthura, kiedy będzie pobierał nauki u Fitzroya.

- Wszak twoje miejsce jest tutaj.
- Na moje piwo wszędzie znajdę zbyt.
- Arthurowi szłoby lepiej, gdyby nie było cię w pobliżu.

Wyczytał z jej oczu, że nie da sobie wyperswadować tego pomysłu.

- Będzie mu szło dobrze, gdziekolwiek będę. To już postanowione, Dylanie. Przenoszę się do Bridgeford Wells.

- Żeby uciec od Trystana?
- Żeby być bliżej Arthura.
- Próbujesz mnie wmówić, że nie kochasz Trystana, czy sobie? Jeśli tak, to przegrywasz na obu frontach. Mów prawdę, Mair. Muszę ją znać. Kochasz Trystana?

- On powinien poślubić lady Rosamunde. Zasługuje na żonę, dzięki której będzie mógł osiągnąć to, czego pragnie.

- A czego on pragnie?
- Tylko tego, na co zasługuje. Chce zostać wielkim, szanowanym lordem. I może nim zostać, jeśli ożeni się, z kim trzeba.

- Przecież małżeństwo dla zaspokojenia ambicji, to z kimś takim, szybko uczyni jego życie nieznośnym. Znam Trystana na tyle, by to wiedzieć, nawet jeśli on sam jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. Ty chyba naprawdę go nie kochasz, skoro możesz patrzeć spokojnie, jak popełnia taki błąd.

- Zamilcz i odejdz, Dylanie! - krzyknęła, uciekając od niego, od jego pytań, oczu i słów w najdalszy kąt stajni skryty w głębokich ciemnościach,

Dylana niełatwo się było pozbyć. Ruszył tam za nią ze współczuciem, ale i determinacją na twarzy.

- Ty go kochasz. Wiem!

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Moje uczucia się nie liczą - powiedziała z naciśkiem. - Najważniejsze jest to, czego pragnie Trystan.

Odetchnęła urywanie.

- Wystarczy mi, że choć raz zwrócił na mnie uwagę i że noszę w łonie jego dziecko. Nie mów mi już o Trystanie. Błagam. Miej litość i nie mów mi o nim więcej!

Zakryła twarz dłońmi i rozpłakała się.

Dylan wziął ją w objęcia.

- Spokojnie, Mair, spokojnie - szeptał pocieszająco. - Będzie, jak sobie życzysz. Nic już na ten temat nie powiem - obiecał.

Tylko obiecał, a Mair nie widziała wyrazu jego oczu, kiedy to mówił.

- Powiadam ci, Angharado, że trzeba coś zrobić!
- zawołał Dylan, waląc pięścią w stół.

Odprowadził Trefora do domu i, kiedy chłopiec pobiegł po wodę do strumienia, przedstawił jego matce całą sytuację.

- A co na to baron?

- Mówi, że tak czy inaczej nie wolno nam się wtrącać, ale w ten sposób przecie nie można!
- Czemu tak myślisz? - spytała Angharada, zerkając na niego znad kołowrotka.
- Bo oni tak się kochają!
- Gdyby to była prawda, Trystan nie żeniłby się przecież z lady Rosamunde, mam rację? - zauważyła Angharada, przerywając przedzenie. - A Mair by stąd nie wyjeżdżała.
- On chyba nie wie, co Mair do niego czuje, a Mair zrobi, co uważa za słuszne, nie zważając na to, że sama siebie pizy tym rani. Ona urodziła się na wojownika. Takiej odwagi próżno szukać u niejednego mężczyzny.
- Widzę, żeś bardzo pewien uczucia, jakim do siebie jakoby pałają - zauważyła Angharada, odkładając wrzeczono.
- Tak, jestem pewny!
- A skąd ta pewność? Zwierzali ci się?
- Mając w pamięci skrępowanie Mair, Dylan wolał zachować jej słowa dla siebie.
- Jestem pewny i już. Jej zależy na Trystanie bardziej niż na jakimkolwiek innym mężczyźnie, wliczając w to mnie.
- Zdaję sobie sprawę, jak trudno ci to przyznać, pewnie więc nie rzucasz słów na wiatr.
- Żebyś wiedziała! - powiedział z naciskiem, spoglądając na matkę swojego pierworodnego, piękną kobietę, którą wciąż darzył szacunkiem.

I której, po prawdzie, lękał się trochę z uwagi na jej dar.

- Poza tym - podjął - wydaje mi się, że podzielasz moje przekonanie. Zawsze mówiłaś, że powinien poślubić Mair, a nie tę Normanę.

Angharada wyprostowała się i popatrzyła z powagą na swojego byłego kochanka.

- Naprawdę sądzisz, że Trystan popełnia niewybaczalny błąd?

- Tak!

- A dlaczego się z nią żeni, skoro jej nie kocha?

- Bo poprosił Rosamunde o rękę, kiedy nie wiedział jeszcze, do kogo naprawdę wrywa się jego serce, i nie zdawał sobie sprawy, jaka ona jest! Bo ona zagroziła represjami, jeśli zaręczyny zostaną zerwane! Bo jest skończonym głupcem!

Dylan przeczesał palcami długie do ramion włosy,

- Baron też uważa, że z Trystanem coś musi być nie tak, ale nalega, żebyśmy nie zdradzili się przed nim nawet słowem, co o tym małżeństwie myślimy. Każe nam przyjąć Rosamunde do rodziny z otwartymi ramionami. A ta zmija oddałaby mi się bez zastanowienia, gdybym tylko wziął ją w ramiona!

- Próżność przez ciebie przemawia, Dylanie Delanyea.

- Gdybyś widziała ją na ucztach, nie zarzucałabyś mi próżności.

Angharada uśmiechnęła się. A potem jej oczy, któ-

re przypominały czasami atramentowe głębie jeziora w blasku księżyca, spoważniały.

- Jeśli jesteś bez reszty przekonany, że Trystan nie chce tej kobiety za żonę, to istnieje sposób na niedopuszczenie do małżeństwa.

- Masz dar jasnovidzenia, a nie widzisz, że on poprosił o rękę niewłaściwą kobietę?

- Wiem tylko, że będzie szczęśliwy w małżeństwie i będzie miał pięknych, zdrowych synów oraz i córkę. Moje wizje nie przychodzą na zawołanie, Dylanie. Same wybierają sobie porę.

Uśmiechnęła się.

- Ale miałam jedną, w której prawdziwość nie wątpię, i jeśli jesteś zdecydowany zrobić, co trzeba, nikt nie będzie zdziwiony, że Trystan nie poślubił lady Rosamunde, i o żadnych represjach nie będzie mowy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Trystan ocknął się, poczuwszy na ustach czyjaś dłoń. Chciał się zerwać, ale dłoń wciskała go w pościel. Przerazony otworzył oczy i ujrzał pochylonego nad sobą mężczyznę, trzymającego pochodnię w ręku.

Dopiero po chwili rozpoznał w napastniku Dylana i ze stłumionymi okrzykami zaczął okładać kuzyna pięściami.

- Ucisz się, chłopcze - rzekł Dylan po walijsku i w tym momencie jeszcze dwie dłonie przytrzymały Trystana za ramiona - to zabiorę rękę.

Trystan łypnął z furią na trzymającego go Griffydda i powiódł wściekłym wzrokiem po twarzach ludzi otaczających jego łożo. Ze zdumieniem zobaczył ojca, a za nim sir Cecila z jego normańską kompanią. Chociaż było bardzo ciemno, pochodnię miał tylko Dylan.

Tak czy owak, w jego sypialni zebrali się chyba wszyscy goście weselni płci męskiej, z wyjątkiem sir Edwarda. Wyglądali tak, jakby i ich niedawno obudzono z głębokiego snu. Tłoczyli się wokół łoża trochę jeszcze otumanieni, a jednocześnie dziwnie podnieceni.

- Będziesz cicho?

Trystan kiwnął głową i Dylan zabrał rękę.

- Co to ma znaczyć? - spytał Trystan, też po walijsku. - Ktoś nas napadł?

- Nie - mruknął Griffydd. - Odziewaj się i chodź z nami.

Trystan puścił mimo uszu polecenie brata i spojrzął pytająco na ojca.

- Co się dzieje, tato? Co oni wszyscy tu robią?

- Rób, jak mówi Dylan, synu - odparł posępnie ojciec.

Zdeprymowany pełną rezygnacji postawą ojca i całym tym nocnym najściem, Trystan poniechał dociekań i wstał z łoża.

Wciągając rajtuzy, jeszcze raz zerknął na ojca.

- Coś się komuś stało?

- Jeszcze nie - odparł cicho baron, a na jego twarzy odmalował się smutek.

Ta odpowiedź jeszcze bardziej zaintrygowała Trystana, Ojciec nigdy nie pochwalał samosądów, zresztą Trystan nie mógł sobie przypomnieć żadnej popełnionej ostatnio zbrodni, która by taki usprawiedliwiała.

Kiedy był już ubrany, stojący przy drzwiach Dylan przywołał go skinieniem i powiedział:

- Teraz ani pary z gęby, bo nasza akcja wymaga zachowania absolutnej ciszy. - Przechodząc na francuski, zakomenderował z kpina w głosie: - Za mną, panowie.

Normanowie wymienili między sobą rozbawione spojrzenia i posłusznie ruszyli za nim. Po chwili Trystan zorientował się, że Dylan prowadzi ich do wieży, w której znajdowała się komnata lady Rosamunde.

- O co chodzi? - spytał po walijsku kuzyna,

- Nigdy nie słyszałeś o tradycyjnej wizycie pana młodego w łóżnicy panny młodej w ostatnią noc przed ślubem?

- Nie słyszałem, bo nie ma takiej tradycji, i do-
brze o tym wiesz - odparował Trystan.

- Po mojemu powinno się ją wprowadzić.

- Nie wiem, czemu ja biorę udział w tym barba-
rzyńskim walijskim obrządku - dobiegł ich przyci-
szony głos sir Cecila. - Doprawdy, odwiedzanie mo-
jej kuzynki po nocy w łóżnicy...

Dylan zaśmiał się cicho.

- Już ci mówiłem, że w Walii goście weselni płci
męskiej starają się choć raz rzucić okiem na obnażone
ciało panny młodej - powiedział po francusku.-
Dawniej na samym rzucaniu okiem sienie kończyło.
Ale to mamy już za sobą, bo Walia, dzięki Norma-
nom, jest teraz krajem o wiele bardziej cywilizo-
wanym.

Idący za nimi nie mogli widzieli twarzy Dylana,
ale Trystan dostrzegł malującą się na niej kpinę.

- Naturalnie, w dzisiejszych czasach nie każemy
jej już zrzucać odzienia - ciągnął Dylan. - Teraz wy-
starczy, że pokaże nam na chwilę nóżki.

- Czemu opowiadasz im takie brednie? - spytał po walijsku Trystan, oglądając się przez ramię na ojca, który powinien przecież położyć kres tym łągastwom.

- Cicho, jesteśmy już blisko. Chyba nie chcesz, żeby się obudziła, hę?

- Ten mój kuzyn nie grzeszy szczodrością - poskarżył się Dylan Normanom, przechodząc znowu na ich język. - Nie chce się z nikim dzielić widokiem pięknych kończyn swojej wybranki. Kutwa jeden.

Mężczyźni za nimi zachichotali i zaczęli wymieniać szeptem żartobliwe uwagi. Przed łożnicą ucichli.

- Panowie, proszę was - upomniał ich konspiracyjnym szeptem Dylan. - Musimy być cicho, bo diabli wezmą element zaskoczenia.

Trystan zatrzymał się i ujął pod boki. Miał dosyć tej zabawy.

- Nie rozumiem, o co tu chodzi, Dylanie, ani co ci strzeliło do głowy, żeby...

Ktoś otoczył go od tyłu potężnym ramieniem wielką jak bochen łapą zatkał usta.

- Wszystko się zaraz wyjaśni - wysyczał mu do ucha Griffydd, popychając przed sobą w kierunku łożnicy.

Dylan, bez pukania ani słowa uprzedzenia, otworzył zdecydowanym ruchem drzwi i wszedł do środka. Za nim wepchnęła się tłumnie do łożnicy reszta mężczyzn, a w ich liczbie popychany przez Griffydda Trystan.

Stanęli wszyscy jak wryci, porażeni widokiem który ukazał się ich oczom.

Na moment zaległa dzwoniąca w uszach cisza, potem Rosamunde zapiszczała przeraźliwie, a nagi dowódca straży jak oparzony wyskoczył z jej łoża.

Byli właśnie w trakcie zapamiętałego spółkowania, i pomimo gorączkowych prób okrycia się podjętych przez lady Rosamunde, dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że jest tak samo naga jak jej kochanek.

Griffydd puścił oniemiałego Trystana, a ten stał jak wrośnięty w ziemię.

Przyciskając do piersi prześcieradło, Rosamunde gapiła się przez chwilę z obłędem w oczach na intruzów. Potem wskazała dygoczącą ręką na Ivora, pośpiesznie wdziewającego rajtuzy.

- Napadł mnie! Zniewolił!

Ivor zamarł z tuniką w ręku i przerażeniem na twarzy.

- Tak było! Wpadł nieproszony do mojej komnaty! Pchnął mnie na łożo, odarł z szat, a potem o mało nie zamęczył na śmierć, rozładowując na mnie swoje chucie, chociaż gryzłam i kopałam...

- Rosamunde! - krzyknął Ivor, wypuszczając z ręki tunikę. - Toż to nieprawda! Do niczego cię nie zmuszałem! Kocham cię i ty mnie kochasz. Chcę się z tobą ożenić.

- Ja mam zostać twoją żoną?! - krzyknęła z nie-

skrywaną odrazą. - Oszalałeś? Ja żoną dowódcy strazy? Walińczyka z gminu, bez szlacheckiego tytułu?

Owijając się prześcieradłem, Rosamunde wstała z łoża.

- Cecilu, ty mi wierzysz, prawda? - zwróciła się błagalnym tonem do kuzyna. - Musisz mi uwierzyć! Wiesz przecież, że nigdy nie wpuściłabym do łoża takiego barbarzyńcy!

- Rosamunde, powiedz im prawdę - zaskamlał Ivor. - Jestem człowiekiem honoru i przyszedłem tu na twoje zaproszenie. Powiedz im.

Spiorunowała go wzrokiem i wycodziła:

- Na moje zaproszenie? Ja miałabym zapraszać do siebie prostego żołnierza? Wszyscy wiedzą, że to łgarstwo. Nigdy nie pokochałabym takiego jak ty, nigdy! Napadłeś na mnie, ty prymitywna, obrzydliwa bestio, powinni cię stracić za tę zbrodnię!

- Stracić? - Ivora zamurowało. Pobladł jak prześcieradło spowijające zaróżowione ciało Rosamunde.

- Kata w to nie mieszajmy - odezwał się baron zza pleców mężczyzn stłoczonych wokół łoża.

- Tak, nie mieszajmy - podchwycił sir Cecil. - Obawiam się, piękna kuzyneczko, że sprawa nie przedstawia się dla ciebie najlepiej. Gdzie sińce? Gdzie zadrapania? Drzwi nie były zamknięte na skobel. Dlaczego nie uciekłaś? I dlaczego twoje odzienie nie leży rozrzucone po podłodze, porwane w strzępy?

Ivor posłał spojrzenie zbitego psa najpierw Trysta-

nowi, który dotąd się nie poruszył, a potem kolejno innym DeLanyea.

- Panowie, uwierzcie mi. Nie napadłem na nią. Przyszedłem tu dzisiaj na jej zaproszenie, i to nie był pierwszy raz.

- Kłamca! - wrzasnęła Rosamunde. Podbiegła do Trystana i padła mu do nóg. - Trystanie, on mnie napadł! Uwierz mi, jeśli mnie kochasz!

- Podobnie jak twój kuzyn, nie widzę dowodów napaści ani u ciebie, ani u niego - odpowiedział matowym głosem Trystan.

- Musisz mi uwierzyć! Musisz mnie poślubić! - błagała, teraz już naprawdę zdesperowana.

- Nie, nie musi - wtrącił się sir Cecil z pogardą. - Zawiodłaś mnie, kuzynko, i przyniosłaś wstyd rodzinie. Na twoim miejscu rozważyłbym wstąpienie do klasztoru.

Rosamunde, nie odrywając od niego wzroku, podźwignęła się powoli z klęczek. Potem potoczyła spojrzeniem po twarzach wszystkich obecnych.

- A więc to ja okryłam się hańbą, tak? Mężczyzna, którego mam poślubić, zadaje się z ladacznicą, która wkrótce powije mu bękarta, i nikt nie ma mu tego za złe?

- Uprzedzałem cię, że jeśli jeszcze raz nazwiesz Mair ladacznicą, pożałujesz tego - powiedział powoli i dobitnie Trystan, mierząc ją wzrokiem. - Teraz już na pewno się z tobą nie ożenię.

- I nikt z tu obecnych nie będzie cię winił za zerwanie kontraktu małżeńskiego - wtrącił sir Cecil. - Okryłaś hańbą swoje dobre imię, Rosamunde.

- To niesprawiedliwe! Wy, mężczyźni, możecie mieć kochanki przed i po ślubie, a kobieta nie, bo zszarga sobie reputację.

- Tak, to nie jest sprawiedliwe - przyznał baron z nutką litości w głosie. - Ale tak już urządzony jest świat, w którym żyją Normanowie. Szkoda, pani, że nie jesteś Walijką, bo wybaczylibyśmy ci to potknięcie, ale nie kłamstwo.

Twarz mu się ściągnęła.

- Znam Ivora od dziecka i wiem, że nie wzięłby kobiety wbrew jej woli, tak samo jak nie zabiłby dziecka. Z tego wniosek, że świadomie mijasz się z prawdą, twierdząc, że tak właśnie postąpił.

Rosamunde spojrzała błagalnie na Trystana.

- Proszę cię, Trystanie, musisz mi wybaczyć. Po ślubie nigdy już cię nie zdradzę. Przysięgam to uroczyście.

- Wybaczam ci tę chwilę słabości, bo i sam nie jestem bez winy.

Uśmiech ulgi, który zaczął wypełzać na jej wargi, znikł z nich szybko, kiedy Trystan dodał:

- Ale nie mogę ci wybaczyć twoich kłamstw ani obelg, jakimi obrzucałaś kobietę, którą kocham, Zaszłochała, ale on ciągnął nieubłaganie:
- Intercyza traci niniejszym ważność, nie poślubię

cię ani jutro, ani żadnego innego dnia. I więcej się do ciebie nie odezwę.

To mówiąc, odwrócił się i wyszedł z komnaty pomiędzy szpalerem rozstępujących się przed nim Normanów.

Baron spojrzął na Ivora.

- Nadużyłeś mojego zaufania, Ivorze. Zabieraj swoje rzeczy i wynoś się z Craig Fawr.

Ivor skinął głową.

- Przepraszam za kłopot, jaki ściągnąłem na twoje domostwo, panie - powiedział cicho i z godnością. Żegnaj, baronie.

I on też opuścił komnatę.

Za nim ruszyli do drzwi wszyscy zebrani w komnacie mężczyźni.

Rosamunde została sama. Szlochała skulona na kamiennej posadzce, oplakując porażkę swojego misternego planu i przysięgając, że do końca swego życia będzie nienawidzić mężczyzn.

- Innego sposobu nie było - powiedział cicho Dylan.

Byli sami w komnacie Trystana. Baron poszedł z sir Cecilem przedstawić zaistniałą sytuację sir Edwardowi. Griffydd wziął na siebie obowiązek poinformowania lady Roanny oraz żon swojej i Dylana, że nazajutrz uczyta weselnej nie będzie.

Trystan stał przy oknie, zapatrzony w nocne niebo. Dylan nie miał nawet pewności, czy go słucha.

- Ty i jej normańscy krewni potrzebowali dowodu, że ona do ciebie nie pasuje - ciągnął.
 - Skąd się dowiedziałeś o Ivorze? - spytał Trystan, nie odwracając się od okna.
 - Od Angharady.
 - Aha.
 - Powiedziała mi, kiedy się zejda, a resztą sam już się zająłem.
 - Sprytnie to obmyśliłeś.
 - Nie chciałem cię upokarzać, Trystanie, ale potrzebni byli normańscy świadkowie.
 - Wiesz, ona ma rację. To niesprawiedliwe, że mężczyźni taki wybryk uchodzi płazem, a kobiecie nie.
 - Ona tak się szczyci swoją normańską krwią, że bez słowa skargi podda się ustanowionym przez Normanów zasadom postępowania w takich przypadkach.
 - Też tak myślę.
 - Na pewno. To co, pójdziesz jutro do Mair?
- Trystan obejrzał się przez ramię na kuzyna. Wyrazu jego twarzy nie dało się odczytać, bo skrywał ją cień.
- Po co miałbym iść do Mair?
 - Żeby poprosić ją o rękę, głupku. Jest w tobie bez pamięci zakochana.
 - Nieprawda.
 - Albo jesteś ślepy jak kret, albo głupi jak but, że tego nie widzisz.
 - Nie jestem ani ślepy, ani głupi. - Trystan pochyl-

lił się i oparł łokciami o parapet. - Sama mi powiedziała, że nie kocha mnie na tyle, by za mnie wyjść.

- Kocha cię tak, że nie może znieść myśli, mogła dalej tu mieszkać.

Trystan ściągnął brwi i założył ręce na piersi.

- Jak to?

- A tak to, barania głowo, że odrzucając ją, zламаłeś jej serce, i ona teraz ucieka. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że doczekam chwili, kiedy się podda, ale ona robi to dla ciebie.

- Dla mnie by tego nie zrobiła - rzekł ponuro Trystan, cofając się od okna. - Na pewno ma jakiś inny powód.

- Owszem, twierdzi, że chce być bliżej Arthura.

- Mair nigdy nie kłamie.

- Wiem, ale to jeszcze nie znaczy, że nie skłamałaby, gdyby nie miała innego wyjścia. Na Boga, Trystanie, przejrzyj wreszcie na oczy. Ona nigdy nie nosiła się z zamiarem opuszczenia Craig Fawr.

- Sam przed chwilą mówiłeś, że ci powiedziała, iż chce być z Arthurem - przypomniał mu Trystan.

Dylan wstał i podszedł do kuzyna. Takiej uroczystej powagi Trystan jeszcze na jego twarzy nie widział.

- Wyznam ci coś w wielkim sekrecie i zapewniam cię, że przychodzi mi to z wielkim trudem. Otóż, widzę teraz, że ja byłem dla niej tylko pocieszeniem. Ona przez cały czas pragnęła ciebie.

Trystan spojrział na niego podejrzliwie spod przy-
mrużonych powiek.

- To czemu mi tego nie powiedziała? - spytał
z niedowierzaniem.

- Duma jej nie pozwalała, bo myślała, że jest ci
obojętna. Prędeż język dałaby sobie wyrwać!

- Ale po tym... jak byliśmy ze sobą... Wtedy
mogła mi powiedzieć.

- Głupiś, a do tego najbardziej zaślepiony ambicją
DeLanyea od czasów mojego nieodżałowanej pamię-
ci ojca. Myślisz, że kobieta, która cię naprawdę ko-
cha, zgodziłaby się za ciebie wyjść, gdyby uważała,
że w ten sposób zamknie ci drogę do sławy i zaszczy-
tów, na jakie jej zdaniem zasługujesz?

- Nie mogę w to... nie wierzę.

- Lepiej uwierz, bo taka jest prawda - rzekł
z przekonaniem Dylan i roześmiał się. - Na Boga,
przestałaby cię uważać za najcudowniejszego męż-
czyznę na tym łoż padole, gdyby cię teraz zobaczyła,
chłopcze. Minę masz taką, jakbyś odkrył właśnie, że
śnieg powinien być czerwony. Toż to jest tak wido-
czne jak pieprzyk na piersi lady Rosamunde, wystar-
czy tylko otworzyć oczy.

Spoważniał i popatrzył na kuzyna ze współczuciem.

- Ona tak bardzo cię kocha, że dla twojego dobra
starła się nie dać tego po sobie poznać.

Z przekornym uśmieszkiem podszedł do okna
i spojrział na księżyc w pełni.

- Ale kogoś z takim doświadczeniem jak moje, rzecz jasna, nie mogła oszukać. Nie wiem, co nam, wszystkim DeLanyea, w tym przeszkadza, ale my nie dostrzegamy, co czuje do nas kobieta, dopóki sprawa nie staje się beznadziejna. Pewnie skromność, co?-
Obejrzał się przez ramię. - Trystanie?

Ale Trystan był już na schodach i zbiegał po nich, biorąc po kilka stopni naraz, jakby się paliło.

Dylan, uśmiechając się od ucha do ucha, ruszył do drzwi.

- Lepiej powiem lady Roannie, że jutrzejsza uczta weselna chyba jednak się odbędzie.

- Zbudź się, Mair! - szeptał błagalnie Trystan, potrząsając ją delikatnie za ramię.

Przekręciła się na wznak i spojrzała na niego. Zdawał się jarzyć w poświacie księżycy, która wlewała się przez otwarte okno i padała na jego przejętą twarz.

- Co się stało? - spytała z niepokojem, siadając. Ani chybi zamek został zaatakowany, albo ktoś umarł, inaczej Trystan nie przychodziłby do niej w noc przed swoim ślubem.

W noc przed swoim ślubem.

- Nic się nie stało - powiedział cicho - przyszedłem cię tylko spytać, czy nadal twierdzisz, że mnie nie kochasz.

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

- Ty piłeś?

Uśmiechnął się czule, wziął ją za ręce i wyciągnął z łóżka. Klepisko było przeraźliwie zimne, ale ona na to nie zważała, oszołomiona jego obecnością i tym, co mówił.

- Zapewniam cię, Mair - oznajmił uroczyście - że nigdy nie byłem trzeźwiejszy. Kocham cię! Pragnę cię! Chcę, żebyś za mnie wyszła! Powiedz, proszę, że mnie chcesz, że chcesz głupca, który dopiero teraz Usłyszał głos swego serca.

Nie wierząc własnym uszom ani wymowie jego oczu, chwyciła koc i zarzuciła go sobie na ramiona.

- Ciii! Obudzisz Arthura.

- Nie dbam o to. Niech się budzi cały zamek, wioska, cała Walia, bylebyś mi tylko powiedziała, że mnie kochasz.

Poszukała pospiesznie butów i pociągnęła go za sobą do drzwi.

- Nigdy nie powiedziałam, że cię kocham - wyszeptała, pewna już, że jest pijany.

- Do browaru?

- Tak - syknęła - do browaru. I mów ciszej, bo wybuchnie skandal!

Pociągnęła go przez podwórko do małego budynku z kamienia. Księżyc świecił jasno, nie przesłaniała go ani jedna chmurka.

- W zamku już wybuchł straszny skandal - oznajmił Trystan, otwierając drzwi browaru i przepuszczając przodem.

- Jaki skandal? Pan młody się upił i nie daje ludziom spać? - zapytała, krzesząc ogień. Zapaliła łuczywo, zatknęła je w uchwycie i odwróciła się do Trystana.

- Nie. Pannę młodą przydybano w łóżu z dowódcą straży.

Mair omal czy nie wyszły z orbit.

- Ivor? Z lady Rosamunde?

- Tak. Albo Rosamunde z Ivorem, jeśli kto woli. Tak czy inaczej, kochali się i przyłapaliśmy ich na tym -jej butny kuzyn, reszta normańskich gości weselnych, Dylan, mój ojciec, mój brat i ja. Po czymś takim nie ma mowy o małżeństwie.

- Nie ma mowy o małżeństwie? - powtórzyła cicho Mair. Wciąż nie docierało do niej w pełni, co mówił, i to z takim zachwytem.

- Tak. Jak mógłbym pojąć ją za żonę po takim upokorzeniu? Który Norman oczekiwałby ode mnie, że ożenię się ze zbrukaną kobietą? Żaden! Przyznaję, nie od razu sobie uświadomiłem, że powinienem dziękować za to Dylanowi i Angharadzie.

- Dylanowi i Angharadzie?

Trystan chwycił ją ze śmiechem za rękę i obrócił w koło.

- Już się bałem, że coś nie tak z twoimi pięknymi uszkami, moja kochana, moja wyśniona.

Zatrzymał się i poważniejąc, wziął ją w ramiona.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi moją głupotę,

Mair. Jak mogłem przedkładać swoje ambicje nad wszystko inne, nawet nad ciebie? Jak mogłem tłumić w sobie to, co do ciebie czuję? Jak mogłem nie rozumieć, że bez ciebie nigdy nie byłbym szczęśliwy?

- Ale Rosamunde...

- Żeniąc się z nią, chciałem tylko udowodnić, że jestem lepszy od brata i kuzyna. Nie kochałem jej. Nigdy nie mógłbym pokochać jej tak, jak kocham ciebie. Jak zawsze cię kochałem.

- Zawsze mnie kochałeś?

- Tak, choć próbowałem bronić się przed tą miłością, wybierając sobie na obiekt westchnień kobiety ni pełnie do ciebie niepodobne. Najpierw żonę Dylana, potem Rosamunde.

- Muszę przyznać, że udatnie to robiłeś. Byłam przekonana, że je kochałeś.

- Aż za udatnie, bo nawet sam w to wierzyłem. Na Boga, gdybyś nie pomyliła mnie tamtego wieczoru z Ivozem, być może do tej pory oszukiwałbym sam siebie i przez całe życie przez to cierpiał.

Niepokój nie zniknął z twarzy Mair.

- Owszem, dobrze ci było ze mną, a mnie z tobą, ale to jeszcze nie znaczy, że kochamy się na tyle, żeby się pobrać.

Trystan uciekł spojrzeniem w bok.

- Wiem. Mam przez to rozumieć, że nie kochasz mnie na tyle, żeby za mnie wyjść?

Ścisnął ją mocno za rękę i spojrzał w oczy.

- Powiedz prawdę, Mair - poprosił.

Odwróciła wzrok.

- Powinieneś poślubić damę wysokiego rodu, Try-
stanie, kobietę, która pomoże ci osiągnąć to, co sobie
zamyśliłeś, a nie piwowarkę, która uczyni cię po-
śmiewiskiem w oczach Normanów.

- Nie chcę za żonę damy wysokiego rodu. Chcę
ciebie.

- Piwowarkę.

- Tak, piwowarkę - piękną, zuchwałą, prostodu-
szną piwowarkę, która potrafi się uśmiechać, żarto-
wać, i przy której wiem, że w pełni żyję.

- Ale ja ci w niczym nie pomogę. Będę... będę ci
kulą u nogi.

Cofnął się z urażoną miną.

- Masz mnie za takiego, który bez pomocy boga-
tej żony i jej koneksji nie jest w stanie do niczego
dojść?

- Wiem, że w dążeniu do celu niepotrzebna ci po-
moc żony. Ja mówię o przeszkodzie, jaką żona może
się stać.

Uśmiechnął się czule.

- Największą przeszkodą, na jaką kiedykolwiek
mógłbym się natknąć, byłaby strata ciebie, Mair.
Wiem to teraz. Wiem z całą pewnością. Powiedz,
proszę, że zostaniesz moją żoną, a potem zobaczymy,
jak daleko uda nam się razem zajść.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Jesteś tego pewien, Trystanie? I co na to powiedzą twoi rodzice?

Oczy mu zabłyśły.

- Daję ci słowo rycerza i DeLanyea, że nigdy niczego nie byłem taki pewien. Rodzice udzielą nam swojego błogosławieństwa. Bardzo cię lubią. Ojciec będzie wniebowzięty.

Na widok jej radosnego uśmiechu przeszedł go dreszcz podniecenia.

- No to muszę wyznać, że kocham cię, Trystanie. Od lat cię kocham.

- I kryłaś się z tym tak samo jak ja, albo i lepiej - zauważył i wziął ją znowu w ramiona.

- Lepiej - powiedziała z przekorą. - A skoro już zebrało się nam na wyznania, to wiedz, że zareagowałam takim gniewem na przepowiednię Angharady, bo bałam się, że mimo wysiłków ktoś odkryje mój sekret.

- A ja przypuszczałem, że na samą myśl o małżeństwie ze mną zbiera ci się na wymioty.

- A ja, że na samą myśl o małżeństwie ze mną ogarnia cię przerażenie.

Trystan westchnął i pokręcił głową.

- Powinienem sobie wcześniej uświadomić, że twoja reakcja nie wzburzyłaby mnie tak bardzo, gdybyś mi była obojętna.

- No cóż, tak ci dokuczałam, że miałeś prawo mnie znienawidzić.

- Było, minęło, Mair. Zaczniemy razem od początku? - spytał cicho. - Wyjdiesz za mnie?

- Trystanie...

- Powiedz, że tak, Mair, a potem mnie pocałuj, bo umrę.

- Och, Trystanie - wyszeptała i z oczu popłynęły jej łzy szczęścia, a on pochylił się i pocałował ją czule.

Koc, którym była okryta, opadł na ziemię, usta Trystana oderwały się od jej warg i zsunęły na policzki.

- Tak, Trystanie - wyszeptała. - Tak, wyjdę za ciebie. Wyjdę!

Znowu zawładnął jej wargami, tym razem zachłannie. Podała się mu, rozpierana radością i szczęściem.

- Czy wiesz, że smakujesz lepiej niż *braggot*? - zapytał, gładząc jej gęste, rozpuszczone włosy.

- A czy ty wiesz, że pachniesz lepiej niż *miód*?

- A wiesz, że jesteś najzuchwalszą i najbardziej urodziwą kobietą w całej Walii?

- A ty wiesz, że jesteś najwspanialszym z mężczyzn?

Urwali i ich usta znowu się spotkały.

- Mamo?

Odskoczyli od siebie jak oparzeni. W drzwiach stał zaspany Arthur i przecierając pięściami oczy, przyglądał się im podejrzliwie.

- Co on tu robi?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Wracaj do łóżka, Arthurze - fuknęła Mair.

Usiłując ratować resztki rodzicielskiej godności, chyliła się szybko po koc i owinęła się nim, ale było już za późno. Arthur zdążył się całkiem rozbudzić.

- Co Trystan robi w browarze? - dociekał. - Mamo, dlaczego masz na sobie koc?

Trystan, trochę zmieszany, wziął Mair za rękę.

- Przeszedłem naprawić pewien poważny błąd. Nie żenię się jutro z lady Rosamunde - zaczął się tłumaczyć.

- Aha. - Arthur pokiwał znacząco głową. - I chcesz się upić?

- Nie - wtrąciła się Mair. - Skąd ci to przyszło do głowy?

Chłopiec nachmurzył się, wypiął pierś i zapytał wyzywająco:

- To po co przyszedł do browaru?

- Chyba zapominasz, z kim rozmawiasz, Arthurze - odezwał się Trystan. - Tak się nie mówi do matki i do kobiety, którą przed chwilą poprosiłem o rękę.

Chłopiec rozdziawił usta.

- Bardzo ją kocham, Arthurze.
- A ja kocham Trystana - dodała Mair, zerkając na niego z czułością.
- Mam nadzieję, że jako jej najbliższy krewny nie będziesz się sprzeciwiał - powiedział z powagą Trystan.
- Chłopiec popatrzył na niego uważnie, potem pokręcił głową.
- Każdy jest lepszy od Ivora.
- Arthurze!
- Mówi, co myśli, tak jak jego matka - powiedział z uśmiechem Trystan. - A raczej jak w większości przypadków jego matka - poprawił się.
- A co z lady Rosamunde?
- Zdarza się, że nawet dorosły mężczyzna nie zna siebie tak dobrze, jak powinien - powiedział Trystan, podchodząc do chłopca i przykucając przed nim. I zdarza się, że ten dorosły mężczyzna tłumi swoje uczucia, bo wydaje mu się, że tak będzie dla niego lepiej.
- Chłopiec ściągnął brwi. Widać było, że nic z tego nie pojmuje.
- Trystan spróbował jeszcze raz.
- Kierując się fałszywą ambicją, wmawiałem sobie, że pragnę lady Rosamunde, a przez cały czas kochałem twoją matkę.
- Arthur spojrzał na Mair.
- Co na to mój tato?
- Twój tato to pochwała - odparł Trystan.

Arthur kiwnął głową i uśmiechnął się. Mair odetchnęła z ulgą.

- Chodź, synku, odprowadzę cię do domu - powiedziała.

- Odprowadzimy - podchwycił Trystan, podnosząc się. Wziął za rękę Arthura, Mair wzięła go za drugą.

Kiedy szli przez podwórko, przyświecając sobie łuczywem, które Mair zabrała z browaru, Arthur zapytał:

- To znaczy, że będziemy musieli zamieszkać w Craig Fawr?

- Nie, jeśli nie zechcesz.

- Kiedy?

- Kiedy ślub? Chyba im szybciej, tym lepiej - odparł Trystan i spojrzał pytająco na Mair ponad głową jej syna.

- Tak, im szybciej, tym lepiej - przytaknęła.

Weszli do domu.

- A teraz do łóżka, Arthurze - poleciła Mair.

Chłopiec podszedł z ociąganiem do drabiny prowadzącej na stryszek, a Trystan otoczył Mair ramieniem.

Arthur zatrzymał się na trzecim szczeblu i obejrzał. Na jego chłopięcej twarzy malował się niepokój.

- Pobierzcie się, zanim dziecko się urodzi?

- Tak - zapewnił go Trystan.

- Czyli to dziecko nie będzie...

- Nie. Będzie z prawego łoża - odparła cicho Mair.

Miała nadzieję, że syn nie będzie zazdrościł przyrodniemu bratu legalności urodzenia.

Arthur pokręcił z politowaniem głową.

- Biedaczek - mruknął i zniknął w mroku.

Mair parsknęła śmiechem, gdyby Trystan nie zamknął jej ust namiętym pocałunkiem.

- Nigdy jeszcze nie byłem taki szczęśliwy.
- Ani ja. Lepiej wracaj już do zamku.
- Dlaczego? - spytał, obsypując pocałunkami jej szyję.
- Bo będą się tam zastanawiali, gdzie przepadłeś.
- Dylan na pewno się domyśli.
- Arthur nie śpi.
- Śpię! - zawołał ze stryszku chłopiec.
- Synku, masz natychmiast spać. - Mair spojrzała znacząco na Trystana. - Widzisz?

Przesunęła dłońmi po jego szerokiej piersi.

- Chociaż bardzo bym chciała, żebyś został - wyszeptła.
- W takim razie nigdzie się nie ruszam - powiedział cicho, odwzajemniając jej pieszczotę.
- Już wkrótce się ode mnie nie opędzisz. Nie żartuję, będę cię atakowała wszędzie, gdzie tylko najdzie mnie na ciebie ochota, choćby na murach.
- To obietnica?

Jej gardłowy śmiech przeszedł w westchnienie.

- Przysięga, rycerzu, której na pewno dotrzymam.
- No to trzeba będzie uprzedzić strażę...

Nazajutrz, po nocy, podczas której ze względu na Arthura przestali na pocałunkach i pieszczotach, posłali niewyspanego, ale podnieconego chłopca z nowiną do przyrodniego brata i Angharady.

Sami nie mieli jakoś ochoty oglądać miny Angharady, kiedy ta dowie się, że jej przepowiednia wkrótce jednak się ziści.

Zjedli potem lekkie śniadanie i ruszyli pod rękę do Craig Fawr. Ludzie z wioski krzątający się już w obejściach, popatrywali na nich ciekawie, ale Mair

Trystan zbyt byli pochłonięci sobą, żeby zwracać na to uwagę.

Nagle Trystan zatrzymał się i wciągnął Mair w cień między dwoma chałupami przy głównym trakcie prowadzącym do zamku.

- Co czynisz? - spytała, chichocząc.

Wziął ją w ramiona i uśmiechnął się.

- Nie o to chodzi, Mair - powiedział z pożądlwym westchnieniem - chociaż mnie korci. Nie chcę, żeby Rosamunde nas zobaczyła.

Wskazał ruchem głowy na bramę zamku, z której wyjeżdżali właśnie sir Edward D'Heureux i jego córka. Sir Edward wyglądał jak pokonany wieśniak; Rosamunde wysoko unosiła głowę.

Trystan i Mair pozostali w cieniu, dopóki Normanowie ze swą świtą nie zniknęli za zakrętem drogi.

- Wybaczam jej, że poszła do łoża z Ivozem, bo dzięki temu mogłeś zerwać kontrakt małżeński - po-

wiedziała Mair - ale nie wybaczę jej nigdy, że oskarżyła go o gwałt.

- Ja też - powiedział Trystan.

- Szkoda, że Ivor musiał odejść. Wątpię, czy odważyłby się z nią kochać za twoimi plecami, gdyby go do tego nie zachęciła.

- I w tym się z tobą zgadzam. Jednak popełnił poważny błąd, bo ona była już zaręczona. Nadużył naszego zaufania. Gdyby ojciec pozwolił mu zostać, inni mogliby to wziąć za oznakę słabości, a do tego nie wolno dopuścić.

- Nie rozumiem, jak ktoś mógłby posądzić ród DeLanyea o słabość.

- Gdyby ludzie wiedzieli, jak się zachowujemy, kiedy jesteśmy zakochani, mogliby nawet uznać nas za głupców.

- Jesteście po prostu mężczyznami - powiedziała ze współczuciem.

- Co to niby miało znaczyć?

Przytuliła się do niego.

- Nie powiem— przekrzywiła głowę i posłała mu figlarne spojrzenie. - Spytaj Angharadę.

- O, nie! - krzyknął Trystan, udając przerażenie. - Angharady o nic nie zapytam i mam nadzieję, że ona mi nic nie powie. Nie chcę znać swojej przyszłości, wystarczy mi to, czego sam się domyślam - że będę szczęśliwy z moją jędzowatą żoną.

- Jędzowata?! - wykrzyknęła Mair, odpychając go od siebie.

Trystan uśmiechnął się.

- To może niesforna? - Przyciągnął ją z powrotem i zniżył głos do uwodzicielskiego pomruku: - Zuchwałą? Upartą? Niezależną? Cudowną?

Znaczące chrząknięcie kazało im przerwać pocałunek i odskoczyć od siebie.

- Hola, a cóż to za niemoralne zachowanie? - zapytał Dylan z poważną miną, choć oczy mu się śmiały. - Łoża już nie macie?

- To ranek - zauważyła Mair. Spojrzała na Dylana podejrzliwie spod przymrużonych powiek. - A ty coś się tak wcześniej zerwał?

- Chciałem się pożegnać z prześliczną lady Rosamunde i upewnić, czy nie odjeżdża z naszymi srebrami. Potem zacząłem się zastanawiać, gdzie to mógł przepaść na całą noc Trystan, no i . . .

- Bardzo dobrze wiedziałeś gdzie - rzekł Trystan. poirytowanym tonem.

- Tylko podejrzewałem - poprawił go Dylan. - Wracaj lepiej do zamku, chłopcze. Tatko tam na ciebie czeka.

- He razy mam ci powtarzać, żebyś przestał nazywać mnie „chłopcem”?

- Może przestanę, kiedy będziesz już żonaty. - Dylan uśmiechnął się szelmowsko. - Chłopcze.

- Dostyc tego! - krzyknął Trystan, odsuwając na

bok Mair. Zacisnął pięści i ruszył na ugiętych nogach na kuzyna. - Broń się, Dylanie, bo zamierzam ci pokazać, jaki ze mnie mężczyzna.

- Oj, nie wściekaj się tak! - powiedział Dylan. - Żartowałem tylko...

Ledwie zdążył się uchylić przed pięścią Trystana. Odskoczył i przyjął obronną postawę.

- Do licha, ty nie żartujesz!

- Ani mi to w głowie.

- Zachowujecie się obaj jak dzieci - powiedziała Mair, ujmując się pod boki i uśmiechając pobłaźliwie.

- I tak mi dziękujesz za wyrwanie ze szponów tej normańskiej ladacznicy? - zawołał Dylan.

- To podziękowanie za całe życie dokuczania.

- Mair więcej ci dokuczała.

Nadeszło kilku wieśniaków zwabionych podniesionymi głosami. Wymieniali ubawione spojrzenia, widząc dwóch DeLanyea krążących wokół siebie na ugiętych nogach jak zapaśnicy.

Kiedy Trystan runął wreszcie na Dylana i chwytając go pod kolana, obalił na ziemię, podniosły się podniecone okrzyki.

- Och, ty... ty... - stękał Dylan, z trudem wyswabzając się z chwytu.

- Może chłopcze? Chłopiec cię powalił? - szydził Trystan, doskakując znowu do kuzyna.

- Tato! - dały się słyszeć dwa chłopięce głosy.

Mair obejrzała się. W kierunku walczących biegli Trefor i Arthur.

- Wszystko w porządku, synkowie - wysapał Dylan, nie odrywając oczu od przeciwnika. - Trochę się tu zabawiamy.

Trefor uśmiechnął się.

- Wygrasz, tato!

- Dzięki, synu.

- Dlaczego oni się biją? O ciebie? - zwrócił się do matki bardziej spostrzegawczy Arthur, kiedy mężczyźni zważyli się znowu w uścisku, padli na ziemię i zaczęli tarzać w błocie.

- Skądże znowu - zaprzeczyła Mair, śledząc zmagania dwóch dorosłych mężczyzn, którzy naprawdę zachowywali się jak dzieci. Kusiło ją, żeby wejść między nich i rozdzielić.

Chociaż... Trystan dużo wycierpiał od Dy lana w przeszłości, może więc lepiej, żeby wyrównali w walce stare porachunki.

- Twój tato długo dokuczał swojemu bratu i spójrz teraz - powiedziała, zerkając ukradkowo na Trefora, bo Trystan zyskiwał wyraźną przewagę nad kuzynem.

Dylan też to chyba zauważył. Przestał więc stawać opór i krzyknął:

- Poddaję się. Na Boga, poddaję, bo jeszcze złamiesz mi nos!

I już nigdy nie nazwiesz mnie „chłopcem”? - za-

pytał z tryumfem w głosie Trystan. Twarz miał umazaną błotem i ziemią, tunika wisała na nim w strzępach.

- Dobrze już, dobrze. Nigdy więcej nie nazwę cię „chłopcem” - wystękał Dylan.

Trystan wstał z jego piersi.

- No.

- Uważaj, żebym nie zaczął nazywać cię gorzej - rzekł pod nosem Dylan, zbierając się z ziemi.

- Bękartem nie możesz go nazywać - zauważył ponuro Arthur.

Dylan spojrzał na młodszego syna i parsknął śmiechem.

- Ano nie mogę!

Podszedł do chłopców.

- Trystan słusznie wpadł w gniew. Za bardzo mu dokuczalem i teraz musiałem za to zapłacić.

Spojrzał na swoje powalone ziemią, porwane odzienie.

- Oj, nasłucham się od Genevieve za te sponiewierane szatki, ale mi się należało. Będę to jej musiał jakoś wytłumaczyć- powiedział i mrugnął do Trystana i Mair.

Kolejna grupa jeźdźców wyjechała z bramy zamku, tym razem z sir Cecilem na czele. Przejeżdżając, sir Cecil posłał im pogardliwe spojrzenie.

Trystan skłonił się dwornie, to samo uczynił Dylan.

- Żegnaj, sir Cecilu! - zawołał Trystan. - Szero-

kiej drogi tobie i wszystkim twoim czarującym przyjaciółom.

- I krzyżyk wam na tę drogę - dodała stojąca obok niego Mair i wszyscy wokół się roześmieli.

- No, śpieszcie teraz oboje do zamku - powiedział Dylan, prostując się - bo baron naprawdę tam na was czeka.

Mair nie potrafiłaby zliczyć, ile już razy była w wielkiej sali Craig Fawr, ale tego ranka wchodziła tam stremowana jak nigdy. Prócz dworzan i służ, zebrali się tam dzisiaj baron z żoną, Griffydd, jego żona Seona i żona Dylana, śliczna Genevieve. W dodatku wszyscy, bez wyjątku, pilnie się w nią wpatrywali.

Za Mair i ubłoconym Trystanem wszedł równie ubłocony Dylan, eskortowany przez dwóch synów.

- Trzeba było założyć tę czerwoną jedwabną suknię, pomyślała Mair, zawstydzona swoim skromnym strojem.

Niebieska wełniana suknia, którą miała na sobie, była wygodna, ładna i czysta, ale nie tak powinna się ubierać żona rycerza.

Nie była też pewna, czy potrafi się zachować, jak na żonę rycerza przystało.

Trystan ścisnął jej dłoń i to podniosło ją trochę na mchu.

- Spójrz na mojego ojca - szepnął Trystan.

Mair posłuchała. Baron DeLanyea starał się bardzo zachowywać powagę - niestety bez powodzenia.

Mair odprężyła się na widok jego uśmiechniętej twarzy.

Stojąca obok lady Roanna też się uśmiechnęła i Mair już wiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Poślubi mężczyznę, którego kocha, a jego rodzice nie będą się temu sprzeciwiali.

Uszczęśliwiona, stapała tak lekko, jakby płynęła w powietrzu.

- Dzień dobry, Mair, Trystanie, Dylanie - zaczął baron, mierząc wzrokiem zbliżającą się grupkę. - Co wyście, chłopcy, z siebie zrobili? - spytał, nie zwracając się bynajmniej do Arthura ani Trefora.

- Twój syn wszczął ze mną bójkę. Tak mi odpłacił - odparł Dylan, nawet nie próbując udawać urazy.

- Wygląda na to, że ty bardziej oberwałeś - zauważyła jego żona, obrzucając go potępiającym spójrzeniem.

- Och, Genevieve, on był bardziej ode mnie rozsierdzony, jaką więc mogłem mieć szansę? - odparł pojednawczo Dylan, posyłając żonie czarujący uśmiech, który zawsze ją rozbrajał.

- I od dzisiaj nie nazwie już mojego przyszłego męża „chłopcem” - wtrąciła Mair i uśmiechając się do barona przekornie, dodała: -I ty też chyba nie powinienes, panie. Mogę zaświadczyć o jego dojrzałości - i jurności.

- Mair! - syknął Trystan, pąsowiejąc.

- Angharada nie myliła się, baronie - ciągnęła Mair, nie zwracając na niego uwagi. - Wychodzę za twojego syna. - Westchnęła z udaną rezygnacją. - Będę się musiała przed nią poniżyć i przeprosić, że dotąd nie dawałam wiary temu, co nam przepowiedziała, ale trudno, jestem gotowa do tego poświęcenia.

- Tato... - zaczął ostrożnie Trystan.

Urwał, bo ojciec podszedł do Mair, ujął ją za ramiona i cmoknął serdecznie w policzek.

- Na Boga! - krzyknął uszczęśliwiony -jakaż to ulga.

Spojrzał na syna i trudno było stwierdzić, czyj uśmiech wyraża więcej radości.

- Rad jestem, że poszedłeś wreszcie po rozum do głowy, synu! Ta normańska stwora zatrułaby ci życie.

- Nie przeczę, że długo trwało, zanim zrozumiałem, czego chcę. - Trystan wziął Mair za rękę. - Czego pragnę.

Podeszła do nich z gracją lady Roanna. Jej błyszczące oczy powiedziały Trystanowi, że ze wszystkich decyzji, jakie dotąd podjął, ta sprawa jej największą radość.

- Witaj w naszej rodzinie, Mair. Wiem, że uczynisz mego syna szczęśliwym, i sama zaznasz przy nim szczęścia.

Następnie życzenia złożyły im pozostałe kobiety z rodu DeLanyea, a za nimi czekali już dworzanie i służba. Mair i Trystanowi zaschło w ustach od dziękowania każdemu z osobna.

- Roanno! - zawołał baron, przekrzykując wrzawę. - Zaplanowałaś na dzisiaj ucztę weselną, o ile mnie pamięć nie myli?
- Tak, kochany - odkrzyknęła lady Roanna.
- Nie widzę powodu, dla którego nie miałyby się mimo wszystko dzisiaj odbyć.
- Ani ja, kochany, ani ja.

I tak sir Trystan DeLanyea pojął za żonę piwowarkę Mair, która dokuczała mu bezlitośnie i kochała od dziecka.

Po ślubie kochali się z takim zapamiętaniem i tak często, że Arthur doczekał się wkrótce jeszcze czterech braci przyrodnych - z których każdy został w swoim czasie podziwianym wojownikiem - oraz siostry, która zasłynęła nie tylko z urody, ale również z odziedziczonej po matce żywotności i niepokornego ducha.

Co do Trystana, to osiągnął wszystko, co sobie zamierzył, a nawet więcej. Zasłynął w całym kraju ze swojej mądrości i szlachetności i nie mogła się bez niego obejść żadna królewska rada.

Bez niego ani bez wybornego piwa jego żony.